

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 5/308**

**1973**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. ORWELL :

**O WOLNOŚCI PRASY**

WŁ ODOJEWSKI :

**PODRÓŻ**

A. BROMBERG : **ZSSR A KONWENCJA GENEWSKA**

**CZY PRZYWÓDCY "RUCHU" ZOSTANĄ  
UWOLNIENI? - APEL DO RADY PAŃSTWA**



## SPIS RZECZY

George Orwell (przeł. Gustaw Herling-Grudziński):	<i>O wolności prasy</i> .....	3
Włodzimierz Odojewski:	<i>Podróż</i> .....	15

### WIERSZE

Tomasz Venclova (przeł. Czesław Miłosz):	<i>Rozmowa w zimie</i> .....	34
--	------------------------------	----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Futurologia Chin</i> .....	37
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	48
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	55

### SĄSIEDZI

—	<i>Memoriał ukraiński do VI-go Zjazdu PZPR</i> .....	67
Edmund Hulewicz:	<i>Komentarz do Memoriału</i> .....	81
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	82
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i> .....	89

### SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg:	<i>ZSSR a Konwencja Genevska</i> .....	92
----------------	--	----

### K R A J

Lubow Czuma:	<i>Apel do Rady Państwa z poparciem Kardynała Wyszyńskiego — Prymasa Polski i Kardynała Wojtyły — Metropolity Krakowskiego</i> ....	101
--------------	---	-----

### SPRAWY I TROSKI

Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i> .....	107
Andrzej Bohomolec:	<i>Kaplica Matki Boskiej Dalekich Mór</i> .....	118

### Z TEKI INFORMACYJNEJ

Jerzy Horzelski:	<i>Świat nietrwałego firmamentu</i> .....	121
------------------	---	-----

### K S I A Ź K I

Janina Katz:	<i>Literacka prasa krajowa — marzec 1973</i> .....	128
Benedykt Heydenkorn:	<i>Kanadyjska problematyka etniczna: polonica</i> .....	133
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	144



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	145
	(uraz z Kronikami: amerykańską, kanadyjską i australijską)	



Janusz Laskowski:	<i>Tadeusz Święcicki</i> .....	156
-------------------	--------------------------------	-----



H. Dunajewski, G. Herling-Grudziński:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	158
---------------------------------------	--------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i> .....	160
--------------	----------------------------	-----

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1973

INSTYTUT



LITERACKI



## NOTA BIOGRAFICZNA

Włodzimierz ODOJEWSKI urodzony 14. VI. 1930, z wykształcenia socjolog. Pierwsza powieść Odojewskiego, „Wyspa ocalenia”, opublikowana w formie skróconej w Polskim Radio, w 1951 r., uzyskała nagrodę młodych im. Tadeusza Borowskiego, do druku książkowego dopuszczona jednak została dopiero po latach. Debiutem więc książkowym tego prozaika stała się druga jego książka „Opowieści Leskie”, wydana w „Czytelniku” w 1954 r. Przez lata Odojewski zajmuje się krytyką teatralną na łamach pism województw zachodnich, a także w warszawskim periodyku *Teatr*. W latach 1956-59 jest zastępcą naczelnego redaktora pisma społeczno-kulturalnego *Tygodnik Zachodni* w Poznaniu. Ważniejsze jego publikacje książkowe, to powieści: „Miejsca nawiedzone” (Wyd. Łódzkie — 1959), „Wyspa ocalenia” („Czytelnik” — 1964), „Czas odwrócony” („Czytelnik” — 1965) i opowiadania: „Kwarantanna” („Czytelnik” — 1960), oraz „Zmierzch świata” („Czytelnik” — 1962). Większość utworów tego pisarza poświęcona jest przedwojennym Kresom południowo-wschodniej Polski. Od 1961 r. Włodzimierz Odojewski jest kierownikiem Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia w Warszawie. Usunięty zostaje z tego stanowiska po wypadkach marcowych 1968 r. Jego powieści i opowiadania, oraz słuchowiska radiowe były tłumaczone na języki obce, między innymi: czeski, słowacki, węgierski, serbski, słoweński, niemiecki, włoski, fiński, szwedzki, holenderski, francuski i angielski. Od połowy 1971 roku Włodzimierz Odojewski przebywa na Zachodzie, gdzie znalazł się jako stypendysta zachodnio-berlińskiej „Akademie der Künste”.

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

p. Ardasiewicz-Machnikowa, Buenos Aires, po raz czwarty . . . .	F.	318,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty	F.	90,00
J. Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz jedenasty . .	F.	92,00
Jerzy Boniecki, Rose Bay, N.S.W. (Australia) — na pomoc dla więźniów politycznych . . . . .	F.	9.100,00
Bezimiennie z Santa Barbara, Cal. (USA) . . . . .	F.	45,00
Bezimiennie z Paryża dla uczczenia pamięci Tadeusza Święci-ckiego . . . . .	F.	35,00

DZIĘKUJEMY!

## O wolności prasy

OD TŁUMACZA

W moim Dzienniku pisanim nocą dwukrotnie wspominałem o odnalezieniu przedmowy Orwella do Folwarku Zwierzęcego. Odkrywca, profesor Bernard Crick z Birkbeck College w Londynie, ogłosił ją wraz ze swoim komentarzem objaśniającym w Times Literary Supplement z 15 września 1972 roku. Drukujemy, za łaskawą zgodą pani Soni Orwell, pełny tekst The Freedom of the Press, poprzedzając go autoryzowanym skrótem obszernego komentarza odkrywcy.

Znakomity esej Orwella zawdzięcza swoją aktualność nie tylko temu, że na nowo aktualny stał się również Folwark Zwierzęcy w wykonaniu kolejnego amerykańskiego Mister Pilkingtona i następnego w dynastii sowieckiego knura Napoleona. Jego dalekowszroczna zaciekłość sięga, jak zobaczy czytelnik, głębiej; dotyka samej istoty degradowanego z każdym dniem bardziej pojęcia wolności słowa. Sytuacja jest dziś taka, że nawet wśród ludzi którzy w „w zasadzie” cenią i podziwiają Orwella jego wybuch wywoła, być może, zmarszczenie brwi i wzruszenie ramion. Dojrzą w nim „nadmierne zacięcie moralizatorskie”, skłonność do „wybrzydzenia się zamiast myślenia”. Jak gdyby pasja moralna i myślenie były dwoma odizolowanymi od siebie szczelnie naczyniami; jak gdyby od współczesnego „intelektualisty”, wyposażonego w szósty zmysł „takyki”, należało wymagać przede wszystkim umiejętności gry w szachy.

Od dawna nie mam wątpliwości, że kiedy ustoją się rozbełtane wody módl, koniunktur, hałaśliwych giełd, cmokierstwa jednego sezonu, Orwell zaliczony zostanie do najwybitniejszych i najmądrzejszych pisarzy naszych czasów.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



## JAK POWSTAŁ ESEJ ORWELLA

W swojej stałej rubryce *As I Please*, na łamach lewicowego *Tribune*, Orwell pisał w lutym 1945 roku: „Podobno Gestapo rozporządza ekipami krytyków literackich, których praca polega na wykrywaniu autorów broszurek anonimowych w drodze konfrontacji stylistycznych. Zawsze myślałem, że gdyby szło o lepszą sprawę, coś takiego właśnie miałbym ochotę robić”.

Jest dla mnie bezsporne, dzięki konfrontacjom stylistycznym i innym dowodom, że ten nieznanymi dotychczas esej wyszedł spod pióra Orwella. Został odnaleziony w zeszłym roku i znajduje się obecnie w archiwum orwellowskim przy *University College* w Londynie. Pani Sonia Orwell pozwoliła mi go opublikować, wiedząc o moim zamiarze napisania książki o poglądach politycznych Orwella.

Aby jednak należycie ocenić esej Orwella, trzeba zapoznać się choćby pobieżnie z niezwykłymi okolicznościami w jakich powstał.

Orwell, pamiętajmy, nie był nigdy komunistą. Przeciwnie, w *Homage to Catalonia* z roku 1936 jasno i gwałtownie zaatakował komunistyczne próby zdominowania sprawy republikańskiej w Hiszpanii; odpowiedzialne za rozłam frontu antyfrankistowskiego, wynikały one z sekciarskiej nienawiści komunistów do anarchistów, których Orwell nauczył się szanować w okopach wojny domowej i których, z narażeniem życia, usiłował ratować podczas komunistycznych czystek w Barcelonie.

Napisał *Folwark Zwierzęcy* w latach 1943-44, w okresie gdy wojskowy sojusz aliantów z Rosją sowiecką był szczery, lecz jednocześnie wystawiony na ciągłe napięcia. Jego antystalinowskie przekonania były już w Anglii dobrze znane. Zawarte w eseju Orwella oskarżenia pod adresem wielu intelektualistów angielskich o autocenzurę i zbytnie rusofilstwo można znaleźć w *Liście londyńskim* do *Partisan Review* z lata 1944, gdzie mowa o „serwilizmie tak zwanych intelektualistów” wobec Rosji; nie owijały też rzeczy w bawełnę felietony *As I Please*, często ku zgorszeniu czytelników *Tribune*, jak na przykład ten oto z 1 września 1944, gniewnie piętnujący powszechne przemilczanie Powstania Warszawskiego: „Po pierwsze, posłanie do angielskich lewicowych dziennikarzy i intelektualistów. Pamiętajcie, że zawsze się płaci za nieuczciwość i tchórzostwo. Niech wam się nie wydaje, że możecie latami okadzać reżym sowiecki i lizać mu tyłek, a potem jak gdyby nigdy nic wrócić do umysłowej przyzwoitości. Kurwa

będzie zawsze kurwą. Po drugie, szersza konsyderacja. Nie ma dziś na świecie rzeczy ważniejszej od przyjaźni i współpracy anglo-rosyjskiej, ale da się ją osiągnąć tylko przemawiając bez ogródek”.

Mocne słowa. Nic dziwnego że nie brakło ludzi, którzy nie będąc *fellow-travellerami* (a za takiego Orwell uważał podówczas Gollanca), wąpili czy ta odmiana przemawiania bez ogródek, lub nawet alegoryczna forma przemawiania bez ogródek w *Folwarku Zwierzęcy*, jest przezorna.

Manuskrypt *Folwarku Zwierzęcego* powędrował do renomowanego wydawnictwa Jonathan Cape. I zaczęła się kołomyjka, której ukoronowaniem był wspaniały lecz niepolityczny wybuch tego eseju. Zacytowany przez Orwella na wstępie list jest wyściąganiem z odmowy Cape'a. Słynne zachnięcie się Orwella na „kretyńską sugestię wyboru innych niż świny zwierząt dla pokazania bolszewików” wydaje się w pełni usprawiedliwione: Cape, jak widać z listu, dał rzeczywiście do przeczytania manuskrypt „wysokiemu urzędnikowi” Ministerstwa Informacji. A nie wolno zapominać, że książki *nie* były automatycznie przedkładane cenzurze nawet w Anglii czasu wojny. Orwell ma rację: wydawcy podstawiali się sami, nikt ich do tego nie zmuszał.

T. S. Eliot również odrzucił manuskrypt, rozumując podobnie jak Cape, chociaż cały jego list oddaje większą sprawiedliwość pisarstwu Orwella: „Jest to utwór wybitny, świetnie napisana bajka, od czasów Swifta bardzo niewielu autorów mogło się poszczycić takim osiągnięciem”. Pochwale towarzyszyła jednak wątpliwość, czy „jest to właściwy punkt widzenia dla krytyki aktualnej sytuacji politycznej”. Eliot podkreślał że wydaniu nie stoją na przeszkodzie względy „rozważli i ostrożności”, lecz że po prostu żaden z dyrektorów firmy Faber and Faber, łącznie z nim samym, nie jest osobiście przekonany o celowości wydania książki.

Orwell przewidywał trudności. W lutym 1944 pisał do znajomego: „Pracuję nad satyrycznym drobiazgiem, który mógłby pana zabawić, ale politycznie nie jest on na tyle w porządku, abym miał z góry pewność że ktokolwiek zechce go wydać. Może to pozwoli panu odgadnąć temat”. Gollancz, z którym Orwell był wciąż związany umową, odrzucił książkę pierwszy; Orwell zareagował prawdopodobnie westchnieniem ulgi, nie oczekiwał ani nawet nie życzył sobie zgody Gollanca po odrzuceniu przez niego *Homage to Catalonia*.

„To liberałowie boją się wolności, to intelektualiści brylują w zapaskudzaniu intelektu”. Esaj Orwella jest nieumiarkowany. Mógł być inny, zważywszy jak się w tej całej sprawie zachowali



ludzie umiarkowani, cywilizowani i odpowiedzialni? Mimo to sądzę że Orwell postąpił mądrze, rezygnując z użycia go jako przedmowy do *Folwarku Zwierzęcego*: bajka, straciwszy swój wydźwięk uniwersalny, stałaby się wyłącznie powiastką o Stalinie i, co gorsze, projekcją angielskiego sporu literackiego.

W każdym razie esej *O wolności prasy* jest czymś grubo więcej, niż echem przebrzmiałej polemiki. Reasumuje zwięzłe główne motywy licznych wystąpień dziennikarskich i publicystycznych Orwella: że tchórzostwo jest groźbą równie poważną jak oficjalna cenzura. W ostatecznym rozrachunku Orwell nie miał potrzeby atakowania tych, którzy usiłowali wstrzymać wydanie książki i nie dostrzegli w nim pisarza wielkiej miary. Natychmiastowe powodzenie *Folwarku Zwierzęcego*, szesnaście przekładów przed zgonem autora: dość chyba, by przypołożyć błęd wrogów książki. Sam Orwell, w ciągu kilku lat które mu jeszcze pozostały, odsłonił się do reszty jako największy od Swifta satyryk w literaturze angielskiej oraz niezrównany dziennikarz i eseista. Na krótko przed śmiercią powiązał te dwa dary w *Roku 1984*, dwudziestowiecznym odpowiedniku *Lewiatana* Hobbés'a.

W końcu Frederic Warburg zdecydował się wydać *Folwark Zwierzęcy*, ufając pochlebnej ocenie swego lektora T. R. Fyvel'a. Obaj nie przypominają sobie by Orwell wtajemniczał ich w szczegóły projektowanej przedmowy, ale wiem od Fyvel'a i innych że Orwell nie miał zwyczaju zwierzać się nawet bliskim przyjaciołom w trakcie pisania. W korekcie zachowano miejsce dla przedmowy, która nigdy nie nadeszła.

Bernard CRICK

Pomysł tej książki narodził się, jeśli chodzi o jej ideę centralną, w roku 1937; napisałem ją w pierwszym rzucie dopiero pod koniec roku 1943. Było oczywiste, że w chwili wykończenia pojawiają się duże trudności z jej wydaniem (wbrew obecnym brakom na rynku księgarskim, które gwarantują sprzedaż wszystkiego co nazywa się książką), i istotnie została odrzucona przez czterech wydawców. Tylko u jednego z nich grały rolę pobudki ideologiczne. Dwaj od lat wydawali książki antyrosyjskie, czwarty nie posiadał w ogóle żadnego wyraźnego zabarwienia politycznego. Więcej, jeden wydawca zaczął od przyjęcia książki, ale po załatwieniu preliminarium postanowił zwrócić się do Ministerstwa Informacji, które ostrzegło go przed wydaniem książki, lub co najmniej stanowczo mu je odradziło. Oto fragment jego listu: „Napomknąłem o reakcji, jaką miałem od wysokiego urzędnika Ministerstwa Informacji odnośnie *Folwarku Zwierzę-*

*cego*. Muszę wyznać, że ta opinia dała mi sporo do myślenia... Rozumiem teraz, że książka mogłaby być uznana za coś wysoce niewskazanego do wydania w obecnym momencie. Gdyby bajka była skierowana ogólnie do dyktatorów i dyktatur, jej wydanie nie nastęrczałoby żadnych problemów, ale trzyma się ona — jak teraz widzę — tak dokładnie historii Rosji sowieckiej i jej dwóch dyktatorów, że można ją odnieść jedynie do Rosji, z wyłączeniem innych dyktatur. I to jeszcze: byłaby mniej obraźliwa, gdyby kasta panująca nie składała się ze świń. (Nie jest całkowicie jasne, czy ta sugerowana zmiana winna być przypisana panu X, czy też pochodzi z Ministerstwa Informacji; ale wydaje się posiadać pieczęć urzędową — przypisek Orwella). Myślę że wybór świń jako kasty rządzącej dotknie wielu ludzi, zwłaszcza ludzi choć odrobinę drażliwych, a za takich niewątpliwie należy uważać Rosjan”.

Rzeczy tego rodzaju nie są dobrym symptomem. Oczywiście nie jest pożądane by departament rządowy posiadał jakąkolwiek władzę cenzury (z wyjątkiem cenzury podyktowanej względami bezpieczeństwa, przez nikogo nie kwestionowanej w czasie wojny) nad książkami, którym nie patronują instytucje oficjalne. Wolność myśli i słowa nie jest jednak dzisiaj zagrożona głównie ze strony rządu i podległych mu urzędów. Jeśli wydawcy i redaktorzy starają się nie dopuszczać do druku pewnych tematów, to nie z obawy przed pociągnięciem do odpowiedzialności sądowej, lecz z obawy przed opinią publiczną. Tchórzostwo intelektualne jest w naszym kraju najgorszym wrogiem pisarza i dziennikarza; temu faktowi nie poświęca się takiej uwagi, na jaką zasługuje.

Każdy obiektywny człowiek z dziennikarskim doświadczeniem przyzna, że podczas tej wojny cenzura *oficjalna* nie była szczególnie dokuczliwa. Nie poddano nas temu gatunkowi totalitarnej „koordynacji”, jakiego wolno się było spodziewać. Prasa ma takie czy inne uzasadnione pretensje, lecz w sumie rząd zachował się dobrze i okazał się nieoczekiwanie tolerancyjny w stosunku do poglądów mniejszości. Złowieszczy charakter cenzury literackiej w Anglii polega na tym, że jest ona w dużej mierze ochotnicza. Niepopularne idee mogą być stłumione, niewygodne fakty zatuszowane, bez najmniejszej potrzeby uciekania się do zakazu oficjalnego. Ktokolwiek mieszkał długo za granicą, zna przykłady sensacyjnych wiadomości — zasługujących, zdawałoby się, na ogromne tytuły — dla których w prasie brytyjskiej brak miejsca nie dlatego że interweniował rząd, lecz dlatego że według powszechnej milczącej opinii „nie wypada” o nich pisać. Gdy chodzi o gazety codzienne, rzecz jest łatwa do zrozumienia. Prasa brytyjska jest niezmiernie scentralizowana i stanowi w większości



własność bogatych ludzi, którzy mają wszelkie powody ukłęcać chyłkiem łeb pewnym sprawom. Ale ten sam rodzaj zawaalowanej cenzury działa w książkach i periodykach, w teatrze, w filmie i w radio. W każdej stosownej chwili wyływa na wierzch ortodoksja, zespół idei akceptowanych bez wahania przez wszystkich prawomyślnych ludzi. Nikt niczego nie zabrania, ale o tym czy o owym „nie wypada” mówić, jak w epoce wiktoriańskiej „nie wypadało” mówić o spodniach w obecności niewiasty. Jeśli komu strzeli do głowy rzucić wyzwanie panującej prawomyślności, znajdzie się zawsze sposób uciszenia go w sposób zdumiewająco skuteczny. Sądy autentycznie niemodne nie są nigdy dopuszczane do głosu, ani w poczytnych dziennikach ani w elitarnych periodykach.

W tej chwili panująca ortodoksja domaga się bezkrytycznego podziwu dla Rosji sowieckiej. Każdy o tym wie, niemal każdy się do tego stosuje. Wszelka poważna krytyka reżymu sowieckiego, wszelkie ujawnianie faktów które rząd sowiecki wolałby ukryć, nie nadają się do druku. I ta ogólnonarodowa konspiracja kokieterii wobec naszego sojusznika odbywa się, o dziwo, na tle prawdziwej tolerancji intelektualnej. Bo chociaż nie wolno krytykować rządu sowieckiego, wolno w granicach rozsądku krytykować własny. Nie uda ci się wydrukować ataku na Stalina, możesz śmiało w książkach i periodykach atakować Churchilla. W ciągu pięciu lat wojny, z których dwa lub trzy były walką o przetrwanie narodowe, wydrukowano bez żadnych przeszkód ogromną ilość książek, broszur i artykułów, głoszących konieczność zawarcia kompromisowego pokoju. Co więcej, drukowano je nie wywołując zbytej dezaprobaty. Byle nie narazić na szwank prestiżu ZSSR; poza tym obrębem zasada wolności słowa obowiązywała i działała bez zarzutu. Istnieją inne jeszcze tematy zakazane, niektóre z nich wskażę dalej, ale postawa wobec ZSSR jest symptomem najpoważniejszym. Jest ona spontaniczna i nie zależy od akcji grup nacisku.



Służalstwo, z jakim większa część inteligencji angielskiej połykała i powtarzała propagandę rosyjską począwszy od roku 1941, byłoby zdumiewające, gdyby nie to że zachowała się podobnie przy wielu innych okazjach. Ilekroć na wokandę wchodziły kwestie kontrowersyjne, rosyjski punkt widzenia przyjmowany był bez badania, a potem rozpowszechniany z absolutnym lekceważeniem prawdy historycznej czy uczciwości intelektualnej. By przytoczyć jeden tylko przykład, BBC celebrowała dwudziestą piątą rocznicę Armii Czerwonej bez wymieniania Trockiego.

Prawie tak, jakbyśmy obchodzili rocznicę bitwy trafalgarskiej bez wymieniania Nelsona; a przecież pominięcie Trockiego nie spowodowało żadnego protestu ze strony inteligencji angielskiej. W walkach wewnętrznych w różnych krajach okupowanych prasa brytyjska opowiedziała się we wszystkich niemal wypadkach za ugrupowaniami popieranymi przez Rosjan i opluwała ugrupowania przeciwnie, zatajając niekiedy w tym celu dowody rzeczowe. Wyjątkowo jaskrawy był casus pułkownika Michajłowicza, dowódcy jugosłowiańskich czetników. Rosjanie, którzy mieli swojego własnego jugosłowiańskiego protegowanego w osobie marszałka Tito, oskarżyli Michajłowicza o kolaborację z Niemcami. Prasa brytyjska podchwyciła w lot to oskarżenie: nie dano obrońcom Michajłowicza sposobności wypowiedzenia się, nie dopuszczono do druku zaprzeczających mu faktów.

W lipcu 1943 roku Niemcy wyznaczili nagrodę w wysokości stu tysięcy złotych koron za schwytanie Tito i identyczną nagrodę za schwytanie Michajłowicza. Prasa brytyjska roztrąbiła pierwszą nagrodę, lecz tylko jedna gazeta odnotowała petitem wiadomość o drugiej; i pomówienia o współpracy z Niemcami trwały nadal. Bardzo podobne rzeczy miały miejsce podczas hiszpańskiej wojny domowej. Także wtedy ugrupowania po stronie republikańskiej, które Rosjanie postanowili rozgromić, były bezlitośnie obsmarowywane w lewicowej prasie angielskiej; wszelkie próby stanięcia w ich obronie, nawet w formie listu do redakcji, załatwiano odmownie. Dziś jakakolwiek poważna krytyka ZSSR nie tylko uchodzi za karygodną, ale w niektórych wypadkach sam fakt jej istnienia obwarowany jest sekretem. Na przykład, krótko przed śmiercią Trocki napisał biografię Stalina. Wolno przypuszczać że książka nie była całkowicie bezstronna, lecz dawała oczywiście gwarancję poczytności. Amerykański wydawca podjął się wydania i książka była już w druku — rozesłano bodaj egzemplarze recenzyjne, — gdy Związek Sowiecki przystąpił do wojny. Książkę wycofano natychmiast z obiegu. Ani słówkiem nie pisnęła o tym prasa brytyjska, chociaż incydent wart był z pewnością kilkuwierszowej notatki.

Jest rzeczą istotną odróżnić ten rodzaj cenzury, dobrowolnie nakładanej na siebie przez angielską inteligencję literacką, od cenzury wymuszanej niekiedy przez grupy nacisku. Wiadomo, że pewne tematy korzystają ze swoistego immunitetu z uwagi na „prawa uznane”. Najlepiej znanym wypadkiem jest *racket* farmaceutyczny. Albo z innej beczki. Kościół katolicki ma znaczny wpływ w prasie i do pewnego stopnia może zatkać usta swoim krytykom. Skandal dotyczący księdza katolickiego prawie nigdy nie nabiera rozgłosu, podczas gdy w analogicznej sytuacji ksiądz



anglikański błyskawicznie ląduje na pierwszych stronach dzienników. Niezmiernie rzadko epizody o tendencji antykatolickiej przeciskają się na deski sceniczne lub do filmu. Każdy aktor wie, że sztuki czy filmy, w których atakuje się bądź wyśmiewa kościół katolicki, ryzykują bojkot w prasie i prawdopodobnie klękę. Rzeczy tego rodzaju są jednak nieszkodliwe, lub co najmniej zrozumiałe. Każda duża organizacja krząta się w miarę możliwości koło swoich interesów, i nie ma się co oburzać na jawną propagandę. Nie oczekuje się od *Daily Worker'a* niepochlebnych artykułów o ZSSR, jak nie oczekuje się od *Catholic Herald'a* zaczepki pod adresem papieża. Ale myślący człowiek jest z góry przygotowany na to, co znajdzie w obu gazetach.

Niepokojem przejmuję okoliczność, że gdy mowa o Związku Sowieckim i jego polityce, nie można liczyć na inteligentną krytykę albo choćby zwykłą uczciwość ze strony pisarzy i dziennikarzy liberalnych, których nikt bezpośrednio nie przymusza do fałszowania poglądów. Stalin jest święty i pewne aspekty jego polityki nie podlegają w ogóle dyskusji na serio. Ta reguła była niemal powszechnie przestrzegana od roku 1941, ale działała ona, w stopniu o wiele większym niż się czasem sądzi, na przestrzeni całego poprzedniego dziesięciolecia. W latach trzydziestych krytyka reżymu sowieckiego z lewicy napotykała niezliczone przeszkody. Rzucano na rynek masę literatury antyrosyjskiej, ale w przytłaczającej większości były to publikacje konserwatywne i jawnie nieuczciwe, zdeaktualizowane i podyktowane plugawymi motywami. Po przeciwnej stronie płynął równie wezbrany potok równie nieuczciwej propagandy prorosyjskiej, przy równoczesnym bojkocie wobec wszystkich, którzy usiłowali dyskutować sprawę o wielkiej wadze jak ludzie dorośli.

Można było, rzecz jasna, ogłaszać książki antyrosyjskie, ale należało zawczasu pogodzić się z tym, że będą albo ignorowane albo wypaczane w prasie wysokiego szczebla. Zarówno publicznie jak prywatnie bywało się ostrzegającym, że tak pisać „nie wypada”. To co się pisało mogło być ostatecznie prawdą, ale prawdą „nie-wskazaną”, „wodą na młyn” tych czy innych interesów reakcji. Broniono zazwyczaj takiej postawy argumentem, że tego wymagają sytuacja międzynarodowa i pilna potrzeba sojuszu anglososyjskiego; argument był naturalnie racjonalizacją. Inteligencja angielska, lub jej wielka część, wykształciła w sobie nacjonalistyczną lojalność wobec ZSSR, uważając w głębi ducha kwestionowanie mądrości Stalina za coś pokrewnego bluźnierstwu. Nie godziło się przykładać tych samych miar do wydarzeń w Rosji i do wydarzeń gdzie indziej. Weterani walki o zniesienie kary śmierci oklaskiwali niekończące się egzekucje w czystkach lat

1936-38, autorzy artykułów o głodzie w Indiach nie chcieli słyszeć o głodzie na Ukrainie. A jeśli tak się rzeczy miały przed wojną, to atmosfera intelektualna nie jest na pewno lepsza dzisiaj.



Wróćmy jednak do mojej książki. Intelktualiści angielscy zareagują na nią prosto: „Nie powinna być wydana”. Ma się rozumieć, ci recenzenci którym nie jest obca sztuka obmowy zaatakują ją z pozycji nie tyle politycznych, ile literackich. Zawyrkują że jest nudna i głupia, surowo zganią haniebne marnowanie papieru. Może to i prawda, ale nie cała prawda. Nie mówi się o książce że „nie powinna być wydana” jedynie dlatego że jest zła. Maszyny drukarskie produkują codziennie stopy śmiecia, i nikt sobie tego zanadto do serca nie bierze. Inteligencja angielska, lub jej większość, zżymać się będzie na moją książkę za oczernianie Wodza i szkodę wyrządzoną sprawie postępu. Gdyby moja książka nie miała takich grzechów na sumieniu, intelektualiści angielscy darowaliby jej po dziesięciokroć bardziej rażące usterki literackie. Sukces *Left Book Club* w okresie czterech czy pięciu lat dowodzi jak skorzy są przeoczać ordynarność i niedbalstwo, gdy słyszą to co chcą usłyszeć.

Sprawa jest prosta: czy każdy pogląd, choćby był niepopularny, choćby nawet był głupi, ma prawo do tego by go wysłuchano? Na pytanie postawione w tej formie wszyscy bez mała intelektualiści angielscy poczują się w obowiązku odpowiedzieć: tak. Ale nadajcie mu kształt konkretny i zapytajcie: co z atakowaniem Stalina, także ono powinno być wysłuchane?, a odpowiedź będzie przeważnie przecząca. Ledwie się rusza bieżącą ortodoksję, zaczyna kuleć zasada wolności słowa. Umówmy się: kiedy się żąda wolności słowa i prasy, nie żąda się wolności absolutnej. Zawsze musi istnieć, czy w każdym razie zawsze będzie istniał, jakiś stopień cenzury w społeczeństwach zorganizowanych. Lecz wolność, jak to określiła Róża Luksemburg, jest „wolnością dla innych”. Tę samą zasadę wyrażają słynne słowa Woltera: „Brzydzą się tym co mówisz; będę do upadłego bronił twojego prawa do mówienia tego co myślisz”. Jeśli wolność intelektualna, która bez wątplenia była jedną z cech charakterystycznych zachodniej cywilizacji, oznacza w ogóle cokolwiek, oznacza właśnie że każdy winien mieć prawo mówienia i drukowania tego co uważa za prawdę, pod warunkiem że reszcie ludzkiej wspólnoty nie wyrządza krzywdy w jakiś sposób zupełnie bezsporny. Zarówno demokracja kapitalistyczna, jak zachodnie wersje socjalizmu, godziły się do niedawna na tę zasadę bez zastrzeżeń. Nasz rząd, jak już zaznaczyłem, wciąż w pewnej mierze



stara się ją respektować. Zwyczajni ludzie ulicy — częściowo, być może, dlatego że nie są na tyle zainteresowani w ideach, by się do nich odnosić nietolerancyjnie — ciągle mgliście zapewniają, że „każdy ma prawo do swoich przekonań”. To tylko, czy w każdym razie to głównie, inteligencja naukowa i literacka, niejako z natury powołana do strzeżenia wolności, zaczyna nią gardzić i w teorii i w praktyce.

Jedną z osobliwości naszych czasów jest liberalny renegat. Do oklepanego twierdzenia marksistowskiego, że „wolność burżuazyjna” jest iluzją, przyłącza się obecnie nowa tendencja: bronić demokracji, słyszymy, można tylko totalitarnymi metodami. Jeśli się demokrację kocha, trzeba jej wrogów miażdżyć wszelkimi dostępnymi środkami. A jacyż to wrogowie? Okazuje się zawsze że nie ci którzy ją zwalczają otwarcie i świadomie, lecz ci którzy jej zagrażają „obiektywnie” szerzeniem błędnych doktryn. Innymi słowy, obrona demokracji pociąga za sobą zniszczenie niezależnej myśli. Tak, na przykład, usprawiedliwiano czystki rosyjskie. Mało kto z najbardziej zagorzałych rusofilów wierzył w winę oskarżonych: ale skoro ich herezje przynosiły „obiektywną” szkodę reżymowi, zasłużyli w pełni i na śmierć i na fałszywe oskarżenia. Dokładnie tak samo rozgrzeszano łgarstwa prasy lewicowej na temat trockistów i innych odłamów republikańskich w hiszpańskiej wojnie domowej. I podobnie ujadano przeciw *habeas corpus*, gdy Mosley został zwolniony w roku 1943.

Ludzie tego pokroju nie zdają sobie sprawy, że ośmielając metody totalitarne, kopią sobie sami grób. Wprowadzicie zwyczaj więzienia faszystów bez sądu, a może proces nie zatrzyma się na faszystach. Wkrótce po uchynieniu zakazu wydawania *Daily Worker'a* miałem odczyt na wszechnicy robotniczej w południowym Londynie. Audytorium składało się z wykształconych robotników i drobnomieszczańskiej inteligencji, z ludzi jakich widuje się zazwyczaj na zebraniach peryferyjnych sekcji *Left Book Club*. Odczyt zaczął o wolność prasy i pod koniec, ku memu zdumieniu, sporo osób zwróciło się do mnie z zapytaniem, czy nie sądzę że cofnięcie zakazu wydawania *Daily Worker'a* było ciężkim błędem. Czemuż miałbym tak sądzić? No bo jest to gazeta o wątpliwej lojalności i nie powinna być dozwolona w czasie wojny. Znalazłem się w sytuacji obrońcy *Daily Worker'a*, który nie raz wychodził ze skóry by mnie zmieszać z błotem. Od kogóż ci ludzie nauczyli się totalitarnych odruchów? Od samych komunistów!

Tolerancja i przyzwoitość są głęboko zakorzenione w Anglii, nie są jednak niezniszczalne, i trzeba je przy życiu podtrzymywać świadomym również wysiłkiem. Głoszenie doktryn totalitarnych przytępia instynkt, dzięki któremu ludzie wolni wiedzą co jest

bądź nie jest niebezpieczne. Dowodem sprawa Mosley'a. W roku 1940 słuszne było internowanie Mosley'a, niezależnie od tego czy popełnił przestępstwo w sensie technicznym. Walczyliśmy o nasz byt, nie mogliśmy pozostawić na wolności ewentualnego quislinga. Trzymanie go pod kluczem, bez sądu, w roku 1943 było hańbą. Źle świadczy że tego nie rozumiano, chociaż prawdą jest że agitacja przeciw zwolnieniu Mosley'a była po części sztuczna, a po części stanowiła racjonalizację innych żalów. Ale ile z obecnego ześlizgu w stronę faszystowskich ciągotek myślowych da się wyprowadzić z „antyfaszyzmu” minionych dziesięciu lat i braku skrupułów jaki narzucił?



Należy sobie uprzytomiać, że bieżąca rusomania jest tylko przejawem ogólnego osłabienia zachodniej tradycji liberalnej. Gdyby Ministerstwo Informacji wkroczyło na dobre i definitywnie zakazało wydania mojej książki, większość inteligencji angielskiej nie dostrzegłaby w tym nic niepokojącego. Obowiązuje dziś bezkrytyczna lojalność wobec ZSSR, gdzie więc wchodzi w grę domniemane interesy ZSSR, wolno tolerować nie tylko cenzurę, lecz rozmyślne fałszerstwo historii. Znowu przykład. Po śmierci Johna Reed'a, autora *Dziesięciu dni które wstrząsnęły światem* — relacji naocznego świadka o pierwszych dniach Rewolucji Rosyjskiej — prawa autorskie książki przeszły w ręce Brytyjskiej Partii Komunistycznej, której Reed bodaj zapisał je w testamencie. W kilka lat później komuniści brytyjscy, zniszczywszy pierwodruk książki tak dokumentnie jak się dało, wydali wersję okrojoną z której wymazali Trockiego i usunęli przedmowę Lenina. Gdyby istniała jeszcze w Anglii radykalna inteligencja, ten akt fałszerstwa byłby opisany i schłostany we wszystkich pismach literackich. W rzeczywistości zapadła cisza, czy ktoś tam coś bąknął półgębkiem. Dla wielu intelektualistów angielskich rzecz była najzupełniej naturalna. Ta tolerancja a raczej zwykła nieuczciwość znaczy grubo więcej, niż aktualna, przepojona admiraacją, moda na Rosję. Bardzo możliwe bowiem, że moda długo nie potrwa, że w momencie wydania tej książki mój pogląd na reżym sowiecki będzie poglądem potocznym. Lecz jaki z tego pożytek? Zastąpić jedną ortodoksję drugą niekoniecznie jest postępem. Wrogiem jest umysł gramofonowy, wszystko jedno czy się zgadzamy czy nie z puszczoną właśnie płytą.

Znam na pamięć argumenty przeciw wolności myśli i słowa — argumenty z których wynika że nie może istnieć, argumenty które podkreślają że istnieć nie powinna. Odpowiadam najprościej że nie trafiają mi do przekonania, i że od czterech stuleci



nasza cywilizacja opiera się na pojęciach wręcz odwrotnych. Od dziesięciu przeszło lat uważam reżym sowiecki za z gruntu zły i domagam się prawa mówienia tego na głos, wbrew faktowi że ZSSR jest naszym sojusznikiem w wojnie, której zwycięskiego końca pragnę jak inni. Gdybym musiał podeprzeć się jakimś tekstem, mój wybór padłby na linijkę z Milтона: *Według znanych zasad antycznej wolności*. Słowo *antycznej* uwydatnia okoliczność, że wolność intelektualna jest głęboko zakorzenioną tradycją, bez której nasza kultura zachodnia nie mogłaby egzystować. Od tej tradycji odwracają się aż nadto wyraźnie liczni nasi intelektualiści. Przyjęli oni zasadę że książkę wypada opublikować lub utracić, pochwalić lub zjechać, nie w zależności od tego ile jest warta, ale mając na oku jej polityczną przydatność. A inni, choćby nawet nie podzielali takiego punktu widzenia, przytakują mu ze zwykłego tchórzostwa. Przykładem angielscy, tak zawsze wymowni pacyfiści, którzy nagle oniemieli w obliczu kultu militarystyki rosyjskiego. Ich zdaniem wszelki gwałt jest zły, w każdym kolejnym stadium wojny wzywali nas do poddania się albo co najmniej do zawarcia pokoju kompromisowego. Ilu z nich jednak odważyło się powiedzieć, że wojna jest również zła kiedy prowadzi ją Armia Czerwona? Widocznie Rosjanie mają prawo się bronić, podczas gdy my broniąc się popełniamy grzech śmiertelny. Można tę sprzeczność wytłumaczyć w jeden tylko sposób: tchórzowskim pragnieniem dotrzymania kroku większości inteligencji, która swój patriotyzm kieruje raczej pod adresem ZSSR niż własnego kraju.

Wiem że inteligencja angielska ma mnóstwo powodów do nieśmiałości i nieuczciwości, znam na pamięć argumenty którymi się usprawiedliwia. Ale dajmy przynajmniej spokój nonsensom o obronie wolności przeciw faszyzmowi. Jeśli wolność cokolwiek w ogóle oznacza, to przede wszystkim prawo mówienia ludziom tego o czym nie chcą słyszeć. Ludzie proszą wciąż mgliście uznają taką wykładnię i stosują się do niej w życiu. W naszym kraju — nie na całym świecie: nie tak było w republikańskiej Francji, nie tak jest w Stanach Zjednoczonych — to liberałowie boją się wolności, to intelektualiści rwą się do zapaskudzenia intelektu. Napisałem niniejszą przedmowę po to, by zwrócić uwagę na ten fakt.

George ORWELL

(Przełożył Gustaw Herling-Grudziński)

## Podróż \*

Wpierw był mrok. Spowijał ciało jak czad, dym, jakże by więc mógł przeczuć cokolwiek? Nawet w chwilach, kiedy budził się na krótko, czy też odmykał powieki nie budząc się wcale, słysząc tylko dzwonienie telefonu w sieni, kroki, jakąś niezrozumiałą krzątanie w swym pokoju, słowa: że sędzia, wuj August coś tam w Krzyżtopolu, że Aleksy, że Durchlassenschein, których sensu nie pojmował; albo wyławiając z grząskości raptem intensywniejszego światła sylwetkę matki, czy pochylając się nad jego twarzą zatroskaną twarz którejś z ciotek. Potem mrok pękł raptem na dwoje, kiedy Róża, pokojówka, wniosła do pokoju tacę ze śniadaniem, stanęła nad łóżkiem, zaczęła przypatrywać się mu z wyrazem załknienia w oczach, jak bezradnie wiośtuje rękoma na poduszce, ciągle jak gdyby nie mogąc się ze snu wyrwać, a przez pozostawione otworem drzwi znowu wtargnęły do wnętrza odgłosy nerwowego pośpiechu w reszcie domu, głośniejsze, bardziej natarczywe niż przedtem, choć przecież nie mogło się nic takiego zdarzyć, co by je tłumaczyło (tylko, że on nie starał się dociec czegokolwiek — ani dlaczego ta dziewczyna stoi tak milcząco, ani dlaczego nie ma zamiaru wyjść z jego pokoju — bo może dalej spać usiłując z trudem wytrzymać jej uważny wzrok), aż wreszcie jego słuch wyodrębnił spośród wszystkich innych dźwięków kroki Katarzyny.

Więc chyba dopiero wtedy coś przeczuł. A właściwie parę sekund później. Kiedy Katarzyna ukazała się na progu, przekroczyła go, mimo że nigdy przedtem tego nie robiła i — znając ją, wiedział — nie powinna była tego zrobić, prawdę zaś mówiąc, to jeszcze później. Kiedy sobie uświadomił, że odgłos jej kroków

\* Rozdział III nowej powieści Włodzimierza Odojewskiego pt. „Zasypie wszystko, zawieje...”, która ukaże się w Bibliotece „Kultury”.



jest inny, niż zawsze i spostrzegł, jak Róża umyka, jak gdyby zdmuchnął ją przeciąg. Właśnie wówczas już naprawdę to przeczuł. Zanim usłyszał pierwsze z owych dwóch zdań, które Katarzyna wypowiedziała (wzburzonym, hamowanym głosem): „Nic w ten sposób Aleksemu nie pomożecie, to nie jest mu potrzebne, a sami możecie nie wrócić!”, po którym spoglądali na siebie w zdumieniu, jak gdyby dopiero teraz nawzajem się zauważyli: ona — jego na łóżku, w rozchełstanej na piersiach piżamie, z tą szklanką po mleku wciąż jeszcze w dłoni, on — ją, pierwszy raz, od kiedy zamieszkała pod glebowieckim dachem przed trzema laty, stojącą w głębi jego kawalerskiej sypialni. A potem padło zdanie drugie: „Zresztą rób, co chcesz, to wasza rodzinna sprawa”, tyle że wypowiedziane już przez nią głosem nie tym samym, lecz zrezygnowanym, pogodzonym, prawie że uległym, i zaraz odwróciła się wolno i dotknęła czoła dłonią jednym z owych nieświadomych gestów, które nic nie znaczą, ale które zapamiętuje się na zawsze.

Jeszcze nim wyszła zdążył pomyśleć, że tego drugiego zdania nie musiała wcale powiedzieć. „TO” już w niej było. Przecież przeczuwał, czego żąda od niego rodzina, prócz jej jednej, Katarzyny, której może bardziej niż komukolwiek zależeć powinno na tym, co miał zrobić dla brata. Ale już drzwi się za nią zamknęły. I zaraz, zasypiając powtórnie, świadomość tamtego swojego przeczucia w ciemność snu ze sobą zabrał, a odgłosy, jakie do niego później docierały znowu nieprzerwanie: krzątający w głębi domu, telefonów, rozmów, że wuj August w Krzyżtopolu, że Durchlassenschein, że Aleksy, że jakieś tam papiery z Ortskommendantur i że wszystko niebawem będzie gotowe, dalej śnił, aż naprawdę został obudzony, brutalnie z tamtej ciepłej ciemności snu wyrwany, że wszystko gotowe, bo rzeczywiście wszystko już było gotowe: i walizka, i ubranie na drogę leżące obok łóżka na krześle, i dokumenty potrzebne do podróży na wschód, i zezwolenie na pobyt w strefie przyfrontowej, wydane przez Niemców, tak że on wkrótce też był gotów (czy chciał, czy nie chciał, gdyż to musiało go spotkać), w bryczce, uwożącej go na kolejową stację do Krzyżtopola, siedzącego z matką, wujem i ciotką Felicją, i słuchał tępo pouczeń obu kobiet, tych rozmaitych nieprzydatnych słów, które zwykle mówią sobie ludzie przed rozstaniem, niewiele z nich pojmując. Później, patrząc przez okno swego przedziału, pochwycić zdążył jeszcze bladą próbę uśmiechu na twarzy matki i nieokreślony ruch ręki ciotki, lecz uśmiech matce się nie udał, bo zanim się domyślił, że ma on być uśmiechem, rozpełzał się w smutnym grymasie warg, ruchu zaś ciotki ręki w ogóle nie zrozumiał i pomyślał:

„Oczywiście, tak musiało być. Tak chciał los. Żebym właśnie w tej, a nie innej chwili spotkał się z Aleksym. Najmniej odpowiedniej. Gdy zabrałem mu żonę”. A jeszcze później kobiety pozostały nieruchome, zastygłe, unieruchomione jego ostatnim spojrzeniem na umykającym do tyłu peronie. Za plecami posłyszawszy wdzierający się w wielojęzyczny gwar okrzyk: „Transportführer!”. Gdy się odwrócił od okna, zobaczył ryżego człowieczka, który wyskoczył z gromady spowitych machorkowym dymem robotników i że po chwili cała ta polsko-rusińsko-besarabska zbieranina ciągnąca zapewne na przymusowe prace w głąb Ostlandu zgarnia niechętnie z ławek liche swe tobołki i przetacza się do wagonu sąsiedniego zostawiając za sobą odór tłuszczu, długo nie mytej w podróży skóry, chleba i fasolowej zupy, a na jej miejsce wkraczają z przedsiönka żołnierze węgierscy jakiejś pomocniczej służby. Zajął kąć przy oknie, osłonił się prochowcem, przymknął oczy i udawał, że jest senny, choć obecnie senny nie był. Słyszał, jak wuj August rozmawia z kimś po niemiecku i głosy Węgrów w tym niepodobnym do żadnego z europejskich języku, i kotłujący się wciąż jeszcze gwar w przedsiönku, gdzie bahnschutze rewidowali bagaż i sprawdzali dokumenty, a gdy odmykał powieki, to widział zarośnięte, zielonkawo twarze nędzarzy jadących na handel z tłomokami wypchanymi zapewne marną żywnością, twarze, z których wyzierały wygasłe, wycięte w czerwonej otoczce oczy, i jak gdzieś przeganiani nikną z pola widzenia, potem że bahnschutze także nikną, i jak rozlokowani już Węgrzy rozpakowują plecaki, kroją chleb, przydziałową „Gummiwurst” i zaczynają się melancholijnie posilać. Chcąc się jak najprędzej oddalić od tego miejsca i czasu, powtarzał w myśli: „Tak musiało być. Choć to najmniej odpowiednia chwila, żeby tam jechał”, aż wreszcie poczuł pęd nabierającego szybkości pociągu, który chłodził wnętrze, mimo że nie był nawet wiatrem, ruchem powietrza zaledwie wpychającym do wagonu żywczy wiew sosen, szeleszczący i zielony, i to on może właśnie, ten pęd sprawił, że także i to wszystko, o czym wolał teraz nie pamiętać (o potwierdzeniu zbrodni dokonanej na bracie, o tym, co z jego żoną zrobił, do czego ją doprowadził), oddalać się od niego poczęło w rytmie stukotu kół. I choć jeszcze Katarzyna, gdy się zbliżyła poprzez mgłę pod powiekami, powiedziała: „Sam chciałeś tego. I również, żeby on umarł. Chciałeś” (nie, nie chciał nigdy), to jednak jej twarz oszpecona ironią prędko zatarła się w mroku i później widział tylko wysoko sklepioną głowę kobiety, rozgarnięte białym przedziałkiem włosy łączące się nad karkiem, w swej gładkości i ciężarze, jak płynny mosiądz, w którym zatracają się poszczególne pasma, pozostawała zaś niewiarygodnie luźna substancja o połyskliwych, metalicznych powierzchniach, wreszcie



i głowa zniknęła i posłyszał: „Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię być sama”, głos dochodzący z przepastnego wnętrza ciemności, i pomyślał, że kiedy Katarzyna zbliżyła się do niego o świcie naprawdę (nie, nie we śnie, jak teraz, ani wiele razy przedtem, kiedy jej twarz podobnie się zbliżała pochłaniana przez mrok, jej głowa, ręce i ciało) i naprawdę powiedziała: „Nie zostawiaj mnie samej”, to już wtedy przewidywał, że miną bezpowrotnie upały (mimo że był dopiero środek lata), nadejdą deszcze i chłody, zanim dopiero powtórzy ona raz jeszcze z taką samą niewymuszoną szczerością: „Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię być sama”.

Ocknął się, gdy pociąg ruszał z jakiejś kolejnej stacji. Musieli ujechać spory kawał drogi, skoro przedział tonął już w świetle mierzchnącego dnia. Wuj August z zamkniętymi oczyma siedział naprzeciw, kiwał się w rytm poruszeń wagonu bezwładnie, miękko, podparty sflaczałymi dłońmi i dopiero, gdy on, Paweł, się dzwignął z miejsca, z kieszeni zaś wypadła mu chusteczka, raptem się pochylił, podniósł ją z podłogi (była to chusteczka Katarzyny, nawet z jej monogramem wyhaftowanym w narożniku) i oddając mu ją spojrzał wzrokiem, jakim już raz o świcie go obrzucił, widząc wybiegającego z tamtej sypialni, tragicznym, wciąż jeszcze pełnym zdumienia, i zapytał: „Więc to musiało się zdarzyć? Teraz?”, głosem tłumionym, ale dociekliwym, a on: „Nie”, odrzekł, „Nie. Na pewno nie”, czując dłoń wuja na swojej ręce i słysząc znowu: „Powiedz prawdę. Ja też bym tak może postąpił, gdybym musiał kobietę zatrzymać. Ale czy teraz? Właśnie teraz? Powiedz prawdę”, i wtedy wyszarpnął się od wuja w stronę okna i wyrzucił z siebie ostro: „Daj spokój! Do jasnej cholery, daj mi spokój! To nie miało nic wspólnego z Aleksym”, aż rozmawiający ze sobą półgłosem Węgrzy zamilkli i popatrzyli zdziwieni.

Potem wsparty łokciami o krawędź opuszczonej szyby, stał plecami do przedziału. Miał przed oczyma ruchomą tylko, przesuwaną się mglistą głębię i, choć je szeroko rozwierał, nie widział absolutnie nic. Dopiero po jakimś czasie, gdy fala krwi odpłynęła od głowy w dół, mgła zaczęła ustępować i powoli wyłonił się z niej uchodzący do tyłu las poprzetykany zagajnikami, na których skraju krzewy derenia wyglądały, jak zakonnice idące w przeciwnym niż pociąg kierunku równym szeregiem. Cień od drzew stawał się coraz głębszy, tak że gdy wreszcie się odwrócił, przedział był prawie niewidoczny. Jedynie plama żaru papierosa rozjarzająca się raz po raz czerwono wskazywała wuja Augusta. Powiedział do niego już spokojnie: „Za dwie, trzy godziny minie Baranowicze”. Chwilę odczekał, czy wuj się

odezwie, ale nie, nie odezwał się nawet słowem; ten jego papieros wkrótce zgasł.

Dopiero gdzieś w połowie nocy posłyszał głos wuja znowu. Huk detonacji wzerający się w uszy wraz z trzaskiem miazdzonego w pobliżu żelastwa poprzedziły być może o sekundę, lub dwie, zajadłe terkotanie karabinu maszynowego; walizki i kuferki spadały z półek. Głos wuja był opanowany, chłodny, inny niż przedtem. Uspokajał kogoś z współpasażerów, że to jedynie na bocznym torze z Ostroga, że dojeżdżają do Krzemieńca i że wszystko skończyło się szczęśliwie, przynajmniej dla nich, tu partyzanci atakują najczęściej. Potem pociąg ponownie zaczął nabierać rozpędu, łuna została w tyle, a ludzie powracali od okien. Słyszał ich trwożne komentarze, natomiast głosu wuja już nie, i myślał:

„Gdyby zapytał mnie teraz... I gdybym nie musiał widzieć jego zdumionego, potępiającego wzroku... Może bym mu powiedział dłaczego zrobiłem to teraz. I może zrozumiałby”. Potem długo była głucha cisza, przynajmniej tak mu się wydawało, a gdy otworzył oczy, stali już na jakiejś większej stacji. Nikłe światelka kolejarskich lampek migotały szybko, na bocznicach sapały lokomotywy, słyszał krzyki komend, na przemian to ukraińskich, to niemieckich, i gdzieś dalej w przedziale śpiewnie zaciągający z rusińska głos człowieka, który zdawał się mówić do siebie (choć mówił do wuja Augusta, bo papieros sędziogo znowu tlił się, ukazując w ciemności jego profil), głos niezmiernie utrudzony, przetrawiony na wskroś rezygnacją i stary. Słyszał, jak mówił on że: „Razem z Polską, proszę pana, na długo upadła sprawa wolności również dla nas, Ukraińców. Zresztą dla Białorusinów, Litwinów, Łotyszów i Estów tak samo. Jej upadek, proszę pana, stał się największym sukcesem Moskwy. Historia nazwie to najokrutniejszą klęską Europy. I nic się już nie da naprawić. Bo to, co moi rodacy jeszcze robią, to są szaleńcze tylko zrywy. A najczęściej prymitywne i haniebne, proszę pana. Jedynie Moskwa sowiecka je zdyskontuje. Pochłoncie nas wcześniej, czy później. A może i was Polaków też. Choć macie tak stare tradycje państwowe. Nie umieliśmy, proszę pana, zawczasu, ani wy, ani my dojrzeć naszego prawdziwego wroga”, aż dalszy ciąg jego monologu rozmielony został przez dudnienie kół. A później zdradzić się musiał jakimś ruchem, bo głos wuja skierowany do niego zapytał: „Nie śpisz?” i ożywił się myśląc, że wuj zapyta jeszcze raz o tamto, a on będzie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą, lecz następne pytanie było obojętne: „Może coś zjesz?”, odpowiedział więc, że nie, że chce spać, pęd zaś i powiew, i szum pędu naprawdę go uspiły.

Potem był już jasny dzień. Na ławce naprzeciw spał na wznak



gruby cywil głośno oddychając otwartymi ustami, jeden z Węgrów czytał gazetę, a reszta pasażerów stała w korytarzu, przyglądając się przez okno okolicy. Stojący z wujem Augustem w drzwiach na korytarz mężczyzna w zgrzebnej popiej sukni rozwodził się o nicości życia i udręce wędrówki po ziemskim padole, a sędzia przytakiwał mu bez większego entuzjazmu. Równina za oknem ustępowała lasom. Wzdłuż torów ukazywały się wyręby i bunkry, niekiedy widać było roztrzaskane, zwalone z nasypu wagony, nad rozgrzaną zaś ziemią, niezbyt wysoko na równie rozgrzanym niebie, przelatywały co jakiś czas stalowosine Storchy. Pociąg był już daleko poza przedwojenną granicą polsko-sowiecką. Paweł przypomniał sobie myśl, z którą, zdawało mu się zasypiał: „Więc jeszcze to mnie czeka. Ciało brata”.

Dźwignął się z miejsca. Czuł się niedobrze i bolała go głowa. Wyciągnął z walizki paczkę z zapasami żywnościowymi przygotowaną przez matkę. Zjadł śniadanie. Po paru łykach kawy z termosu poczuł ostrą trzeźwość i pożałował, że jadł. Nie mógł się pozbyć złudzenia dojmującego chłodu. Gdy pasażer z przeciwka obudził się, on udał, że śpi. Trząśnięcie powoli, mocno, równomiernie, czując we wnętrzościach zjedzony przed chwilą chleb z szynką, jeszcze ciepły od kawy, ubity w twardą papkę, która podlegała tym samym powolnym, nieustannym wstrząsom, jak gdyby napełniony po brzegi, obciążony żołądek był w jego ciele niezależną od reszty, obcą rzeczą. Myślał: „Znajac matkę, powinienem był przeczuć wcześniej. Że nie zazna spokoju, zanim jej pierworodny syn nie spocznie w poświęconej i prawdziwie własnej ziemi. Ale jaka ziemia jest teraz własna? A nawet jeśli jest, jak długo jeszcze nią pozostanie!” A później myślał, że będzie musiał wkrótce spojrzeć na sponiewierane, zżarte przez robactwo ciało Aleksego, w te jego puste na zawsze oczodoły, na to ciało, które nie zakończyło wciąż jeszcze swej ziemskiej tułaczki, choć on, Paweł, dawno już chciał sobie zabrać, a nawet teraz zabrał to, co było mu, temu ciału brata, być może najdroższe, i będzie musiał, po raz któryś już z rzędu, znowu zadać sobie pytanie, czy postąpił dobrze. Wiedział, że nic takiemu spotkaniu obecnie nie zapobiegnie. Lecz ból głowy stępiał myśli. Zmysł powierzchownej obserwacji tylko, wyostrozony do granic wytrzymałości (zapewne na skutek działania wypitej kawy), na sekundy zatrzymywał w świadomości przetaczający się za oknem pejzaż, natomiastnie niezmienny, lasy, pola dawno dojrzałe do żniw, aczkolwiek nie zżęte, przeplecione z ugorami, tu i ówdzie ruiny wsi, zabłąkane wśród nich z rzadka całe domostwa, a także nędzne stacje strzeżone przez żołnierzy w mundurach Ostlegionu albo policjantów białoruskich, niczego jednak nie utrwalając, tak samo jak twarzą zmieniających się w wagonie podróżnych; i słuch wyłapywał zdania

wypowiadane w różnych językach, często również po polsku, nie zachowując w pamięci więcej nad strzępy, choć i to na krótko, że soda w Warszawie kosztuje 11 złotych, w Mińsku 50 Ostmarek, w Smoleńsku aż 65 za kilogram płacą, że najlepiej sprzedaje się drożdże, bo wiadomo, do pędzenia bimbru, zaś największy popyt jest na cukier. A po jakimś czasie zbliżyła się do niego twarz wuja Augusta. Jego łysa, jak dynia, czerwona, ociekająca strużkami potu głowa pochyliła się nad nim i wuj zapytał, co mu jest, czy źle się czuje, i posłyszał swój własny głos niespodziewanie zrównoważony, chłodny, odpowiadający zupełnie rzeczowo, że nic, że czuje się dobrze, jest tylko jeszcze senny, choć senny nie był ani trochę, i znowu głos wuja: „Za godzinę Mińsk”. Widział, jak wuj wdychając siada, wyjmując z kieszeni wielką, kraciatą chustkę i przeciera nią twarz, głowę i kark ruchami niezmiernie wolnymi, rozciągniętymi nienaturalnie w czasie i nieprecyzyjnymi, potem składa ją na czworo, coraz bardziej swe ruchy jak gdyby zwalniając, jak chowa do kieszeni z powrotem, i to już był Mińsk, ruiny dworca, barak Czerwonego Krzyża, „Verpflegung und Betreuungstelle”, walające się wszędzie poskręcane, zardzewiałe żelastwo, zerwane przewody, pozginane blaszane beczki po benzynie, puszki po konserwach, zwoje kolczastego drutu, resztki nadpalonych drewnianych słupów, dalej latryny, tłum obładowanych pakami handlarzy nurkujących pod wagony, ażeby umknąć kontroli, i głos wuja rozległ się znowu: „Ponoc na jednym z bocznych torów mamy coś wkrótce do Smoleńska. Trzeba uważać. Jeżeli przepuścimy ten jedyny dla cywilów pociąg, stracimy cały dzień”, który dotarł do niego z opóźnieniem, kiedy sędziego w przedziale już nie było, niosąc bowiem obie ich walizki przeciskał się do drzwi. I zaraz Paweł przebiegłszy za wujem przez perony, stał przed długim składem wagonów towarowych w ostrym słońcu, czując wciąż jeszcze walenie pulsów w skroniach, tępo przypatrywał się, jak feldżandarmi kontrolują dokumenty, odpowiadał zgodnie z tym, co przecież miał tam napisane: jak się nazywa, skąd jedzie, dokąd, po co i dziwił się dlaczego mówi tak cicho, że sam siebie ledwo słyszy. A potem był już w wagonie. Leżał na wiązce słomy rozrzuconej między imitującymi ławki deskami zajętej przez nieokreślonej profesji międzynarodową hałasnąrę spędzoną przez uzbrojonego konwojenta, dalej odpowiadał wujowi, że naprawdę nic mu nie jest, że wszystko w porządku, położył się tylko dlatego, że nie ma gdzie sięść, choć leżał zanim jeszcze zajęto siedzące miejsca, a wilgotny przedburzowy upał i gorący smród wagonu, zaciskały mu się na szyi, jak obręcz. Pociąg przecinał rozległe obszary łąk i lasów, rozlewisk i mszarów: kępy obagnionej łozy, karłowate sosny, olchy, krzaki bahunu, wokół których błękitniało od jagód



pijanic, gęstą siatkę wijących się leniwie strumieni i czarne oka stojącej martwo, czarnej wody. W toczonych przez współpasażerów rozmowach nazwy Smoleńsk i Katyń powtarzały się coraz częściej. Ale wciąż to, co go czekało tam, gdzie jechali, od siebie odsuwał. Dopiero później to się stało. Na jednej ze stacyjek, gdzie stali dłużej, gdyż uprzątao po niedawnym bombardowaniu tory. Gdy wyskoczył z wagonu i pobiegł szukać studni (miast której znalazł strugę wijącą się w bagiennej brzezince) i napiwszy się, zdjął marynarkę i się umył, a potem, stojąc z mokrymi rękami i twarzą, nasłuchiwał odgłosów stacji. To stało się właśnie wtedy. Poczuł niepojęty, metafizyczny wprost lęk przed ostrością czegoś, co może niebawem uderzyć gwałtownie i niespodziewanie. Nazwy tamtych miejscowości były dlań dotychczas pojęciami tylko oderwanymi, niezmiernie odległe w przestrzeni, a przez to mało prawdziwe, obecnie zaś czuł ich realność tak samo, jak wówczas, kiedy ktoś mówił: Gleby, Czuprynia, Krzyżtopol, albo Lwów, Warszawa lub Kraków.

Z daleka od torów niósł się stuk łomów o żelazo, nawoływania ludzi, wysoko w górze nie huczały samoloty, kwiliły jedynie gdzieś młode jastrzębie, i tych dwóch nazw: Smoleńsk i Katyń, teraz krzyczących w głowie, słuchał przez długą chwilę w napięciu. Zrazu nie zwrócił uwagi na gromadkę zdziczałych, obszarpanych dzieci, które podeszły i oglądały go z pierwszym splotem zaciekawieniem, jedno zaś, śmielsze, dotknęło zdumione jego wieszanej na gałęzi marynarki. Potem jednak zwrócił na nie uwagę. Przyjrzał im się i ten krzyk w głowie, ten niepokój, metafizyczny lęk przed gwałtownością i ostrością czegoś, co niebawem uderzy, przepadły. Przyjął to, był nagle pogodzony ze wszystkim, co go spotka, a w myśli powiedział sobie: „Oni też są biedni, też zepchnięci na to samo dno”. Wyjął z kieszeni kilka Ostmarek i wyciągnął ku dzieciom rękę, ale cofnęły się nieufne, tak że dopiero, gdy położył pieniądze na ziemi i odstąpił, najstarszy chłopak zbliżył się ostrożnie i je podniósł. Odchodząc, odwrócił się jeszcze raz. Zobaczył, że chłopak skłonił się za nim głęboko, po chłopsku, po rosyjsku w pas, tym odwiecznym niewolniczym ruchem, a myśl powtarzała mu: „Oni są na dnie od wieków”.

Przed stacyjką znudzeni Niemcy zabawiali się rzucaniem kamieni w garnki nadziane na sztachety płotu; od nagrzaných podkładów kolejowych zawiewało ostro zapachem krezozotu. Jakiś feldfelbel siedzący na ławce przywołał przechodzącą z malinami dziewczuszkę w przetartej męskiej koszuli przepasanej kitajką, zaciągnął ją na kolana i Paweł widział, jak żołdak zabiera się do obmacywania ledwo rysujących się pod płótnem piersi małej, jak ta się wyrzywa pobekując cicho, wreszcie uderzona w twarz, toczy się pod mur i stoi tam szara, mizerna, z ustami wykrzy-

wionymi, okrągłym czarnym otworem w ramce nadpsutych żeńców, rozdziawionym do krzyku. Niemiec zaś odchodzi leniwie ku oczyszczającym tory rosyjskim jeńcom i zabawiający się przy płocie śpiewają za nim ze śmiechem: „*Lass das sein Otto, du bist ein Schwein, Otto...*”. Lecz już był znowu w wagonie, znowu na swojej wiązce słomy, leżał na wznak z otwartymi oczyma, patrząc w sufit, a w głowie teraz nic mu nie kołatało, żaden krzyk, żaden głos, był zupełnie spokojny. Po jakimś czasie lokomotywa gwizdnęła, ze szczękiem złącz przebiegł do tyłu wagonu chrobot osiek, głębokie, powolne sapnięcie pary i pociąg ruszył.

Potem Paweł znowu się zdrzemnął. A gdy się ocknął byli już w Smoleńsku. Słuchając głosu spikera płynącego z głośników wiszących na murach: „*Wir geben die Luftlage...* samoloty nieprzyjacielskie nadlatujące z północnego wschodu kierują się na południe...” przesiani zostali przez sito policyjnej kontroli i po krótkim błądzeniu udało im się wydostać spośród zgłiszczy dworca. Miasto objawiło im się rzędami nagich murów ziejących z wewnątrz pustką, pełną zarazem ciężkiej, głuchej rozpacz. Szli ulicą o potrzaskanych brukach z zasypanymi czarnym żużlem lejami po bombach, gdzie tu i ówdzie ocalałe trzypiętrowe budynki zdobiły szyldy: Haus Lichtenstein, Haus Sachsen, Haus Brandenburg i jeszcze innych hausów, przyczółków Germanii na Dalekim Wschodzie Europy. Jeszcze dalej baraki z tabliczką „*Feldbauleitung d/Lw. Smoleńsk-Süd*”, a między barakami bunkry zbite z drewnianych bali i obsypane grubo ziemią. Z rzadka przemyskający przechodnie odziani w dziwnego kroju kapoty, których zatrzymywali z wujem Augustem, pytając po rosyjsku o miejscowy Touristenheim, odpowiadali niechętnie i lękliwie. Niemców nie było prawie widać. Dopiero u wylotu ulicy zauważyli grupkę żołnierzy ściągających zewsząd do kasyna, okazałego budynku dawnego „*Domu Krasnoj Armii*”, jak głosił nie zatarty jeszcze napis. Szybko zbliżała się godzina policyjna i przechodniów było coraz mniej. Szli przez doszczętnie zburzoną dzielnicę na wycucie, aż wuj powiedział: „*Żeby nas tylko tutaj nie trzasnęli*”, gdzieś bowiem daleko zawyła syrena przeciwlotnicza, powietrzem wstrząsnęły detonacje odstrzału artyleryjskiego i wypalone mury odbiły echem zduszonych, ludzkich jak gdyby głosów. Jednakże wpadli na niemiecki patrol żandarmerii, który przetrząsnawszy im walizki, po wysłuchaniu wyjaśnień nie potraktował ich zbyt brutalnie, lecz wskazał drogę na plac przy bizantyjskiej katedrze rysującej się w księżycowej poświacie, niby srebrna góra nad czarnym wawozem i trafili tam na poszukiwany zespół baraków. Były jeszcze krótkie formalności w biurze mel-dunkowym. Nawet uśmiech zrozumienia na twarzy Niemca stemplującego im dokumenty, kiedy otrzymał od wuja sędziego odpo-



wiedź, w jakim celu przybyli, a tęga, o szerokiej, prostacko ładnej twarzy dziewczyna siedząca przy rozdzielniku telefonicznym, zapewne Rosjanka i tłumaczka, obrzuciwszy ich długim spojrzaniem, powiedziała dość poprawną niemczyzną, że mieszka tu także ksiądz z Warszawy, który przyjechał w tym samym, co oni celu i że mogą zabrać się z nim rano na miejsce specjalnym samochodem. Gdy potem Paweł skłonił się lekko i powiedział po rosyjsku: „Dziękuję” odrobinę za głośno, niż było trzeba, ona spojrzała na niego jeszcze raz. Właśnie na niego, nie na wujka. Zauważył, że poruszała dziwnie głową i nagle wydało mu się, że w jej wzroku pojawił się wyraz, jak gdyby przypominania sobie czegoś, przypominania mimowolnego, wcale nie pożądanego, jakieś niepokojące ją samą cofnięcie się do przeszłości, odwrócenie się i zarazem wysięk, aby to przypomnienie, wspomnienie, czy cokolwiek to było usunąć z pamięci, odrzucić. Zabrał klucz i chciał odejść z wujem, ale ten wzrok dziewczyny go zatrzymał. To była jednak tylko sekunda albo dwie, bo już patrzyła wzrokiem znowu pozbawionym głębi; nie wyrażał niczego, ani zainteresowania bądź braku zainteresowania, ani dobroci bądź podłości, niczego w ogóle; oczy jej były jedynie zimne, obojętne, może nieco sennie. Znowu powiedział do siebie w myśli, jak wówczas w podróży: „I oni są na dnie. Może nawet o tym nie wiedzą. Ale przeczuwają”.

W hotelu umył się, bez apetytu przeżuł kawałek chleba, prędko rozebrał nie zapalając światła i wskoczył do łóżka. Leżąc na wznak patrzył długo przez nie zaciągnięte papierem zaciemniającym okno na dziurawe, okaleczone mury po przeciwnej stronie ulicy, przez które, jak przez sito widać było baniaste kopuły smoleńskiej katedry. Także na niebo zabarwione łuną po niedawnym bombardowaniu i na księżyc. Myślał o rosyjskiej dziewczynie z recepcji i o tym co — wydawało mu się — ujrział krótko w jej oczach, o jakimś bladym jak gdyby odbłasku poczucia winy, czy wstydu, ale w końcu doszedł do wniosku, że było to tylko jego własne złudzenie. Wuj August, który zaraz po przybyciu udał się na poszukiwanie wspomnianego przez dziewczynę księdza, nie wracał. W korytarzu skrzypięta podłoga, ktoś dzwonił wiadrem. Zza jednej ze ścian dochodziła przyciszona, nabrzmiała pretensją rozmowa kobiety z kobietą i plusk wody w miednicy. Jedną z sąsiadek mówiła po niemiecku, drugą do niemieckiego mieszała słowa rosyjskie, kłóciły się, ale wkrótce umilkły i zaskrzypięta sprężyny łóżka. Gdzieś nie opodał na dole wystukiwał o bruk miarowo swe kroki strażnik: w tę i z powrotem, jedyne, zdawało się, odgłosy miasta, prócz trzaskających od czasu do czasu dalekich pojedynczych wystrzałów. Zapalając w ciemności papierosa pomyślał o bliskości Aleksego i zaraz,

pierwszy raz chyba od wyjazdu z Gleb, o słowach Katarzyny, że Aleksemu nie jest to, co chcą zrobić, wcale już potrzebne, i zastanowił się, czy chodziło jej o ich podróż z wujem w ogóle, czy o życzenie matki przywiezienia zwłok brata do Gleb. Nie znajdował na to pytanie odpowiedzi. Palce trzymające papierosa drgały mu drobno i jednostajnie. Gdy wreszcie posłyszał w korytarzu kroki powracającego sędziego, odwrócił się na łóżku do ściany. Nie odezwał się do wujka, kiedy ten próbował go zagadnąć, ani też, kiedy sapiąc ze wzburzenia czy przejęcia, kręcił się po pokoju, usiłując zwrócić na siebie uwagę hałasem. Długo słuchał, jak przewraca się w pościeli, nie mogąc zasnąć. On również nie spał. Nie myślał już o bliskości Aleksego. Myślał o tym, do czego onegdaj doszło w Glebach między nim, a Katarzyną, i czy musiało właśnie teraz, jak pytał wuj. Myślał także, że zbyt długie czekanie na kobietę wypala w końcu w sercu wszystko, nawet poczucie spełnienia, jak gdyby nie doszło do niczego. Nad ranem zdrzemał na krótko. Śnił mu się szary deszcz, roztopy wiosenne i szpicel wiejski, Antypko, pływający w stawie związane w worku szczenięta. Cienko gdzieś wyła wśród rozłogów osierocona suka.

Był sam w pokoju, kiedy się obudził. Wstał, ogolił się i umył. Był zupełnie spokojny. W recepcji siedziała ta sama młoda Rosjanka, co wieczorem. Zapytał o wujka sędziego i nie posłyszał żadnej odpowiedzi, a jej ręce odebrały klucz od pokoju krótkim, ostrym ruchem, ze złością. Zapytał więc powtórnie, tym razem po rosyjsku, myśląc, że nie zrozumiała, a wtedy odpowiedziała, że ten, o którego pyta siedzi w restauracji, ruchem głowy wskazując boczne drzwi, i że samochód będzie za parę minut. I nagle przypomniał sobie to jakieś, jak gdyby wspomnienie w jej oczach wieczorem, ten parę sekund zaledwie trwający błysk, który od razu zgasił, bo to wspomnienie, to coś, poczucie winy, czy wstydu, nie umiał tego nazwać, było w oczach dziewczyny teraz też. Pojął prędko, że wystarczyło, ażeby spojrzał jej mimo woli uważniej w oczy, a to tam od razu było, i nawet prędko pojął co: tamte wiosenne dni sprzed dwóch lat, dżdżyste zapewne, szare, może jeszcze zwarzone spóźnionymi przymrozkami dni, kiedy przez to miasto przetaczały się zaplombowane pociągi załadowane tysiącami mężczyzn w polskich mundurach, które zatrzymywały się potem nieomal tuż za ostatnimi przedmieściami, na następnej stacji, i oni tych mężczyzn przeganiali z wagonów do lasku, ażeby zabijać strzałem w tył głowy. Gdy odwrócił się wolno w kierunku wskazanych drzwi restauracji, dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Był teraz, przeciwnie niż z wieczora, pozornie tylko zimny i senny, w istocie bowiem w głębi tał upokorzenie, które nie nikło, przesuwając się, odsuwało zaledwie,



w miarę jak on się oddalał, tak że gdy wszedł we wskazane drzwi, dziewczynę zupełnie tracąc z oczu, miał wrażenie, że to jej upokorzenie dalej czuje wokoło siebie w powietrzu przywlezione stamtąd. Ale czuł w sobie wciąż spokój.

Siedzący z wujem przy stoliku mężczyzna był zakonnikiem, bernardynem, przedstawicielem Czerwonego Krzyża z Warszawy. Paweł przysiadł się i ciągle z tym nieodstępującym go spokojem przysłuchiwał się rozmowie, a właściwie monologowi zakonnika, jego cichemu głosowi, który szeleścił, zdawało się, beznamiętnie, niekiedy głuszony gwarem sali, i słuchając, próbował zrozumieć, o jakich to tysiącach zaginionych w głębi Sowietów zakonnik mówi, zaginionych bez śladu i nie znalezionych jeszcze pośród trupów w Katyniu. I naraz wydało mu się, że serce mu krzepnie, ścięgną, mięśnie, jego krew również krzepną, że coś w nim, że wszystko w nim krzepnie i ostre słońce świecące przez okno osuwa się jak gdyby po nim, skupiając, zagęszczając i ścinając mu nawet oddech. Wtedy wstrzymał go świadomie i natychmiast usłyszał, że to nieprawda, że jednak serce tętni mu krwią, w pulsach skroni też mu łomocze, a to tylko wokół niego zaległa cisza, wprawdzie brzmiąca jeszcze głosem zakonnika, ale poza tym wszystko zamarło, okrzepło, tą ciszą skłoniło się nad nim, pochyliło żądając, wołając z wyczekiwaniem na decyzję. Muszę Aleksę znaleźć. Muszę. To nie ma znaczenia czy wyrządziłem mu jakąś krzywdę, czy nie. Czy on chciałby tego, co zrobiłem z jego żoną, czy nie chciał. Teraz muszę go po prostu znaleźć, bo to jest najważniejsze. To słowo „muszę” powtarzał z ponurą i nieposkromioną determinacją, niezłomny, rozpaczliwie zdecydowany. I znalazł.

Było to godzinę albo dwie później. Po kilkadziesiąt kilometrów jeździe rozklekotaną półciężarówką prowadzoną przez rosyjskiego szofera, załadowaną do połowy niemłodymi już kobietami i mężczyznami, którzy wyglądali na przybyłych z bardzo daleka (okazało się, że są rodzinami pomordowanych, pochodzącymi aż ze Śląska) i po przejściu kilometra przez pola i las, bo ciężarówka dowiozła ich jedynie do Gniezdowa, osady przystacyjnej wśród mokradeł, skąd właśnie — jak powiedział ojciec bernardyn — gnano wtedy tamtych na śmierć do katyńskiego lasku. To było już może w samo południe, tak daleki wydawał się Pawłowi ten czas, kiedy zszedł do recepcji, rozmawiał z ową roslą dziewczyną rosyjską o umykającym wzroku. To było nawet być może zupełnie inne południe, kiedy wreszcie znalazł. W opieszłym, leniwym, oleistym upale na pagórkowatej, piaszczystej polanie, czy też porębie, pomiędzy zgarniającymi łopatami wierzchniej warstwy ziemi przygarbionymi jeńcami rosyjskimi, nad którymi stali Niemcy z Feldpolizei zasłaniając usta i nosy mokrymi

chustkami, nie opodał długiego stołu, przy którym siedzieli protokolanci i kręcili się polscy lekarze sądowi w ochronnych, ceratowych ubraniach, zabrudzeni trupami wydzielinami po pas i wyżej, w cklwym, słodkawo mdlącym fetorze unoszącym się z dołów, przesycającym szczerlnie całą okolicę, zatykającym oddech, skręcającym krtań i żołądek, jeszcze nim zobaczył, w gestych wyziewach jakichś chemikaliów, w głębokim dole, w splocie nóg, rąk i głów wystających z grząskiej ziemi spomiędzy liszaj wody czerwonej od rdzy, w palącym, białym świetle słońca, wśród ciał rozrzuconych byle jak, powiązanych niekiedy powrozami, lub drutem, wtedy, gdy po raz któryś z rzędu powtórzył, teraz głósno: „Ja muszę go znaleźć” — to wtedy znalazł, choć nie był to wcale Aleksy, jego rodzony brat, ani ktoś podobny, gdyż był to jakiś Aleksy w ogóle, on i jednocześnie każdy inny, zniekształcony, nie do zidentyfikowania, zwielokrotniony, bliski a zarazem daleki, już pograżony w czas, jak w to bagno, w którym oni wszyscy leżeli, ale przecież z tego samego plemienia, ciało, kość, strzępy ciała i strzępy kości, żywe wciąż jeszcze w nim samym, Pawle, stojącym nad dołem, będącym również z tego samego plemienia i nie powtarzającym więcej: „Muszę go znaleźć”, lecz krótkie i ciche: „O Boże, Boże, Boże...”

Wtedy jednak posłyszał póższepł wuja: „Nie ma go tutaj. Wyrzebali go przed miesiącem i przenieśli. Wkrótce się dowiemy, gdzie go pochowali”, ale nie rozumiał. I odwrócił się, poruszył i chwiejąc się, wyciągnął ręce do szepczącego: „Co mówisz? Nie ma? Co — nie ma? Przecież jest”, i na oślep, po omacku, widząc tylko rozgrzebany w ziemi, jak rana, dół, potoczył się w jego kierunku na nogach odmawiających mu już posłuszeństwa, zanim się był jeszcze poruszył, i zaczął schodzić w tę ludzką maź i w opary, krzycząc: „Przecież jest! Znalazłem! Znajdę!”, aż jeden z mężczyzn w białym kitlu, najwidoczniej nawykły do podobnych widoków, poderwał się od stołu i go chwycił, bo byłby w tym wszystkim na dnie ugrzązł, byłby w to runął. Gdy odzyskując powoli równowagę odwrócił się, zobaczył wuja Augusta przy sobie i dopiero w tej chwili tamte jego słowa doń dotarły: że Aleksy został już gdzieś pochowany.

Twarz sędziego była zroszona, umęczona, a pierś wzdymała mu się szeroko i opadała, gdy powiedział do mężczyzny w białym kitlu: „Dziękuję”. Lecz on, Paweł, wciąż jak gdyby nie miał dosyć i musiał napatrzeć się na całe przyszłe życie, bo był już skupiony w sobie, tak silny, że pragnącemu go odciągnąć wujowi wyszarpnął się: „Zostaw mnie! Nic mi nie jest”, i stanął nad dołem nieruchomiejąc w pół kroku (zastygając, już prawie po przerzuceniu całego ciężaru na jedną nogę, z drugą nieomal oderwaną od ziemi) i z zimną krwią reportera albo raczej labo-



ranta patrzącego przez szkiełko, mającego za zadanie utrwalić obraz — utrwalał ten obraz w swej pamięci na zawsze: parometrowe złoza zwłok w polskich mundurach oficerskich z zachowanymi nieźle jeszcze guzikami i odznaczeniami, w ciężkich zimowych płaszczach, złoza zwłok zniszczonych w skomplikowanym procesie gnicia a zarazem mumifikacji, zapewne dzięki zawartości piasku w glebie, potem z tej masy, z tej płataniny wyróżnił poszczególne twarze tych, co leżeli zwrócenii przodem ku górze, twarze bez skóry, jamy ustne i oczy przeświecające poprzez błonę muskułową i membran, czaszki zawsze z jednakowym otworem wylotowym od kuli na czole, pokryte włosami, które utraciły już barwę, i zachowane doskonale ręce o nietkniętej skórze i paznokciach, o widocznych liniach papilarnych, aż wuj znowu się odezwał: „Chodź. Odejdźmy gdzieś na bok”. Wtedy się odwrócił. I wtedy zobaczył, że ten muskularny, silny mężczyzna, który jeszcze nie tak dawno przecież, bo przed dwoma laty zaledwie, potrafił przedzierać się pieszko do Polski aż spod Uralu, stoi teraz chwiejąc się na nogach, z twarzą białą, jak kreda i, że ściekają mu po niej łzy. Więc objął wuję mocno ramieniem i poprowadził od brzegu dołu w głąb polany. Ten w białym kitlu, widząc ich powracających, podszedł ponownie. Powiedział: „Porucznik Aleksander Woynowicz, proszę panów, to jest tutaj numer 3793. Leży w czwartym rzędzie. Za wzgórzem”. Później oglądając się ukradkiem na Niemców, wręczył im niebieską kopertę, po której otwarciu ukazała się srebrna papierośnica Aleksego, i wyjaśnił: „Przyniosłem dla panów z magazynu. Nie wolno wprawdzie niczego wydawać, ale chyba nie zauważą braku”. A wtedy Paweł powiedział prawie chłodno: „Dziękuję. W imieniu swoim i rodziny, dziękuję”, tak chłodno, że aż uroczyście.

Wolno powracali z wujem na skraj polany omijając wcześniej opróżnione podłużne doły, z których jeden w kształcie ogromnej litery L ciągnął się po sam wierzchołek najwyższego ze wzgórz. Tych parędziesiąt, a może paręset ciał wydobytych tego dnia i złożonych obok siebie na ziemi w długich rzędach, ciągle mieli w promieniu wzroku. Ostry, wstrząsający powiew stamtąd szedł bezustannie za nimi gniotąc piersi (miał iść za nimi jeszcze długo), a pracujący przy ekshumacji Rosjanie odprowadzali ich w milczeniu wzrokiem pełnym jakiejś dogłębnej dociekliwości i upokorzenia zarazem. Kierowali się ku ścieżce prowadzącej na wyższą część polany, ale w połowie drogi wuj zatrzymał się, siadł na zwałonym pniu pod dębami i zgaszonym głosem powiedział, że myślał, że jest wytrzymałszy: „Jak siedziałem tam w ich poduralskim łagrze i potem na posileniu... A jeszcze przedtem, w czasie tego straszliwego transportu w 50-stopniowym mrozie. W ogóle tam, rozumiesz, zawsze widziałem wiele śmierci. Naszej,

polskiej śmierci. Wierz mi jednak, teraz... nie, nie... to zupełnie coś innego...”. Ale Paweł przerwał ostro: „Daj spokój, wuju!”. A sędzia otarł z łysej czaszki pot, bo te łzy poprzednio na jego twarzy, jeżeli to rzeczywiście były łzy, same wcześniej obeschły w słońcu i dźwignął się z pnia. Powiedział: „Masz rację. Chodźmy”. Potem znowu szli w słodkawej, mdlącej, straszliwej woni stamtąd i sędzia powiedział jeszcze raz: „Masz rację. Tego nie da się z niczym porównać. Tego nawet nie trzeba porównywać z czymkolwiek”. Już więcej, aż do grobu Aleksego, nie odzywali się do siebie. Gdy ten w białym kitlu po chwili dogonił ich, mówiąc, że właśnie idzie w kierunku założonego tu cmentarza i ich podprowadzi, wuj o coś zapytał, czego on, Paweł, nie dosłyszał, usłyszał jednak odpowiedź tamtego. Mężczyzna mówił, że niebawem skończą wszystkie prace i liczby, które zaczął rzucać: sto, pięćset, tysiąc, pięć tysięcy — brzmiały w jego ustach, jak coś bardzo zwykłego. Powiedział: „Niemcy twierdzą, że powinniśmy jeszcze znaleźć tu ponad dziesięć tysięcy trupów z obozów jenieckich w Starobielsku i Ostaszkwie. Ale jak dotychczas, to proszę panów, znajdujemy w ziemi tylko tych, co siedzieli w Kozielsku. Mniej więcej będzie ponad cztery i pół tysiąca. Żadnych innych. Oczywiście, mówię o naszych. Bo obcych tak. Okoliczne lasy pełne są mogił. Gdzie tylko spróbować pokopać, tam ktoś leży. Ale to Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, no, w ogóle, sowieccy ludzie. Tutaj było miejsce bolszewickiej kaźni już jakieś piętnaście lat wcześniej. Teren był ogrodzony i należał do enkawude”. Ale minęli wreszcie wzgórze i znaleźli się pod lasem. Teraz ścieżka doprowadziła ich do ciągnących się rzędami długich na kilkanaście metrów zbiorowych mogił. Mężczyzna wskazał im gdzie mają szukać i pożegnał się, a on, Paweł, przyśpieszył kroku i zostawiając w tyle wuję, zagłębił się między trzeci a czwarty rząd grobowy. Wkrótce to miejsce znalazł. Było oznaczone drewnianą tabliczką z numerem 3793. Niczym więcej. Podobne tabliczki, oznaczone tylko numerami wyższymi lub niższymi tkwiły co pół metra w ziemi w prawo i lewo, a cała mogiła była obeschnięta w słońcu, popielatoszara, z rozsypującymi się już od trwających upałów krawędziami. Ten numer 3793 powtarzał Paweł bezwiednie w myśli parokrotnie, jakby to były słowa modlitwy, a nawet wymówił go w pewnej chwili głośno, i to było wszystko: numer składający się z czterech liczb, szara, rozsypująca się mogiła, cząstka, półmetrowej szerokości, cząstka tej mogiły, gorące słońce w górze i tam w głębi pod ziemią, półtora metra w głębi lub dwa, zapewne jeszcze pod warstwą wapna on, Aleksy, brat.

Było bardzo cicho. Nikt się w pobliżu nie kręcił prócz starego Rosjanina wyglądającego na wieśniaka, wynajętego prawdopodob-



nie w pobliskiej wiosce do opieki nad cmentarzem, który zwoził na taczkach kwadratowe kawałki wilgotnej darni i okładał nimi jedną z mogił. Dopiero dalej, tam gdzie cmentarz się kończył i stał wysoki, z brzoźowych pni zrobiony krzyż, widać było parę kobiet. Stali z wujem nie mówiąc nic, nie patrząc na siebie, patrzyli na tabliczkę utkwioną w ziemi, patrzyli na te inne, tkwiące z prawa, z lewa, z przodu i z tyłu, tysiącami. Szmer listowia niosący się od skraju lasu był drobny, jednostajny, jakby ktoś bezustannie coś szeptał. Potem zbliżyła się do nich jakaś kobieta. Powiedziała, że ojciec bernardyn odprowadza teraz na miejsce pochówku wydobyte z rana zwłoki i zapytała, czy nie zechcieliby się przyłączyć do pogrzebu; twarz miała ściągniętą, szerniałą, pograżoną w jakiś zawzięty cień padający z oczu. Poszli za nią w milczeniu. A potem byli tam. Na najwyższej części wzgórza. I widzieli ten cmentarz jak gdyby z lotu ptaka, jak ciągnął się w dole olbrzymimi siedmioma mogiłami w białawej mgiełce upału, w suchym, rozproszonym zapachu sosen i dębiny, aż po rozległą wyniosłość gęstego lasu, który przekreślał pół horyzontu, a poza tą wyniosłością wyczuwało się jeszcze drugi las, cały tłum sosen i dębów, który nie wznosił się, nie wystrzelał z niej wzwyż, ale jak gdyby wychylał się tylko i nachylał głęboko nad tym przesiąkniętym krwią miejscem.

Zbliżając się, już z daleka posłyszeli litanie za spokój dusz zmarłych odmawianą przez grupkę kobiet i mężczyzn, między którymi stał zakonnik w liturgicznych szatach, i znowu zobaczyli rosyjskich jeńców — głowy mieli obnażone, lecz twarze bez wyrazu — jak pogrubiałymi od pracy rękami opuszczali na linach w wilgotny otwór mogilny podłużne tłomoki zawinięte w ceratę. Ziemia osuwała się z łopaty w głąb miękko, bez charakterystycznego stukotu, jaki wydaje uderzając o wieko trumny, ale dość głośno, aby wzbudzić głuche echo i szmer lasu wtórował nieustannie głosom modlących się ludzi, tym głosom, które mówiły o sprawach już zakończonych, lecz nigdy obojętnych. Później Paweł usłyszał szepot wuja: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”, i wydało mu się, że jego własny szepot i słowo „amen”, łącząc się z szepczeniem wuja nie głośniejszym przecież niż szmer lasu, ale to już był szepot nie wuja ani jego, a zakonnika, który ledwie słyszalnie monotonnym, jakimś zagubionym, pomniejszonym przez szeroki przestwór głosem, przez ogrom powietrza i wysokość bezchmurnego nieba, mówił, szeptał: „...nie zniknęli, tylko po prostu przenieśli się w utysiąckrotnione życie. W pamięć najbliższych, w trwałą pamięć naszego narodu, a także w pamięć tego narodu, który zadaje również łatwo męczarnie i śmierć innym, jak i sobie samemu. Dla nas pozostaną na zawsze symbolem męczeństwa,

dla oprawców wiecznym wyrzutem sumienia i palącym stygmatem wstydu na ich czołach. Dla ich dzieci, i dzieci ich dzieci, aż kiedyś staną twarzą w twarz ze zbrodnią swych ojców i zechcą zrzucić z siebie to hańbiące piętno, i raz na zawsze zejść z drogi barbarzyństwa. I to będzie zasługą tych, których tutaj grzebiemy. Nie płaczcie. Oni są martwi, ale nie umarli. Nie są zamknięci w ziemi, ale wolni od ziemi. Nie ziemią przywaleni na zawsze, ale z jej czarnego wnętrza powstający, by wejść i pozostać w każdym z nas. Rozproszeni w rozkładzie, ale też i w naszym doczesnym życiu, w naszych smutkach, radościach, w gniewie, w łagodności i dobroci, w naszych wzlotach i upadkach, zarówno w naszej podłości i małości, jak i doskonałości, sprawiedliwości, szlachetności i miłości, we wszystkich naszych namietnościach i czynach, tak we śnie, jak i na jawie. Są również w niezliczonych cząstkach otaczającego nas życia: w mroku i brzasku, w kwiatach i gałęziach, w drobinach powietrza i promieniach słońca, w rosie i deszczu, wietrze, szelestach nocy i dębowych liściach. W nieustającym, niepowstrzymanym życiu, w biegu czasu do kresu barbarzyństwa i do świtu wolności. Są we wszystkim stanowiąc z nami, żywymi i tymi, którzy przyjdą po nas, nierozdzielna jedność. Choć już bez serca, które by krwawiło z ran...”. A Paweł myślał, jakby na przekór słowom zakonnika: „On jest blisko, jest tutaj gdzieś tak bardzo blisko, ale tylko tutaj. Tylko tutaj... Tylko...”, ściskając w kieszeni twarde, chłodny, podłużny przedmiot, czując chłód przenikający od tego przedmiotu na dłoń i myśląc z niedowierzaniem, że to jedynie to, co mu pozostało z Aleksiego: srebrna papierośnica inkrustowana kością słonową, którą Aleksy zabrał ze sobą w trzydziestym dziewiątym roku na front. Ta pamiątkowa, symboliczna niejako papierośnica z wygrawerowanymi inicjałami pradziadka Stefana i datą tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, którą po pradziadku otrzymał dziadek, po dziadku ojciec, po ojcu Aleksy, a teraz właśnie on, Paweł.

Później dół był zasypywany, ziemia uformowana w prostokąt, ubita łopatami i ci wszyscy ludzie przybyli tutaj aż z drugiego krańca Polski i towarzyszący w pogrzebowym obrządku, rozchodzili się raz jeszcze do mogił swoich najbliższych, mężów, synów i braci ze swymi pożegnalnymi wiązkami zerwanych gdzieś w pobliżu traw i kwiatów, gałązek dębu, lub świerku. Nastąpiło już popołudnie, gdy Paweł z sędzią zeszli ze wzgórza i zanurzyli się powtórnie w tamtą trupią woń. Obok baraku Feldpolizei, gdzie znajdowało się zainstalowane laboratorium badawcze, stała gromadka ludzi czekających na obiecaną przez Niemców ciężarówkę. W czasie drogi nikt się już nie odzywał. Kobiety nie płakały, ale ich spojrzenia z uporem powracały do umykającego w dal lasu, do uchodzącej coraz prędzej w tył krętej linii szosy, na kraniec



horyzontu przekreślonego roztapiającą się w czerwieni słońca kreską. Mężczyźni patrzyli sobie nawzajem w oczy z niemym pytaniem. Ich twarze były jednakowo zamyślane, nieprzystępne, nachylone wciąż jeszcze w głąb tamtej ziemi, gdzie zostawili swych synów i braci, w głąb czasu, kiedy ich stracili, a może wychylone z tego czasu, z jego głębi w niepewną przyszłość, w okrutną ciemność otwierającą się przed nimi, jak otchłań. Dopiero w Smoleńsku, już siedząc w pokoju Touristenheimu, wuj się odezwał: „A twoja matka wyobrażała sobie, że wydadzą nam ekshumowane ciało Aleksego i że będziemy je mogli zabrać”, i w jego głosie była nie tylko tamta groza z katyńskiej polany, ale i jakaś gorzka ironia, bo przecież wszyscy oni w Glebach, choć niby wiedzieli, co i jak się stało, inaczej to sobie wyobrażali. Wierc odpowiedział wujowi: „Daj spokój, wuju. Wiem, to nie możliwe”. Rozmawiali monosylabami jak gdyby i z dużymi pauzami: „Spakuję walizki”, „Dobrze, wuju”, „Pociąg do Mińska odchodzi za cztery godziny”, „Tak, wiem, wuju”, „Z Mińska podobno też coś mamy w nocy”, „To dobrze, wuju”. Wreszcie walizki były gotowe, formalności wyjazdowe w biurze załatwione, dokumenty ostemplowane i wuj odkręciwszy termos wypił resztkę zwietrzałej, zimnej kawy jeszcze z Gleb. On, Paweł, leżąc wyciągnięty na łóżku palił papierosa, patrzył na podziurawiony mur po przeciwnej stronie ulicy, jak zaciąga się zwolna szarością cienia, aż w końcu zmierzch napełnił również i wnętrze pokoju, tak że jedynie okna rysowały się na ścianie jaśniejszymi kwadratami. Zbliżała się godzina policyjna.

Przez prawie wymarłe miasto, nad którym unosiła się zwietrzała woń spalenizny poszli na dworzec; zewsząd tchnęło grozą i przyczajoną śmiercią, w górze warczały samoloty. Gdy załadowany po brzegi pociąg ruszył, zaczęło się sowieckie bombardowanie magazynów przy torach. Ale wkrótce błyski eksplozji przestały wydobywać z ciemności wnętrze wagonu stłoczonych, miotających się w panicznym strachu ludzi; ich przerażone oczy i twarze, wszystko zniknęło, bo nawet głosy umilkły, że gdyby nie rozkłębiane wokół oddechy pomyśleć by można, że ci ludzie zostali w Smoleńsku, i Paweł pogrążając się w szybki, narastający rytmicznie stukot kół pędzącego pociągu zobaczył ten miniony dzień raz jeszcze, z góry zresztą wiedząc, że i tak nie zaśnie zanim nie zobaczy, a więc zobaczył raz jeszcze od samego początku godzina po godzinie, minuta po minucie, utrwalając w pamięci wszystkie szczegóły na zawsze.

Dopiero nazajutrz późnym popołudniem byli w Krzyżtopolu, a do Gleb zajęchali wynajętymi końmi, kiedy już zmierzchało. Potem nastąpiło to, o czym w czasie całej powrotnej drogi wołał nie myśleć, ale znalazłszy się na ganku i słysząc wołanie którejs

z ciotek, że już przyjechali, pomyśleć musiał i myślał przez cały czas, kiedy oni wszyscy zbiegali się z pokojów do sieni i zatrzymywali, spoglądając na nich obu stojących z walizkami w rękę, zakurzonych, brudnych, zmęczonych, udreńczonych, w wymiętych ubraniach, ze zmiętymi twarzami, wszyscy ustawieni półkolem o krok lub dwa przed nimi: ciotki Felicja i Wiktoria, matka, Katarzyna, a z tyłu nawet domowa służba. Wtedy to, co chciał powiedzieć, co wyobrażał sobie, że powie, bo zdanie po zdaniu obmyślił dokładnie w pociągu, nagle uciekło mu z głowy. Patrzył niemo to na matkę, to na Katarzynę, która raptem dotknęła ręką czoła owym zamyślanym gestem, jaki zapamiętał sprzed podróży, potem tylko na matkę. Dopiero po jakimś czasie uswiadomił sobie, że czekają, aby powiedział cokolwiek, a nie milczał. Sięgnął wtedy do kieszeni marynarki i wydobyl kopertę, którą otrzymał od mężczyzny w białym kitlu poprzedniego dnia, a z niej wyjął srebrną papierośnicę Aleksego. Zawahał się spoglądając na kobiety i z trudem wytrzymując ich wyczekujący wzrok. Wiedział, co myślą. Jeszcze tylko chwilę się wahał. Wreszcie prędkim ruchem podał papierośnicę matce i rozgarnawszy ramieniem otaczający go krąg domowników, chwycąc się, na nogach jak z gumy, poszedł do swojego pokoju.

Włodzimierz ODOJEWSKI

#### OD AUTORA

*„Zasypie wszystko, zawieje...”* złożyłem w wydawnictwie „Czytelnik” w Warszawie w grudniu 1967 roku (mając z tym wydawnictwem zawartą parę lat wcześniej umowę na powieść) i po wypadkach marcowych 1968 roku książkę mi zwrócono z dyskretnym komentarzem, że nie jest to czas, aby mogła się ukazać nawet po znacznych skrótach. Umowę mi po prostu przedłużono. Ponownie złożyłem książkę w wydawnictwie w początku 1971 roku. Książkę przestano do czytania „wyżej” i następnie zaproponowano mi znaczne skróty, oraz zmianę ogólnej jej wymowy. Ponieważ odmówiłem, moja umowa wydawnicza z „Czytelnikiem” automatycznie się rozwiązała.



## Wiersze

„Litowcy, eto samaja choroszaja nacija w imperii” — powiedział mi jeden z najnowszych rosyjskich banitów. Dowiedziałem się też od niego, że Wilno uchodzi za najbardziej kulturalne miasto całego Związku. Widocznie nawarstwienia historyczne nie łatwo ulegają erozji, bo takie też było miejsce Wilna w państwie Aleksandra I-go i, przynajmniej do zamknięcia Uniwersytetu, w państwie Mikołaja I-go. Usłyszawszy w tej rozmowie o szczególnie cenionym w Wilnie młodym poecie nazwiskiem Tomas Venclova, postarałem się o jego tom wierszy pt. *Kalbos Ženklas*, 1972. Znak, *ženklas*, odnosił się kiedyś do znakowania bydła, byłby więc zbliżony do angielskiego *brand* i częściowo do polskiego piętna, tytuł należy więc chyba tłumaczyć jako *Piętno mowy* albo *Stygmat mowy*. Z tomu tego podaję jeden wiersz w moim przekładzie.

Czesław MIŁOSZ

Tomas VENCLOVA

### ROZMOWA W ZIMIE

*Wstąp w ten krajobraz. Jeszcze tutaj ciemno.  
Za pasem diun buczy pusta droga.  
Morzom wydały wojnę kontynenty,  
Nie widać tego, ale pełno głosów.  
Przechodźień albo anioł ślad na śniegu  
Zostawił lekki, na wpół przysypany.  
Brzeg się odbija w poczerniałym oknie,  
Może jałowa ziemia Antarktydy.*

*Niezamarznięta otchłań cała w pianach.  
Piaski nie wzięły swojej pierwszej mili.  
Most ukazuje się, to znowu znika,  
I szerzy się surowy obszar zimy.*

*Nie ma depeszy, nie ma żadnych listów.  
Tych parę zdjęć. I zepsute radio.  
To jakby świeca, opływając woskiem,  
Czas niebezpieczny zapieczętowała.*

*Jak mokry chłód i jak stromy kamień,  
Jaki wszechwładny ten rentgen przedświt!  
Wytężasz wzrok, majacząc ściany,  
Wieża kościoła i człowiecze ciało.  
Na białym tle pojawia się tylko  
Niepewny kontur drzew i przez ich korę  
Nawet zamknięwszy oczy mógłbyś widzieć  
Cienki, odporny ich ostatni stój.*

*„To zły obyczaj. Tylko bolą oczy.  
Jeszcze tak trochę i zgubimy drogę”.  
„Ależ nie o nas mówi przepowiednia”  
Chyli się na bok oszroniała oś.  
Ktoś by pomyślał, że nad horyzontem,  
Gdzie są okręty, czarne, i dźwięk stygnie,  
W najdoskonalej nieruchomym niebie  
Mars i Jupiter nagle stają w ogniu.*

*Aż po Atlantyk rozciąga się pustka.  
Szerokie pola jak otwarte sale.  
Luty schowany jest pod warstwą stycznia.  
Od słotnych wiatrów zwiąja się równina.  
Gdzieś za morzami spadające z gór  
W przybrzeżnych wodach toną i szarzeją  
Śniegi odwilży. „A co tam jest jeszcze?”  
„Znów ujścia rzek, zatoki i porty”.*

*W ciężkim niewodzie wynurzzonej chmury  
Podobne rybom błyszczą wąskie place.  
„Czy ty pamiętasz co uróżyły gwiazdy?”  
„Ten wiek tłumaczy się bez żadnych znaków,  
Tylko statystyką”. „Przyciąganie śmierci  
Skuwa człowieka, roślinę i rzecz,  
Ale kietkuje ziarno i ofiara,  
A więc nieprawda, że wszystko stracone”.*

*„A gdzie jest świadek? Bo ja nie rozumiem  
W czym rzeczywistość inna od oszustwa.  
Czy prócz nas dwojga jest ktoś tam na świecie?”  
„Dla mnie to chyba jesteś tylko ty”.*



„Gdzież jest ten trzeci? Może chcesz powiedzieć,  
 Że nikt tej naszej rozmowy nie słyszy?”  
 „Jest niebo i są zaśnieżone pola,  
 A głos potrafi żyć choć umrze serce”.

W samo południe ciemne będą drzewa.  
 Kiedy wydnije, świadomość zachowa  
 Ponastwarzane przed chwilą z niczego  
 Nieważkie rzeczy zamiast tamtych słów:  
 Mały odtamek rozbitego lodu,  
 Szkielet gałęzi, nadkruszony mur  
 Na zakręcie ulicy... Potem — cisza  
 Z tej strony morza; z tamtej strony morza.

Tomas VENCLOVA

## Archiwum polityczne

### Futurologia Chin

Jeden z dziennikarzy amerykańskich, który towarzyszył Kissingerowi w jego ostatniej podróży do Pekinu zauważył co następuje: Rosjanie są gotowi do drobnych ustępstw w sporze terytorialno-granicznym. Z całą pewnością pragną pokojowego zakończenia sporu, i choć utrzymują poważne siły na granicy — nie przygotowują wojny przeciwko Chinom. Czym więc należy tłumaczyć nieprzejednany anty-sowietyzm Chińczyków? Breżniew oświadczył Kissingerowi, że „jako Europejczyk nie rozumie Chińczyków”.

Szarada chińsko-sowiecka zawiera niewiadomą, która unie-możliwia klasyczne rozwiązanie. Amerykańscy dziennikarze sądzą, że Chińczycy wiedzą coś, czego my nie wiemy.

W prasie światowej spotykałem podobne opinie, które można streścić następująco: to co wiemy o sporze chińsko-rosyjskim nie wyjaśnia w pełni reakcji Chińczyków. Albo ów spór zawiera element, względnie elementy nam nieznanne — albo Chińczycy w swej reakcji przesadzają.

W mojej opinii Chińczycy ani nie przesadzają ani nie kryją przed nami żadnego z elementów swojego sporu z Sowietami. To nie Chińczycy przesadzają tylko Amerykanie „nie dosadzają” znaczenia sporu, ponieważ Chiny a nie Stany Zjednoczone posiadają najdłuższą lądową granicę z Sowietami.

Kissinger, w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi agencji CBS, wypowiedział mądrą i godną zapamiętania sentencję: „Jeżeli posiada się możliwość wyboru nie należy niepodległości (własnego) państwa uzależniać od dobrej woli drugiego państwa. Bronie atomowe umożliwiają samodzielne kierowanie losem własnego państwa”.

W nawiasach dodam, że powyższa sentencja winna być wypisana literami dwu-metrowej wielkości na frontonie gmachu Komisji Europejskiej w Brukseli.



Polska w obecnej sytuacji nie ma wyboru lecz EWG może wybierać pomiędzy bezpieczeństwem opartym na „dobrej woli” Sowietów a bezpieczeństwem opartym na własnym potencjale siły.

Sentencja Kissingera przytoczona powyżej stanowi również klucz do zrozumienia polityki Chin.

Chiny doświadczyły na własnej skórze co to znaczy opierać swoje bezpieczeństwo i gospodarkę na dobrej woli sąsiada. Sowiety wycofały pewnego dnia z Chin 1.390 ekspertów, podały 343 kontrakty, na przestrzeni miesiąca zlikwidowały 257 naukowych i technologicznych projektów. Sowietcy inżynierowie i rzeczoznawcy zajmowali kluczowe stanowiska w setkach wielkich zakładów przemysłowych i rolniczych. Setki kopalń i fabryk zawiesiło produkcję — setki zakładów przemysłowych, będących w budowie, zamknięto, ponieważ sowieccy eksperci zabrali ze sobą wszystkie plany konstrukcyjne i całą dokumentację.

Pięcioletni plan gospodarczy leżał w gruzach a straty szły w setki milionów. Lecz dopiero dziś — na podstawie najnowszych analiz — można stwierdzić, że straty gospodarcze nie stanowiły istoty klęski. Istotą klęski był ogólnonarodowy szok. Chińczycy przeżyli klęskę, której nie tylko nie spodziewali się, ale uważali ją za całkowicie wykluczoną. Wierzyli niezachwianie i pryncypialnie, że klęskę mogą im zadać imperialiści i kapitaliści, lecz uważali za wykluczone, by mogło ich spotkać coś złego z rąk towarzyszy komunistów.

Jak wiemy nie było nigdy przyjaźni pomiędzy Chinami a Rosją. Lecz Chińczycy Związek Sowiecki nie uważali za Rosję a ludzi sowieckich nie uważali za Rosjan tylko za braci komunistów.

Wschodnim Europejczykom, wychowanym na często prostackiej antykomunistycznej propagandzie — przychodzi niezmiernie trudno uwierzyć, że większość Chińczyków traktuje marksizm-leninizm w wydaniu Mao Tse-tunga ze śmiertelną powagą i niezachwianą wiarą. Lecz istotnie tak jest i nie mam podstawy do odrzucenia świadectw zachodnich, nie-komunistycznych autorów, którzy znają Chiny z własnych wieloletnich doświadczeń.

Nie czuję się powołany do wypowiedziania kwalifikującego sądu o tak niebanalnej postaci jak Mao Tse-tung. Wydaje mi się jednak, że można uznać za pewne, że jest to człowiek znacznie większego kalibru niż Breżniew — nie mówiąc o galerii przeciwników jak Gierek, Kadar czy Husak.

Gdyby w naprężonej sytuacji czołgi sowieckie któregoś dnia przekroczyły granice Polski — Polacy w Kraju i za granicą zawyrokowałiby zgodnym chórem: po „sojuszniakach” sowieckich niczego innego nie można było się spodziewać. Czy Polacy stawiliby opór czy nie stawiliby oporu — to jest inny problem. W każdym wypadku inwazja nie byłaby kryzysem zaufania i załamaniem się przyjaźni polsko-sowieckiej — ponieważ Polacy, jako naród, nie mają i nigdy nie mieli cienia zaufania do Sowietów.

Chiny nie były „wyzwolone” przez armię sowiecką jak Polska — komunizm został w Chinach ustanowiony w wyniku wojny domowej, którą wygrał Mao Tse-tung i jego zwolennicy. Mao nie przyjechał do Pekinu z „komitetem lubelskim”, lecz był czcworthy przywódcą chińskiej partii komunistycznej od roku 1927.

Czang Kai-szek nigdy nie był zjednoczycielem Chin, za jakiego mylnie uważali go Churchill i Roosevelt. W rzeczywistości problem sprowadzał się do pytania czy Czang Kai-szek zdoła się utrzymać w południowych Chinach — czy też komuniści opadną cały kraj. Według ocen specjalistów, Czang Kai-szek w roku 1945 posiadał trzykrotnie większą armię niż Mao. Posiadał również lotnictwo, ciężką artylerię i marynarkę, czego komuniści nie mieli. Mimo tej przewagi Czang Kai-szek nie miał żadnej szansy zjednoczenia Chin. Zjednoczyć Chiny pod sztandarem nacjonalistycznym mogli tylko Amerykanie ryzykując wojnę z Sowietami.

Polak czyta z uśmiechem pobłażania cytowane w reportażach zachodnich wypowiedzi Chińczyków w rodzaju: „zdradzili nasze zaufanie — pohańbili proletariacki internacjonalizm i dlatego już nigdy nie będziemy mogli im zaufać”.

Nie powinniśmy się pobłażliwie uśmiechać, ponieważ, choć słowa są te same, komunizm i sowiet, problem Chin jest całkowicie odmienny niż nasz. Polacy muszą zrozumieć i przyswoić sobie następujący aksjomat: Chiny są dziś najpotężniejszym sąsiadem naszego najpotężniejszego sąsiada. Choć w przeszłości tak nie było — Chiny stanowią obecnie ważny element polskiej sytuacji i znaczenie Chin w polskiej perspektywie politycznej będzie wzrastać a nie maleć. Skłaniam się również do poglądu, że za 50 lat od dziś historycy będą mieli podstawy do stwierdzenia, że podarcie owych 343 kontraktów — było jednym z kapitalnych błędów politycznych Związku Sowieckiego.

Chińczycy, tzn. chińscy komuniści, od Mao Tse-tunga i Czu En-lai zaczawszy a na najniższym funkcjonariuszu partyjnym skończywszy, są głęboko i szczerze przekonani, że Rosjanie dokonali w stosunku do Chin podwójnej zdrady. Zdradzili Chińczyków jako towarzysze komuniści łamiąc podstawowe zasady marksistowskiego internacjonalizmu oraz zdradzili Chiny jako sąsiedzi, poświęcając na ołtarzu wielko-rosyjskiego imperializmu zasady sąsiedzkiej współpracy, która winna być oparta na uznaniu suwerenności i nie interferencji w sprawy wewnętrzne ościennych państw. Tak oto Rosjanie przestali być ideowymi komunistami i stali się „soc-imperialistami”.

Wielu znawców uważa, że Chiny są z natury państwem statycznym zorientowanym dośrodkowo i że Pekin pragnie jedynie przyłączyć do macierzy ziemie, które należały do Chin, jak Tybet, Formoza czy terytoria utracone na rzecz Rosji w rezultacie tzw. wymuszonych traktatów.

Wydaje mi się, że powyższy pogląd odpowiada prawdzie. Lecz równie prawdziwy wydaje mi się pogląd, że Chiny czy chcą czy nie chcą — muszą prowadzić politykę globalną, ponieważ Sowiety prowadzą politykę globalną. Ta ostatnia sprawa, że



posunięcia pozornie niczym nie związane z Chinami — *de facto* ściśle wiążą się z sowiecką polityką w stosunku do Chin.

Weźmy przykład. Jak wiemy Sowiety okupują kilka wysp japońskich od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Moskwa szuka zbliżenia z Tokio — tym bardziej, że przemysł japoński ma wiele do zaoferowania Sowiетom. W ramach polityki globalnej leży w interesie Moskwy maksymalna poprawa stosunków z Japonią — ponieważ Japonia jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i ważnym elementem w polityce Pekinu.

Japończycy powtarzają Sowiетom: oddajcie nam nasze wyspy, ponieważ taki gest zjedna wam opinię społeczeństwa japońskiego. Japonia jest mała i przeludniona. Związek Sowiecki jest olbrzymi i na wielu przestrzeniach słabo zaludniony. Wyspy, o których mowa, dla Sowiетów nie przedstawiają żadnej wartości — natomiast, dopóki są okupowane, przypominają Japończykom najbardziej sromotną klęskę w ich dziejach.

Czy więc Rosjanie nie chcą poprawić stosunków z Japonią?

Rosjanie pragną zjednać sobie Japończyków... ale jak wyznali w poufnych rozmowach boją się, że zwrot owych wysp dostarczy Chinom nowego argumentu w sporze terytorialnym chińsko-sowieckim. Chińczycy głoszą tezę że soc-imperialiści sowieccy winni się wycofać ze wszystkich zrabowanych przez Rosję obszarów i głośno popierają roszczenia rewindykacyjne Japonii.

Gdybyśmy oddali wam wasze wyspy — powiadają Rosjanie — Chińczycy argumentowaliby, że na tej samej zasadzie winniśmy oddać Chinom setki tysięcy kilometrów kwadratowych, które uzskała carska Rosja drogą tzw. wymuszonych traktatów.

Japończykom nie trafia do przekonania powyższa interpretacja. Cytowane wyspy uwypuklają paradoksy globalnej polityki.

Rosjanie boją się choćby luźnego zgrupowania: Stany Zjednoczone, Japonia, Chiny. Pragnęliby zjednać sobie Japonię, by nie dopuścić nawet do cienia możliwości tego typu ugrupowania. Innymi słowy, kocietują Japonię by zaszachować Chiny. Równocześnie nie mogą oddać Japończykom ich wysp, ponieważ choć zwracając wyspy poprawiliby swe stosunki z Japonią — wzmocniłyby równocześnie przetargową pozycję Chin.

Nie interesują nas w tym artykule wyspy japońskie okupowane przez Sowiety ani w ogóle żadne inne wyspy. Chciałem tylko wykazać na tym przykładzie, że dla Chin nie ma ucieczki przed polityką globalną, ponieważ tak Rosja jak i Ameryka prowadzą polityki globalne. Należy wierzyć w szczerłość Chińczyków gdy mówią, że nie chcą statusu super-mocarstwa. Gdyby mieli wybór, Chińczycy odciełliby się od świata przysłowiowym chińskim murem i kultywowali w izolacji od obcych wpływów swą kulturę i modłę życia. Chiny są tak olbrzymie i tak odrębne w swej historyczno-kulturalnej genezie, że każdemu zagadnieniu chińskiemu można nadać wymiar uniwersalny. To stanowi podstawę filozofii Mao Tse-tunga, który głosi, że problem który nie ma znaczenia uniwersalnego nie jest problemem.

Nie podejmuję się dać odpowiedzi na wysuwane przez wielu

pytanie czy Chiny ulegną „japonizacji”. Przez „japonizację” należy rozumieć w tym kontekście intensywne uprzemysłowienie i urbanizację na wzór Japonii. Skłonny jestem przypuszczać, że model przemysłowy japoński nie przyjmie się w Chinach. Nowe miasta i ośrodki przemysłowe w Chinach budowane są jako dodatek do komun wiejskich a nie odwrotnie. Chińczycy pragną za wszelką cenę uniknąć plag urbanizacji — których wymownymi ilustracjami są takie miasta jak Nowy Jork, San Francisco czy Tokio.

Nim przejdziemy do dalszej analizy należy podkreślić dwa punkty. Chiny obiektywnie rzecz biorąc należą do koncertu super-mocarstw i mogłyby się wycofać z polityki globalnej tylko za cenę uzgodnienia swych stosunków z Sowiетami na warunkach Kremla — co byłoby równoznaczne z przyjęciem statusu semi-satelickiego.

Punkt drugi. Chiny uważają Sowiety nie tylko za złego sąsiada. Sowieckich przywódców partyjnych uważają również za fałszyzery ideologii komunistycznej, którzy dla wielko-rosyjskiego imperializmu zdradzili podstawowe zasady marksizmu.

To jest punkt ważny i na Zachodzie niedoceniany. Przemieniając komunizm w narzędzie szowinizmu i imperializmu wielko-rosyjskiego — Rosjanie odebrali idei komunistycznej charakter uniwersalny, co w oczach Mao Tse-tunga stanowi największą zbrodnię.

Politycy w wolnym świecie powyższe problemy pozostawiają sowietologom i specjalistom w mniemaniu, że zarówno marksizm jak i jego interpretacje nie mają wpływu na politykę międzynarodową. Breżniew utwierdził zarówno Nixona jak i Kissingera w powyższym poglądzie. Dyskutowano w Moskwie różne sprawy lecz nigdy nie było mowy o marksizmie ani o ideologii ani o sytuacji wewnętrznej w Sowiетach. Omawiano pewne problemy gospodarcze lecz nie sprawy ustrojowe czy ideologiczne.

W Pekinie rozmowy wyglądały inaczej. Chińczycy mówili o swoich problemach wewnętrznych i ideologicznych. Czu En-lai wyjaśnił Kissingerowi dokładnie na czym polegała „Rewolucja Kulturalna”. Kissinger ostrzegł premiera chińskiego, że to są sprawy, których nie musi ujawniać. Metternichowski Kissinger dał chińskiemu premierowi do zrozumienia, że to go nie interesuje, ponieważ problem rewolucji kulturalnej nie należy do tematu. To jest problem dla prof. Brzezińskiego a nie dla Kissingera.

Czu En-lai był jednak innego zdania, ponieważ Chiny w przeciwieństwie do Sowiетów są mocarstwem rewolucyjnym, w którym ideologia jeszcze nie zwyrodniała. To jest obca nam i wroga ideologia — niemniej to jest ideologia. Natomiast w Sowiетach z ideologii nie pozostało nic. Sowiety produkują biurokratycznych „carskich” polityków jak Breżniew czy Kosygin. Chinami natomiast rządzi z ramienia Mao Tse-tunga premier Czu En-lai, którego Kissinger porównał do apostoła. Komu przyszóby do głowy Breżniewa nazwać apostołem?



Rozpatrując przyszły rozwój Chin trzeba wziąć pod uwagę trzy czynniki.

I. — Chiny są największym na świecie ogniskiem nacjonalizmu. Mao Tse-tung Chiny zjednoczył i przywrócił Chińczykom poczucie dumy narodowej. W Chinach ludowych rdzenni Chińczycy stanowią 95 % ogółu ludności. Rosjanie w Związku Sowieckim stanowią nieco mniej niż 50 % ogółu ludności.

Nacjonalizm w Chinach stanowi siłę — nacjonalizmy w Sowietach stanowią zagrożenie.

II. — Spór z Sowietami jest sporem ideologicznym i narodowym a dopiero w ostatecznej kolejności sporem terytorialnym. Chińczycy uważają, że zostali przez Rosjan oszukani i upokorzeni. Uważają również, że Rosjanie zdradzili zarówno rewolucję jak i sojusznika chińskiego.

III. — Pomiędzy Sowietami a Ameryką — Chiny prowadzą i będą musiały w przyszłości prowadzić politykę globalną. Zaangażowanie światowe Chin będzie rosło, ponieważ nie tyle granica sowiecko-chińska co polityka globalna stanowić będzie główne pole zmagania Pekinu z Moskwą.

Na scenie polityki globalnej Chiny dokonały wyboru. Pekin nie tylko popiera dążenia rewindykacyjne Japonii w odniesieniu do czterech wysp Kurylskich. Czu En-lai wyraził również pogląd, że Japonia powinna pozostać pod atomowym parasolem amerykańskim i dochować sojuszu wojskowego ze Stanami Zjednoczonymi. Nie bez przyjemności słuchałem w połowie lutego br. komentarzy na ten temat rozgłośni radia Moskwa. Radio Moskwa podało również wiadomość potwierdzoną przez inne źródła — że Chiny życzą sobie, by siły zbrojne Stanów Zjednoczonych łącznie z 7 Flotą pozostały na teatrze Pacyfiku oraz by bazy lotnictwa amerykańskiego w Syjamie (Thailand) zostały utrzymane.

Chiny nie robią tego wszystkiego z miłości do Waszyngtonu. Pekin zmierza do pokrzyżowania planów Breżniewa, który pragnąłby mieć w Azji podobny porządek jak w Europie (Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy). Plan sformułowany przez Breżniewa w roku 1969 dąży do zlikwidowania SEATO — i zastąpienia go układem, który gwarantowałby nienaruszalność granic, wyrzeczenie się użycia sił zbrojnych, nieinterwencję w stosunki wewnętrzne państw itp., itd. Nad całością — podobnie jak to jest planowane dla Europy — czuwałaby stała komisja mocarstw w której to komisji (również jak w Europie) — Sowiety obierają dla siebie przywódczą rolę. W sumie, Breżniewowi chodzi o neutralizację całego obszaru południowo-wschodniej Azji na wzór planowany dla naszego kontynentu.

Rosjanie twierdzą, że dla swojego azjatyckiego planu zdobyli poparcie Indii, Burmy i Afganistanu. Oczywiście bez poparcia Japonii plan sowiecki nie ma żadnej szansy realizacji.

Musimy stale pamiętać, że polityka globalna operuje nowym zestawem instrumentów i pojęć, które niezawsze pokrywają się z tradycyjną polityką międzynarodową. Chiny i Stany Zjedno-

czone nie nawiązały tradycyjnie pojętych stosunków dyplomatycznych lecz postanowiły utworzyć w Pekinie i w Waszyngtonie misje łącznikowe o statusie ambasad.

Walka o sfery wpływów toczy się na różnych płaszczyznach. Dostarcza się broni i wojskowych „doradców” lub uprawia się tzw. *welfare imperialism*. Inwestuje się kapitał, buduje fabryki, szpitale itd. Ponieważ nie można dopuścić do wojny pomiędzy mocarstwami nuklearnymi, usiłuje się w ramach polityki globalnej stworzyć instrumenty zastępcze.

W perspektywie nowej polityki globalnej należy rozpatrywać kwadraturę azjatyckiego koła, to znaczy stosunki czterech mocarstw: Ameryki, Chin, Japonii i Związku Sowieckiego.

Chińczycy nie tają, że uważają Amerykanów za imperialistów. Lecz imperializm amerykański oceniają za mniejsze zło niż imperializm sowiecki. W opinii Pekinu wojna wietnamska wykazała głęboką niechęć narodu amerykańskiego do wojen kolonialnych, i o dziwo — z Amerykanami można godzinami dyskutować (Chińczycy są wielkimi dyskutantami) i w pewnych rzeczach można się z Amerykanami porozumieć.

Największym osiągnięciem polityki Nixon-Kissinger jest fakt, że przekonali Chińczyków, że Ameryka Chinom nie zagraża i nie zamierza Chinom niczego zabierać. Wielki strach upadł.

Czytając przez miesiąc niemal wyłącznie materiały dotyczące Chin zdałem sobie w pełni sprawę z epokowego znaczenia upadku owego wielkiego strachu. Chińczycy w swej izolacji jeszcze kilka lat temu byli najgłębiej przekonani, że ich głównym wrogiem jest Ameryka, która wyczekuje okazji by dokonać inwazji Chin. Nixon i Kissinger umożliwili Chińczykom dosłownie „odkryć Amerykę”.

Z punktu widzenia futurologii należy przyjąć, że stosunki pomiędzy Ameryką a Chinami będą się zacieśniać, ponieważ oparte są na realnych przesłankach. Ameryka istotnie nie zagraża Chinom i gotowa jest w pokojowej formie załatwić problem Formozy po myśli Pekinu.

Polityka globalna toczy się w czworoboku: Sowiety-Chiny-Stany Zjednoczone-Japonia. W owym czworoboku Rosja jest zmargoryzowana w stosunku trzy do jeden.

W polityce globalnej niezawsze operuje się kanonami klasycznej dyplomacji i niezawsze zawiera się formalne sojusze. O ile formalny sojusz chińsko-amerykański jest wykluczony, ponieważ byłby w najwyższym stopniu ambarasujący tak dla Pekinu jak i dla Waszyngtonu — o tyle zbliżenie amerykańsko-chińskie wzmocnione szeregiem konkretnych układów leży w kartach kabały azjatyckiej.

Kluczową pozycję w owym czworoboku zajmuje Japonia. Stąd wysiłki sowieckie zmierzające do zjednięcia sobie Tokio. Sowiety wyraziły nawet ostatecznie gotowość zwrócenia dwóch (z czterech) wysp Kurylskich. Przypuszczam jednak, że zwrócenie wszystkich wysp Kurylskich nie wpłynęłoby zasadniczo na postawę Japonii



— wzmocniłoby natomiast argumentację Chin w sporze terytorialnym z Sowietami.

Japończycy żyją na przybrzeżnych wyspach kontynentu chińskiego. Jak wspomniałem, w jednym z poprzednich moich artykułów — Japończycy porównują chętnie geopolityczną pozycję Wielkiej Brytanii w stosunku do kontynentu Europy z analogiczną sytuacją Japonii w stosunku do kontynentalnych Chin.

Ponieważ Japonii nie powiodło się Chin pobić — raczej geopolityczne nakazują jej z Chinami się ułożyć. Chiny nie zdradzają żadnych agresywnych tendencji w stosunku do Japonii i antagonizowanie Chin byłoby kardynalnym błędem ze strony Tokio.



Zarówno Chiny jak i Sowiety są państwami komunistycznymi i totalistycznymi i bardzo trudno jest oprzeć się pokusie stosowania w obu wypadkach tej samej miary. Maoizm w pewnych aspektach wydaje się jeszcze bardziej obcy i wrogi niż sowiecizm. Oskarżenia pod adresem Breżniewa powtarzane przez Pekin, że spiskuje ze "światowym centrum obskurantyzmu", to jest z Watykanem, nie mogą budzić sympatii wśród Polaków, choć oskarżenia te noszą charakter antysowiecki. Mao Tse-tung jest bezkompromisowym ateistą i flirty reżymów komunistycznych z Watykanem uważa za zdradę prawdziwej ideologii komunistycznej. Polska z trzema kardynałami (pierwszy raz w historii) i z przepelnionymi kościołami nie może liczyć na sympatię Mao.

Maoizm jest równie obcy i wrogi Polakom jak Sowiecizm. Jednak tak z polskiego jak i z międzynarodowego punktu widzenia należy stwierdzić, że Chiny posiadają odmienną wykładnię polityczną niż Sowiety.

Chiny — jak już podkreślałem — są największym na świecie ogniskiem nacjonalizmu. Nie powątpiewam w szczerą ideologiczną Mao Tse-tunga czy Czu En-lai. Niemniej, owa namiętna nienawiść z jaką mówią o Sowietach nie jest wy tłumaczalna ideologicznie. To nie mówią zatroskani o czystości doktryny marksistów — ale nacjonalści chińscy, upokorzeni i skrzywdzeni w przeszłości i — jak sądzą — zagrożeni nadal przez imperializm sowiecki. Według Czu En-lai imperializm sowiecki jest bardziej perfidny niż był imperializm carskiej Rosji.

Jeżeli przez imperializm rozumieć umacnianie wpływów poza granicami własnego państwa — Chiny niewątpliwie są imperialistyczne.

Jednak pomiędzy imperializmem chińskim a sowieckim zachodzą znaczne różnice. Chińczycy, którzy znają imperializm sowiecki z własnych doświadczeń, starają się uniknąć błędów, które popełniają Rosjanie. Tam gdzie operują Chińczycy nigdy nie ma zatargów pomiędzy tubylcami a Chińczykami. Klasycznym przykładem w tej dziedzinie jest Zambia, gdzie Chińczycy

budują linię kolejową, która połączy kopalnie miedzi w Zambii z portem Dar-Es-Salaam w Tanzanii.

Chińczycy nie tylko finansują ten projekt — nie tylko dostarczyli inżynierów i techników, lecz także dostarczyli armię wyszkolonych chińskich robotników. Chińczycy jedzą i mieszkają identycznie jak tubylcy a inżynierowie i robotnicy chińscy otrzymują identyczne wynagrodzenie jak robotnicy miejscowi. Chińczycy zatrudnieni w Zambii mają surowo zakazane mieszać się w jakiegokolwiek sprawę wewnętrzną kraju.

Podobnie postępują Chińczycy w całej Afryce. Przypuszczam, że wyparliby Sowiety z Środkowego Wschodu gdyby mieli więcej pieniędzy.

Tak zwany wolny świat finansuje pośrednio imperializm sowiecki dostarczając Moskwie niemal wszystkiego: od zboża po komputery. Gdyby podsumować zawarte w ostatnich kilkunastu miesiącach z Sowietami kontrakty przez koncerty amerykańskie, zachodnio-niemieckie, włoskie, francuskie itp. — otrzymalibyśmy imponującą cyfrę. Jeżeli musimy finansować imperializmy — byłoby bezpieczniej finansować pośrednio imperializm chiński niż sowiecki. Przemysłowcy amerykańscy czy niemieccy nie mają powodu ubiegać się o tytuł „budowniczych Związku Sowieckiego”. Nikt nie wymaga od kapitalistów, by byli dobrymi socjalistami. Dramat polega na tym, że zachodni kapitaliści niezawsze są... dobrymi kapitalistami.

Podsumujmy nasze dotychczasowe rozważania.

Wydaje mi się, że Chińczycy mogą z większą ufnością patrzeć w przyszłość niż Rosjanie. Chińczycy są jeszcze w 80 % narodem rolniczym. Jednak nie ma tam głodu i żywność nigdzie nie jest racjonowana. Sklepy są dobrze zaopatrzone w żywność i w artykuły codziennego użytku.

Opierając się na ocenach Anglików, Amerykanów i Niemców, którzy studiowali ów problem na miejscu — należy stwierdzić, że komuny rolnicze w Chinach są sukcesem, a w porównaniu z sowieckimi kołchozami, są fenomenalnym sukcesem.

Jeszcze raz warto podkreślić, że w Chinach, które są narodo- jedolite, nacjonalizm stanowi siłę — natomiast w Sowietach ruchy narodowościowe stanowią zagrożenie. Rosjanie nie mają w tej sprawie łatwego rozwiązania. Ich własny nacjonalizm — wielko-rosyjski — podszeptuje im, że najwyższą racją jest utrzymanie imperium. Utrzymać imperium w jego obecnej formie można tylko w ramach totalizmu. Trzeba żelazną ręką kruszyć cudze nacjonalizmy, by rosyjski nacjonalizm mógł cieszyć się swoim „wielkim i niepodzielnym” imperium.

Ani Rosja carska ani Rosja sowiecka nie wypracowały polityki narodowościowej, ponieważ w ramach imperializmu nie jest rzeczą możliwą wypracowanie odpowiedzi na ten problem. Lecz przedmiotem niniejszego artykułu jest przyszłość Chin a nie Rosji.

Zaznaczyłem powyżej, że w rozwoju stosunków w Azji bardzo wiele zależeć będzie od postawy Japonii. Japończycy zdają sobie



dziś sprawę z niebezpieczeństw związanych ze zbyt wielkim uzależnieniem się od jednego rynku zbytu.

Świetny znawca Dalekiego Wschodu, Selig Harrison (*Washington Post*) podkreślił w jednym ze swych studiów, że pamięć okupacji japońskiej na terenach Azji w czasie drugiej wojny światowej uległa odnowieniu na skutek całkowitej obojętności Japończyków. Przemysłowców japońskich nie interesuje los ich azjatyckich partnerów a zwłaszcza ich dążenia narodowe, gospodarcze czy polityczne. Japońskie przedsiębiorstwa karczują lasy Indonezji lecz Japończycy nie budują przemysłów przetwórczych czy nawet tartaków. Drzewo jest ładowane na japońskie statki, przewożone do Japonii i służy za surowiec przemysłom japońskim. Mieszkańcy Indonezji mogą tylko kupować rozliczne artykuły produkowane z miazgi drzewnej pochodzącej z ich kraju, przy czym operacja od „A” do „Z” jest tak zorganizowana, że bogacą się na niej wyłącznie Japończycy.

„Asian Development Bank” jest opanowany przez Japończyków — nie przez Amerykanów i — zbędne dodawać — dba niemal wyłącznie o interesy japońskie.

„Welfare Imperializm” na wzór amerykański, to znaczy hojna pomoc finansowa i gospodarcza narodom zapóźnionym w rozwoju — nie przemawia do mentalności Japończyków.

Jeżeli Amerykanie, którzy sami są kapitalistami przez wielkie „K” zarzucają Japończykom, że poza zyskiem nie widzą niczego — to opinia powyższa skłania mnie do wniosku, że dwa azjatyckie narody — dwie odmienne europejskie doktryny doprowadziły do perfekcji. Japończycy doprowadzili do perfekcji kapitalizm a Chińczycy komunizm. Dialektyka owego azjatyckiego procesu kryje w sobie nieoczekiwane możliwości.

Amerykanie starają się wszędzie popierać polityków pro-amerykańskich. Najwymowniejszym przykładem tego typu polityki był i jest południowy Wietnam. Natomiast Japończycy, choć są związani w pewnej mierze z różnymi reżymami — równocześnie nie są nigdzie zainteresowani polityką i narodową problematyką danego kraju. Amerykanie propagują ustrój demokratyczny i przeciwstawiają się komunizmowi. Japończycy są do tego stopnia obojętni w tych sprawach, że Harrison mniema, że chińscy czy pro-chińscy komuniści operujący w krajach azjatyckich gotowi są tolerować Japończyków, ponieważ są jedyną siłą politycznie i ideologicznie bezbarwną. Chińczycy i kierowane przez nich frakcje w krajach azjatyckich wiedzą, że Japończycy nie staną w obronie ustrojowego *status quo* w danym kraju — ponieważ ustrój i ideologia są im obojętne pod warunkiem, że japońskie koncerny będą mogły nadal prowadzić *business as usual*.

Ludzie, którzy wyobrażają sobie naiwnie, że polityka przypomina problem szachowy, który stanowi sekwens logicznych posunięć — zauważą w tym miejscu z triumfem, że istnieje sprzeczność pomiędzy super-komunizmem chińskim a super-kapitaliz-

mem japońskim, i w rezultacie nie może być mowy o tolerancji i koegzystencji wzajemnej na terytoriach azjatyckich.

To wszystko nie jest takie proste. Pierwszą fazą na drodze ustrojowej przebudowy w danym kraju do której dążą chińscy komuniści jest obalenie *status quo*. Z tymi, którzy nie bronią *status quo* — można koegzystować. Poza tym zrażanie sobie Japończyków nie leży w interesie Chin — ponieważ jeżeli Pekin będzie utrudniał japoński *business as usual* — Tokio postara się rozszerzyć swoje interesy przemysłowo-handlowe z Sowietami. Chińczycy potrafią łączyć wzniosłą ideologię z cynicznym niemal pragmatyzmem.

Warto jeszcze na marginesie odnotować szczególnie podkreślany niemal przez wszystkich znawców przedmiotu. Z pozorów mogłoby się wydawać, że Japończycy są zamerykanizowani do dna i bez reszty. A jednak owi a-ideologiczni Japończycy identyfikują się kulturalnie z wschodnią Azją i z centrum owej kultury, którym są Chiny. To jest kultura im najbliższa i z narodami tej kultury znajdują najłatwiej wspólny język.

Amerykanie wyobrażają to sobie inaczej. Chcieliby widzieć Japonię nie jako partnera ale jako rywala Chin. Po tej linii szedł projekt „Pacific Economic Pact” wysunięty w ubiegłym roku przez Johna Connolly.

Ameryka mimo, że jeszcze ciągle jest najbogatszym państwem świata jest tradycyjnie mocarstwem protekcyjnym. Ów wrodzony protekcyjizm powoduje, że Stany Zjednoczone czują się gospodarczo „skrzywdzone” przez swoich partnerów a zwłaszcza przez Japonię i przez EWG. Wystarczy jednak rzucić okiem w jakikolwiek rocznik statystyczny by się przekonać, że w przeliczeniu GNP *per capita* — Ameryka jest bogatsza od Niemiec o 14 %, od Francji o 21 %, od Japonii o 41 % i o 50 % bogatsza od Anglii. Również w przeliczeniu na dolaro-godziny płace robotnicze w Stanach są najwyższe na świecie. Amerykanie zdecydowani są nie tylko utrzymać powyższy stan rzeczy lecz chcieliby zdobyć dodatkowe zapewnienia i gwarancje dla amerykańskiej *prosperity*.

Jeżeli Stany Zjednoczone i państwa EWG wprowadzą przepisy utrudniające eksportu japońskiego — wówczas w Tokio wzmoże się ogromnie zainteresowanie rynkiem chińskim. Myślę, że z futurologicznego punktu widzenia wydaje się bardziej prawdopodobne, że Japonia będzie partnerem Chin niż ich rywalem.

I punkt ostatni. Dzięki temu, że Chińczycy są mocarstwem narodowo i kulturalnie jednolitym — ewentualna liberalizacja ustroju nie grozi katastrofą. Natomiast Rosjanie mogliby zliberalizować swój ustrój tylko za cenę odrzucenia imperializmu. Demokratyzacja musiałaby pociągnąć za sobą strukturalne przemiany Związku Sowieckiego co wyraziłoby się znacznym osłabieniem Rosji jako mocarstwa. Chiny posiadają wszelkie warunki do ewolucji, natomiast w Sowietach prawdopodobieństwo rewolucji wydaje się większe niż ewolucji.

Wydaje mi się również, że jeżeli komunizm ma w ogóle jaką-



kolwiek przyszłość — to futurologię ma tylko komunizm chiński i głównie w granicach Chin. Składa się na to wiele przyczyn. Chiny nie mają ani tradycji demokratycznej ani tradycji religii monoteistycznej. „Westernizacja” Chin była zawsze bardzo powierzchowna. Żadna doktryna, z komunizmem włącznie — nie stanowi zagrożenia dla starej, niemal odwiecznej, kultury i cywilizacji chińskiej. Dzięki swej jednorodności narodowej i tradycyjno-kulturalnej Chiny będą zawsze Chinami. Natomiast Rosja nie będzie zawsze Związkiem Sowieckim.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## Korespondencja z Rzymu

W artykule zamieszczonym w poprzednim numerze („Kościół w kraju po grudniu”) nie mogłem poruszyć szeregu spraw wywołujących zainteresowanie zwłaszcza poza granicami kraju, a nieraz i wątpliwości i kontrowersje w środowiskach emigracyjnych, co do postawy zajmowanej przez episkopat. Niniejsza korespondencja powinna przynajmniej częściowo wypełnić tę lukę. Materiał zebrany i zestawiony w formie pytań i odpowiedzi stanowi plon rozmów z kilkoma przedstawicielami polskiej hierarchii kościelnej, którzy z zasady nie udzielają wywiadów podczas pobytu za granicą, co jest uzasadnione warunkami panującymi w PRL. Nie pozwala to więc na identyfikację mych rozmówców, ani też na cytowanie ich wypowiedzi (z wyjątkiem bardziej charakterystycznych sformułowań). Tego rodzaju nieautoryzowany „wywiad” nie traci mimo to waloru informacji pochodzącej z miarodajnego źródła.

*Pytanie:* — Styszy się nieraz pogląd, że episkopat zajmuje w sprawach społecznych postawę konserwatywną, że dba w praktyce tylko o wieś i nie obchodzą go robotnicy?

*Odpowiedź:* — Komisja episkopatu „Iustitia et Pax”, odpowiednik Papieskiej Komisji o tej nazwie ustanowionej przez Sobór Watykański II, której przewodniczy kardynał B. Kominek i w której skład wchodzi trzech biskupów, kilku księży i specjalistów świeckich, prowadzi od czterech lat prace związane z problematyką nauki społecznej Kościoła. Nauka ta posiada niezmiernie podstawy (zawarte w soborowej konstytucji „Gaudium et Spes”), wciąż się jednak odnawia i wymaga adaptacji do nowych warunków społeczno-gospodarczych. Trzeba więc analizo-

wać złożoną rzeczywistość społeczną w świecie, a każda z komisji krajowych czyni to na własnym odcinku. Zadania tej komisji idą w dwóch kierunkach: walki z niesprawiedliwością i uspołecznienia pracy duszpasterskiej. W otwarciu Kościoła na świat wystąpiły pewne objawy patologiczne, widoczne na Zachodzie („drzwi na oścież otwarte powodują czasem przeciąg — ludzie o słabej konstytucji przeziębają się. My, w kraju, dajemy sobie dobrze radę z groźbą przeciągów”). Postanowienia soborowe (m.in. zmiany liturgiczne) wprowadzamy organicznie i systematycznie, ale oględnie i powoli. Ostatnio miarodajni przedstawiciele Kurii Rzymskiej wyrazili uznanie dla poważnego charakteru naszej pracy, związanej z wprowadzanymi zmianami. Zgodnie z dyrektywami ogólnymi, przyjętymi przez papieską Komisję „Iustitia et Pax” o misyjnym charakterze Kościoła, styl naszej pracy jest dynamiczny i ofensywny — nie jesteśmy „samotną wyspą” czy „twierdzą” której trzeba bronić — chcemy zdobywać nowe pozycje dla Kościoła poprzez ewangelizowanie i coraz bardziej uspołecznione formy naszej pracy duszpasterskiej. Jeśli Kościół w Polsce jest dziś prężny — co budzi podziw na Zachodzie — jest to także owoc przedwojennej działalności ludzi społecznie nastawionych oraz doświadczeń okupacyjnych. Po wojnie wykształciliśmy wielu specjalistów w zakresie nauki społecznej Kościoła; w 50 uczelniach diecezjalnych wykłada się i dyskutuje problematykę społeczną poważniej niż przed wojną; tę problematykę lepiej dziś czują również ośrodki laikatu. Istnieje wiele bolączek społecznych jakie trapią nasz naród (np. kryzys rodziny, plaga pijaństwa) — Kościół już dawno zwracał na nie uwagę i przestrzegał. Ostatnio widzą je również czynniki rządowe i zwracają się do nas z ofertą współpracy. Cenzura nie pozwala, niestety, na publikację prac komisji (ukazały się jedynie krótkie notatki informacyjne w *Tygodniku Powszechnym*).

Sprawa wsi i robotników. Wieś zmienia szybko swe oblicze — nie jest, tak jak dawniej, hermetycznie odgradzona, kiedy żyła własnym życiem; dzisiaj urbanizuje się, występuje coraz powszechniej zjawisko chłopo-robotników, istnieje osmoza pomiędzy wsią i miastem. Zarzut braku troski o robotnika jest niesprawiedliwy i krzywdzący. Po wypadkach grudniowych złożyliśmy memoriał, zawierający postulaty w obronie praw bytowych i obywatelskich robotników. O tych sprawach ciągle mówimy, aczkolwiek wobec zmian w strukturze społecznej kraju poruszane problemy w akcji duszpasterskiej odnoszą się zarówno do ludności wiejskiej, jak i robotniczej. Dostęp do robotników mamy jednak utrudniony, kontakty ze światem robotniczym są ograniczone, jakiegokolwiek formy organizacyjne pracy duszpasterskiej (stowarzyszenia) są zabronione. O przywiązaniu robotników do Kościoła i wiary katolickiej świadczy choćby masowy ich udział w tradycyjnych pielgrzymkach: np. w pielgrzymce w Piekarach Śląskich w ubiegłym roku uczestniczyło około 200 tysięcy górników i hutników w dużej mierze „zmotoryzowanych” (25 tysięcy aut i motocykli).



**Pytanie:** — Czy Kościół w Polsce ma jakąś szczególną rolę do odegrania?

**Odpowiedź:** — Polska ma wiele do powiedzenia na świecie, do czego ją predystynują racje geopolityczne, uwarunkowania historyczne i narzucone współzycie z systemem komunistycznym. Konfrontacja ta daje szansę Kościołowi w mobilizowaniu sił społecznych dla rozwoju i pogłębienia chrześcijańskiego charakteru narodu, ale ponieważ Kościół znajduje się w sytuacji specyficznej, musi działać ostrożnie, wystrzegając się wszelkiego nieumiarowania i płytkiego, a tak modnego dziś, progresizmu\*. Niebezpieczeństwo grozi mu nie ze Wschodu, ale raczej od strony tzw. cywilizacji konsumpcyjnej („Kościół psuje się od Zachodu”). W Polsce jest inaczej: nie ma apostazji, przeciętny poziom duchowieństwa jest wysoki. Wewnętrzne życie Kościoła jest zdrowsze niż na Zachodzie, gdzie Kościół jest zbyt „pożłaczany”, za dużo w nim jeszcze — mimo dokonanych reform — splendoru, protokołu, przywiązania do form zewnętrznych i powierzchniowych. Tajemnica prężności i wzrostu Kościoła w Polsce polega na tym że nie naśladuje ślepo zachodnich wzorców, przelotnych mód — szuka natomiast własnej drogi i oryginalnego wkładu do odnowy Kościoła na świecie. Biologiczne i duchowe przyczyny tego wzrostu nie zostały jeszcze całościowo przeanalizowane.

**Pytanie:** — Jakie jest stanowisko Kościoła wobec mniejszości narodowych, Litwinów, Słowaków i Białorusinów, oraz wobec przesiedlonych Ukraińców, wyznawców obrządku grecko-katolickiego (unicy)?

**Odpowiedź:** — Władze rządowe przyjmują że PRL stanowi państwo narodojedolite, że problem mniejszości narodowych nie istnieje, ponieważ został rozwiązany w wyniku zmian granicznych i przeprowadzonej repatriacji. (Rzecz arcyznamienna: *Rocznik Statystyczny 1972*, wydany przez G.U.S. w Warszawie, ignoruje w ogóle istnienie mniejszości narodowych! — przyp. mój). Tego rodzaju stanowisko rzutuje oczywiście na płaszczyznę stosunków religijnych. Kontakty ekumeniczne z prawosławnymi podobnie jak i protestantami są utrudniane, jeśli nie wręcz torpedowane. Przekonali się o tym naocznie przedstawiciele Światowej Rady Kościołów (z Genewy). Wyznania niekatolickie posiadają autonomię bardzo ograniczoną, niektóre z nich są po prostu kościołami państwowymi. Odnosi się to szczególnie do

\* Warto tu zacytować Kisiela (*Tygodnik Powszechny* z 18 marca): „Nie chodzi tym wszystkim mędrkom z bogatego Zachodu, a tym mniej ich rodzimym naśladowcom (poprzednio nazywa ich „bigotami reformizmu za wszelką cenę” — przyp. mój), o Kościół ubogi, lecz, jak napisał za granicą pewien poeta, o Kościół Zawstydzony, przepaszający, przypochlebający się, nadążający za każdą modą (zachodnią), minimalistyczny, defetystyczny, ustepliwý, a zwłaszcza bojący się narażać owej hałaśliwej, rozbuchanej ze znużenia dobrobytem, 'gauchistowskiej' młodzieży”.

autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej w PRL. Nie mamy więc możliwości nawiązania stosunków ze wspólnotą białoruską, bardzo aktywną jeśli chodzi o samookreślenie narodowe i kulturalne, co przysparza *nota-bene* czynnikom rządowym pewnych kłopotów.

Osobne zagadnienie stanowi sprawa unitów przesiedlonych z Małopolski na ziemie wschodnie i północne. Duchowni greckokatolicy, reprezentujący Cerkiew Ukrainką na Zachodzie, mają do nas pretensje, mówią nam: „polonizujecie”. Jest to zarzut niesłuszny. Oni po prostu „wsiakają” w morze polskie, asymilują się, żenią się z Polkami. Zachodzi proces polonizacji samoczynny i nieodwracalny. Niczego im nie zabieramy — przeciwnie niektórych duchownych unickich utrzymujemy, dostarczamy im książek. Cerkwie unickie, przejęte przez nas częściowo na terenie Małopolski (zabytki sztuki sakralnej) były opuszczone, groziła im grabież i ruina; są one natomiast przedmiotem dywersji ze strony popów prawosławnych. Ale to już całkiem inna sprawa.

Sprawa ludności litewskiej i słowackiej jest natomiast problemem typowym dla terenów przygranicznych, gdzie współżyją grupy etniczne dwujęzyczne. Wystarczy wymienić tak pałace dziś zagadnienia narodowościowe jak: mniejszości słoweńskiej w austriackiej Karyntii i na obszarze Triestu, mniejszości włoskiej w jugosłowiańskiej Istrii, austriackiej w Alto Adige, nie mówiąc o fermentach narodowościowych w Belgii i w Jugosławii. W Polsce chodzi zresztą o liczby niewspółmiernie niskie, tak nikt, że niełatwo nam widzieć ten problem w skali ogólnopolskiej. Problem ten jest sztucznie wyolbrzymiany przez środowiska skrajnie nacjonalistyczne, by stwarzać nam dodatkowe trudności. Na obszarze graniczącym ze Słowacją jest kilka wiosek zamieszkałych przez ludność mieszaną, z tym że Słowacy mówią tam dialektem lokalnym, zbliżonym bardziej do polskiego niż do słowackiego; jest to kwestia bardzo złożona, bo podziały przebiegają także wpoprzek rodzin, a dzieci z reguły słowackiego nie znają. Wbrew temu co na ten temat pisano w prasie emigracyjnej staramy się ten problem rozwiązać w duchu tolerancji i sprawiedliwości. Kiedy zarządzono, że jedna msza będzie odprawiana po polsku, druga zaś po słowacku, kilku agitatorów zaczęło organizować podczas mszy polskiej demonstracyjne śpiewy po słowacku. Budzi to sprzeciw ludności polskiej, w czym tkwi także czynnik emocjonalny: nie zatarły się dotąd na tym obszarze wspomnienia okupacyjne, kiedy dzisiejsi „krzykacze” kolaborowali z reżymem pro-hitlerowskim w ówczesnej republice słowackiej (na jej czele stał ks. Tiso — przyp. mój).

Co do Litwinów to jest ich około 6 tysięcy w kilku wioskach, głównie na terenie powiatu Sejny; mówią oni dialektem polsko-litewskim; są tam dwie parafie, kandydata na objęcie jednej z nich posłano na studia (nie mówił po litewsku) — nie był więc „wycofany”, co nam zarzucono. Kiedy bp Sasinowski (były kapelan spadochroniarzy polskich na Zachodzie — przyp. mój), ordynariusz łomżyński, chciał wybudować kościół w jednej para-



fii zamieszkałej przez Litwinów, władze nie zgodziły się, zarzucając mu że „rozbudza nacjonalizm litewski”, że „stwarza sztucznie kwestię mniejszości narodowej” i polecono mu zaprzestać wszelkich działań na rzecz ludności litewskiej.

*Pytanie:* — Nie została dotąd wyjaśniona postawa episkopatu wobec antysyjonistycznej kampanii, zakończonej masową emigracją obywateli pochodzenia żydowskiego. Jakie były przyczyny milczenia biskupów w tej sprawie?

*Odpowiedź:* — Była to przede wszystkim „kłótnia w rodzinie”, rozprawa w łonie elity kierowniczej, a nie akcja o podłożu rasistowskim. Ofiarą frakcyjnych rozgrywek partyjnych padło wiele jednostek bezpośrednio niezainteresowanych, ale ci co opuścili kraj uczynili to głównie ze względów bytowych, ponieważ społeczność żydowska utraciła dotychczasową uprzywilejowaną pozycję. Metody zastosowane w nagonce antysemitycznej, moralnie odrażające, nie mogą zatrzeć wspomnienia cierpień jakich doznali księża, działacze katolicy i w ogóle społeczeństwo w okresie stalinowskim, kiedy aparat ucisku reprezentowali liczni dygnitarze i wysocy funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego, odznaczający się szczególną gorliwością. Wolta, jakiej po 1956 roku dokonali żydowscy prominenci stalinowskiego „frontu ideologicznego” i świata kultury, nie mogła wzbudzić zaufania tak jak późniejsze rugie antysyjonistyczne nie mogły wywołać przekonania, że Żydzi byli ich ofiarami wyłącznie ze względu na swe pochodzenie. Kampania antysyjonistyczna, podjęta przez partię dla załatwienia porachunków wewnętrznych, wyrządziła szkody moralne i naraziła na szwank dobre imię Polski jako kraju o tradycjach tolerancji narodowościowej i religijnej; doprowadziła ona *nota-bene* do skutków odwrotnych niż zakładane: do wzrostu nastrojów sympatii dla Żydów i dla państwa Izrael w szczególności.

*Pytanie:* — Dlaczego episkopat nie zabrał głosu w sprawie wyroku śmierci na Jerzego Kowalczyka, jakie jest stanowisko biskupów w sprawie skasowania w ogóle kary śmierci?

*Odpowiedź:* — Komisja Główna episkopatu zajęła się tą sprawą; był zamiar wydania oświadczenia — nie starczyło jednak czasu, pod wpływem bowiem ogromnej presji społecznej czynniki rządowe bardzo szybko się wycofały, zamieniając, jak wiadomo, ten wyrok na 25 lat więzienia, co oczywiście stanowi też karę niewspółmiernie wysoką do popełnionego czynu. Episkopat jest przeciwny karze śmierci ze względów zasadniczych i humanitarnych — w większości krajów cywilizowanych karę tę usunięto zresztą z obowiązującego ustawodawstwa. Do sprawy tej powrócimy, łączy się to bowiem z obroną wartości humanistycznych naszej kultury narodowej, w czym Kościół jest żywotnie zainteresowany. Popieramy ponadto wszelkie inicjatywy społeczne, wy-

chodzące nie tylko ze środowisk prawniczych, zmierzające do reformy obowiązujących kodeksów i procedury sądowej w duchu demokratycznym i humanizacji stosunków społecznych.

*Pytanie:* — Radio „Wolna Europa” atakuje zaciekle w ostatnim czasie posła J. Zabłockiego z Koła „Znak”, przeciwstawiając go posłom Stommie i Łubieńskiemu i oskarżając go o akcję rozłamową. Jaki jest stosunek episkopatu do „Znaku” i działalności posła Zabłockiego?

*Odpowiedź:* — Przyjmujemy do wiadomości stan faktyczny, tzn. zdajemy sobie doskonale sprawę z uwarunkowań politycznych działających grup katolickich. Nie mamy wpływu na zmianę istniejącego stanu rzeczy. Każda z tych grup ma „na górze” swego protektora. Koło posłów „Znak” odgrywa pozytywną rolę w sejmie w ramach istniejącego porządku ustrojowego. Stara się pomóc Kościołowi. Działalność Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych, kierowanego przez posła Zabłockiego, ma charakter konstruktywny; współpracuje z nim kilku dawnych działaczy ruchu chrześcijańsko-społecznego i specjalistów od problematyki społeczno-gospodarczej, jak prof. KUL-u, C. Strzeszewski. Jest to ośrodek mający zainteresowania społeczne — publikuje wartościowe prace z zakresu nauki społecznej Kościoła, które wolno im ogłaszać ponieważ pismo „Chrześcijanin w świecie” (organ ODIS-u) posiada niski nakład i dlatego cenzura jest względnie liberalna (inne kryteria stosuje natomiast do wydawnictw Kościoła). Radio „Wolna Europa” nie jest wyrocznią, popiera jednych, gani czy zwalcza innych, opierając się często na plotkach i informacjach niezwyfikowanych lub stronniczych.

#### PRAGA I BERLIN WSCHODNI — NASTĘPNE ETAPY WATYKAŃSKIEJ OSTPOLITIK

Mons. A. Casaroli, sekretarz Rady do Spraw Publicznych Kościoła (odpowiednik ministra spraw zagranicznych), główny negocjator układów z państwami komunistycznymi, stanowczo nie ma szczęścia. Kiedy, po zawarciu umowy z rządem czeskosłowackim w sprawie nominacji czterech ordynariuszy, udał się na początku marca do Pragi dla konsekrowania tych biskupów, okazało się że nie tylko mons. J. Vrana, administrator apostołski Ołomuńca, ale również i pozostali trzej biskupi są zaangażowani w ruch „księży-patriotów”, tj. Stowarzyszeniu „Pacem in terris” (jak wiadomo komuniści kochają Jana XXIII zwłaszcza jako nieboszczyka). Organizacja ta, powołana do życia i kontrolowana przez reżym Husaka, zastąpiła ruch pokojowy księży, zlikwidowany jako twór stalinowski w okresie wiosny praskiej. Mons. Vrana zrzekł się co prawda funkcji prezesa tego stowarzyszenia na żądanie Kurii Rzymskiej, ale Watykan dla zabez-



pieczenia się na przyszłość obwarował jego nominację klauzulą „*ad nutum sanctae sedis*” tzn. że w określonych okolicznościach może mu cofnąć mandat. Spośród trzech nowomianowanych biskupów słowackich, mons. J. Gabris, administrator apostołski Trnavy (podlega nadal bezpośrednio Watykanowi) był również dotąd nader aktywny w ruchu „księży-patriotów” — natomiast dwaj pozostali, mons. J. Pastor z Nitry i mons. J. Feranec z Bańskiej Bystrzycy (otrzymali pełną jurysdykcję jako biskupi rezydencjalni) byli jakoby jedynie członkami biernymi. Mają oni również zrzec się uczestnictwa w tej organizacji i wszyscy — zdaniem rzecznika Watykanu — „dają gwarancję z punktu widzenia duszpasterskiego”. W kołach emigracji czechosłowackiej w Rzymie panuje przeświadczenie, że Watykan nie miał innej alternatywy. Z 13 diecezji, jedynie dwie były obsadzone (nowomianowany kardynał S. Trochta z Litomierzyc i mons. F. Tomasek administrator apostołski archidiecezji praskiej) — siedem diecezji pozostaje więc nadal *vacat*. Nie było wyboru: trzeba było zapłacić tę cenę — zdaniem czeskich rzymskich kół kościelnych — aby przełamać martwy punkt i otworzyć drogę do uregulowania spraw tak istotnych jak nauczanie religii i seminaria, stanowiących przedmiot bezpardonowej ingerencji organów administracji państwowej. Nasuwa się tu uwaga: w reżymach totalitarnego „socjal-faszyzmu” (neo-stalinowskiego komunizmu) mogą ostać się wyłącznie wspólnoty kościelne bardzo spójne i kierowane w sposób autorytatywny, a czasem nawet autokratyczny, inaczej padają pastwą demoralizujących i destruktywnych zabiegów monopartii (tak jak w Czechosłowacji i na Węgrzech).

Zaraz po powrocie z Pragi czekały na mons. Casaroli bardzo ważne rozmowy z min. Scheelem, towarzyszącym prezydentowi Niemieckiej Republiki Federalnej, Heinemannowi, w wizycie oficjalnej w Rzymie. 26 marca prezydent NRF (znany zwolennik idei ekumenicznej, wybitny przedstawiciel Kościoła Luterskiego), powitany z wielką pompą, przekroczył śpiżową bramę. Po audiencji u papieża i dnia następnego odbyły się rozmowy polityczne. Minister Scheel konferował z Sekretarzem Stanu, kard. Villot, Substytutem mons. Benellim i przede wszystkim z mons. Casarolim. Wiadomo że poruszono m.in. sprawę normalizacji sytuacji kościelnej na obszarze NRD, tzn. ewentualnego odrębnego statusu episkopatu wschodnio-niemieckiego oraz utworzenia nowych diecezji, czego domaga się Berlin wschodni. 24 stycznia br. mons. Casaroli przeprowadził na ten temat rozmowy wstępne (poprzedzone licznymi kontaktami rekonesansowymi) z W. Lamberz, sekr. K.C. SED, partii rządzącej w NRD. Wywołało to niepokój, a nawet, jak pisała prasa niemiecka, „rebelię” przeciw Watykanowi w łonie episkopatu zachodnio-niemieckiego, jak również protesty ze strony CDU i CSU. Podpisanie traktatu berlińskiego pomiędzy rządami NRF i NRD stworzyło nową sytuację. Mons. Casaroli nie czekał na ratyfikację traktatu — postanowił przygotować grunt do dalszego etapu watykańskiej

*Ostpolitik*, która niewątpliwie jest zsynchronizowana z *Ostpolitik* kanclerza Brandta i podąża, jak może, jej śladem. Nieznane są, jak dotąd, wyniki rozmów watykańskich min. Scheela. Z uzyskanych „niedyskrecji” wynika że Watykan proponuje następujące rozwiązanie: nominacja czterech administratorów apostołskich dla „komisariatów biskupich” (Erfurt, Schwerin, Magdeburg, Meiningen), tj. obszarów podlegających administracyjnie diecezjom zachodnio-niemieckim (Osnabrück, Paderborn, Fulda i Würzburg); włączenie do diecezji Meissen (jedyne diecezji położonej całkowicie na obszarze NRD) skrawka archidiecezji wrocławskiej (obszar Łużyc), na którym, po normalizacji statusu diecezji na polskich ziemiach zachodnich ustanowiono administrację apostołską; przedmiot negocjacji stanowi ponadto uregulowanie statusu diecezji berlińskiej, podzielonej pomiędzy dwa obszary państwowe, a która do czerwca ub.r. podlegała metropolii wrocławskiej (obecnie podlega bezpośrednio Watykanowi). Ordynariusz diecezji berlińskiej, kard. Bengsch (rezyduje w Berlinie wschodnim) przychylił się do koncepcji watykańskiej, natomiast władze NRD naciskają w kierunku pełnego uniezależnienia Kościoła wschodnio-niemieckiego, tzn. domagają się utworzenia czterech nowych diecezji z pełną jurysdykcją i autonomią episkopatu, zarówno w stosunku do hierarchii kościelnej NRF jak i do Watykanu. Prawdopodobnie jednak zgodzą się na kompromisowe załatwienie, licząc (nie bez racji) na rozwiązanie definitywne w niedalekiej przyszłości. Tymczasem zaś dyplomacja watykańska musi rozgryźć twardy orzech oporów stawianych przez dużą część zachodnio-niemieckiego episkopatu i partię chrześcijańsko-demokratyczną. Nie będzie to łatwa rozgrywka. Zaangażowane są w niej poważne interesy, także materialne („świętopietrze” płacone przez katolików w NRF).

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 kwietnia 1973

## Widziane z Brukseli

... i ostatek się jeno cyrk...

„Zasiałiśmy ziarno wolności i jedności, które wszędzie na całej ziemi. Nadejdzie dzień kiedy za przykładem Stanów Zjednoczonych Ameryki powstaną Stany Zjednoczone Europy”. Tak pisał pierwszy prezydent USA, Jerzy Waszyngton, do Francuza Marii Józefa de La Fayette. A w dzień po uchwaleniu konstytucji USA, inny Amerykanin, też znany we Francji, Benjamin Franklin,



doszedł do wniosku, iż nie ma żadnych przyczyn, „dla których nie miano by w Europie powrócić do projektów króla Henryka IV, tworząc federację i jedną wielką republikę składającą się ze wszystkich państw i wszystkich monarchii w oparciu o konstytucję podobną do amerykańskiej”. Przecież, jak dodał Franklin, „Amerykanie także musieli pogodzić nader sprzeczne ze sobą interesy”.

200 lat później trzydziesty siódmy prezydent USA, Ryszard Nixon ogłasza, że „Rok 1973 będzie rokiem Europy”, ale ma na myśli coś zupełnie innego niż jego wielki poprzednik. Jeżeli bowiem Nixonowi o coś chodzi, to o to aby Europa przestała się już jednoczyć. W oczach bowiem USA, i nie tylko USA, zasiane przez Waszyngtona ziarno wolności i jedności zakwitło chwastem. Europa okazała się mianowicie absolutnie niezdolna do jakiegokolwiek innej jedności niż do czegoś w rodzaju nędznej spółki małych handlarzy śledzi, sklepikarzy „towarów mieszanych”, broniących się skutecznie od zewnętrznej konkurencji, ale nie mogących poza tym znaleźć żadnego innego uzasadnienia dla ich wewnętrznej spójni. Z niektórych wypowiedzi można by w ogóle wywnioskować, że jedyny problem przed jakim Europa dziś stoi to walka na śmierć i życie z USA. Niektórzy mężowie, przepraszam za słowo, stanu w Europie, tak mówią o stosunkach z USA, jakby chodziło o wojnę koreańską, spotkanie dwóch Wietnamów lub rozmowy przez berliński mur dwóch suwerennych państw jednego narodu niemieckiego.

Mówiąc w skrócie, stosunki pomiędzy Europą zachodnią a Stanami Zjednoczonymi nie były nigdy tak złe jak obecnie. Zdaniem Roberta Schaezela, byłego ambasadora USA przy EWG, sytuacja sprowadza się do „dialogu głuchych”, z tym tylko, że narobi on dużo hałasu w 1973 roku i w latach następnych. Na szczęście jest ZSSR, z którym każdy z tych „głuchych” partnerów jest w coraz lepszych stosunkach.

Przez dziesięciolecia powojenne Amerykanie byli najlepszymi Europejczykami, lepszymi od najlepszych Europejczyków. Nikt tak nie marzył o jedności Europy jak Biały Dom. Zajęty kolejnymi wojnami w Korei, Wietnamie, odblokowywaniem Berlina, wyrzucaniem Chruszczowa z Kuby itd., itp., Biały Dom podrzucił nawet bardzo dużo złota, aby tę jedność, silną, zdrową jak najszybciej zbudować.

No i w końcu się im udało. Kiedy jednak Europa już powstała, to okazała się silna i dumna, ale tylko wobec USA. Zupełnie jak w historii p. G. z Bukaresztu. P. G. były szlachcic, naonczas zwyczajny, albo i nadzwyczajny uchodźca (chodził dosłownie bez portek, ale zawsze w kapeluszu), grywał dobrze w brydża, tym lepiej im gorszych miał partnerów. Stąd przede wszystkim (dla chleba, panie, dla chleba) ogrywał szoferów i innych zarabiających normalnie uchodźców, ale poza stolikiem karcianym i barowym nie tylko nie utrzymywał z nimi stosunków, ale nie ukrywał nawet pogardy. Kiedyś po kilku „cujkach” (okropny bimber rumuński), pewien z fundatorów obraział

się i wykrzyknął: „Panie G. co pan tu pieprzy, ja w Warszawie bywałem w tych samych domach co i Pan”. „Tak — odparł spokojnie, czkając p. G. — ale pan w kuchni, a ja w salonie”. Otóż w podobny sposób Europejczycy chcieli potraktować Amerykanów. Prosimy, mówili, ale tylko do kuchni i do kasy. Salony zaś, to inny świat, nie dla kowbojów.

#### Niemita alternatywa

Tylko nieliczni Europejczycy, dorośli w czasie wojny, pamiętali jeszcze, że nie pozbialiby się w latach Hitlera i umarliby z głodu po zwycięstwie, gdyby GI nie przybyli na ratunek, nie wymyślili *land-lease'u*, planu Marshalla i innych neokolonialnych perfidii. Inni, młodszy, albo o krótszej pamięci, walili w USA jak w kaczy kuper. Nawet Jean-François Revel, jeden z najbardziej krytycznych obserwatorów USA w Europie, którego zaprawdę trudno posądzać o sympatię dla *American way of life*, zauważył, że „Francuzi nie mają, naturalnie, pojęcia o tym czym jest społeczność amerykańska. Żyją w ciągłym nieporozumieniu. Z jednej strony są podświadomie zafascynowani życiem amerykańskim i starają się bezwiednie je imitować. Z drugiej strony, należy niemal do obyczaju narodowego potępianie amerykańskich rozwiązań i odrzucanie precz amerykańskich instytucji”.

Anty-amerykański obłęd trafił najtęższe nawet głowy. Historyk angielski p. Arnold Toynbee, człowiek znany i szanowany, bardzo nie lubi obecności amerykańskich wojsk w Europie. To jego sprawa, każdy ma prawo. Ja np. też tego nie lubię, nie lubię zresztą obecności żadnych wojsk w żadnym kraju, nie lubię wojska w ogóle, ale obecność amerykańskich garnizonów w Europie uważam za podstawowy argument nie strategiczny, bo to śmieszne, a polityczny. Rosjanie są widać głępsi od p. Toynbee, bo właśnie ściągnęli do NRD, Polski i Czechosłowacji dodatkowe kilka tysięcy czołgów, też nie dla zastraszenia USA ani p. Toynbee, ani w celach zapewnienia porządku socjalistycznego w tych krajach, bo poprzednie garnizony wystarczyły, a w celach przetargowych a więc politycznych *à propos* rokowań wiedeńskich i innych.

Ale p. Toynbee idzie jeszcze dalej. Zauważa on mianowicie z przenikliwością doświadczonego polityka, że „Wietnam południowy ucierpiał bardziej od Wietnamu północnego, co innych sojuszników USA powinno przestrec przed tym do czego może dojść. Ryzyko stania się Czechosłowacją, mówi nam p. Toynbee, jest mniej przerażające od ryzyka stania się Wietnamem południowym”. Hm? Osobiście, bardzo mi taka alternatywa nie odpowiada, mam nadzieję że Bruksela nie będzie ani Pragą ani Sajgonem. Panu Toynbee tylko życzę, aby spędził pewien czas — jako historyk — pod tym mniejszym ryzykiem, a wtedy pogadamy. Na razie brak nam wspólnego materiału doświadczalnego i wspólnej platformy komunikacji.



P. Toynbee, i inni, nie lubią zapewne bomb zrzuconych na bezbronne miasta i na bezbronnych ludzi. Ja także tego bardzo nie lubię. Dziwiłem się co prawda, że Moskwa była jedyną stolicą na świecie gdzie nie doszło do antyamerykańskich manifestacji w czasie niszczenia Hanoi w grudniu ub. roku, sam jednak protestowałem i to w druku. Nie dziwię się natomiast Amerykanom, którzy zadają sobie pytanie, jak to się dzieje, że kiedy oni zachowują się brutalnie, to cała Europa, z wyjątkiem — powtarzam — państw socjalistycznych zajętych kupowaniem zboża w USA, protestuje, krzyczy, rozdziera szaty i obrzuca (słusznie — dopisek mój) Nixona najgorszym mięsem (pewien premier porównał nawet Amerykanów do hitlerowców, ale jemu też brak doświadczenia, bo w czasie wojny jego chata była skrają, a nawet robiła znakomite interesy), a kiedy kilkudziesięciu jeńców wraca z niewoli północno-wietnamskiej i nieśmiało opowiada, że to nie był dom wypoczynkowy KC w Zakopanem, a raczej wprost przeciwnie, to nikt w Europie nie wierzy, a prasa woli te opowieści przemilczeć albo i wykipić.

Na koronnego świadka przywołano w Paryżu nie jeńców, a panią Jane Fonda. Jest to prześliczna dama, zrobiła na mnie piorunujące wrażenie w niektórych scenach filmu „Klute”. Otóż w szlachetnym szale oddania się sprawie wolności, Jane stwierdziła po prostu, że tortura to bujda, a torturowani to „kłamcy i hipokryci”. Pięknej Jane także brak doświadczenia, co w warunkach naszego fizycznego oddalenia nie ułatwia dialogu i wyjaśnienia niektórych aspektów w tej kwestii. Ale pewna światowa gazeta poparła Jane i wzięła w cudzysłów nawet tak delikatne określenie jak „złe traktowanie”, tak jakby było ono nietaktem wobec Wietnamczyków z północy. Autor, człowiek zapewne młody, też brak mu doświadczenia, sprytnie zdemaskował Nixona, który posłużył się wynurzeniami jeńców w celu odwrócenia uwagi opinii od skandali wewnętrznych. A przecież w tej ostatniej sprawie doświadczenia nie powinno mu być brak, jako że jeżeli chodzi o skandale, to wszak Paryż... itd., przy czym z wyborów wiadomo, jak trudno odwrócić od nich uwagę opinii.

### Atlantycka Wunderwaffe

W marcu w Amsterdamie zebrało się ok. 300 panów, sam kwiat międzynarodowej myśli politycznej, ekonomicznej i w ogóle. Nazywało się to konferencją „Europa-Ameryka”, miała ona omówić „rolę obu kontynentów w zmieniającym się świecie”. Temat rzeczywiście na czasie, niestety zaszło wiele nieporozumień, nie mówiąc już o tym, że wszelka próba rozmowy w 300-ta osób jest pozbawiona sensu.

Konferencja niewiele więc przyniosła poza dwoma wystąpieniami niez mordowanego męża królowej, ks. Bernarda i kilku bankietami, potrafiła jednak wyprodukować (jakby specjalnie dla mnie na dzisiaj) kilka niezmiernie charakterystycznych cy-

tatów. Otóż pewien był minister belgijski, starszy już pan, autor zaskakująco serdecznej książeczki o pewnym kraju demokracji tzw. ludowej, zdemaskował Amerykanów, którzy „chcą wobec nas, Europejczyków, stosować argumenty sprzed dwudziestu lat. Ale, zaśmiał się minister, czasy się zmieniły. Mówią nam o zagrożeniu sowieckim, ale p. Nixon jedzie do Pekinu i Moskwy aby uprawiać odprężenie. Narody europejskie też są już zmęczone zimną wojną”. Nie rozumiem. Czy Nixon nie powinien był jechać i uprawiać odprężenia? Miałyby pozostawić tę sprawę wyłącznie Europejczykom, miałyby nie włączyć do salonów? Pewien deputowany holenderski dorzucił w prywatnej, ale opublikowanej rozmowie: „Trzeba, panie drogi, wybierać między Ameryką a światem”. Znowu nie rozumiem. Dlaczego mam wybierać? Dlaczego „czy-czy”, a nie „i-i”? Bardzo się boję, że jeżeli wybór zależeć będzie od deputowanego, to, z uwagi na beneluksową integrację, Bruksela znajdzie się po złej stronie...

Także Włosi okazali się zaniepokojeni imperializmem amerykańskim. Szef delegacji z Rzymu kategorycznie się sprzeciwił idei powołania specjalnego komitetu, który miałyby w Brukseli stanowić rodzaj *lobby* dla wpływania na poprawę kontaktów między USA a EWG. Włochowi chodziło po prostu o „groźbę dominacji amerykańsko-brytyjskiej w łonie tego komitetu”, co, jak wiadomo, stanowi obecnie największą groźbę dla spokojnej i ustabilizowanej sytuacji wewnętrznej Italii.

Nikogo zapewne nie zaskoczy stwierdzenie, iż to delegacja francuska dała prawdziwy festiwal anty-amerykańskiego kompleksu niższości. Nie tyle zresztą delegacja, co jej szczyłek w postaci pewnego skopanego właśnie w wyborach b. posta gaulistowskiego — w wolnych chwilach dziennikarza w Paryżu. Konferencja, która wedle słów jednego z głównych jej organizatorów stanowiła „połączenie płycizny z banałem”, konferencja, której końcowa rezolucja postulowała tak bezczelno-wrotowe hasła jak „ustanowienie między USA a EWG otwartego i szczerego dialogu”, ta konferencja stanowiła dla owej ofiary francuskiej demokracji „próbę narzucenia dyktatury anglo-amerykańskiej”, „dyrektoriatu anglo-saskiego”, a jej głównym celem miało być „odrodzenie tego ducha (znaczy się spisku anglo-saskiego, dopisek B.), o którym Francja myślała, że wraz z wejściem Anglii do EWG już nigdy się nie odrodzi”. Pismo redagowane przez tego pana, którego (pisma, nie pana) nikt poważny nie bierze do ręki, postawiło kropkę nad i. „Konferencja Europa-Ameryka, huknęła z Paryża, stanowi nową atlantycką maszynę wojenną”.

A w czym się ów spisek miał wyrazić? Kto miał z tej nowej Wunderwaffe wystrzelić? Ano ci, którzy sprawili, że poszczególne kraje były w Amsterdamie nierówno reprezentowane, że istotnie z USA, Anglii czy Kanady przyjechało sporo ważnych, mądrych lub bogatych ludzi, a z Francji tylko jakieś niedobitki. Ale czyja to wina? Czy gauliści nie mogli podesać jakiegos posta, który nie przegrał a wygrał wybory i który by mówił



więcej z głowy a mniej z żółci? Czy nawet, jeżeli zaakceptować głupie pokrzykiwanie, i uznać, że wszystko to było dziełem spisku i dyktatury Anglosasów, to czy taka konferencja nie stanowi najlepszego forum dla demaskowania imperializmu? Jaki skutek może odnieść obrażanie się jak w przedszkolu i zabieranie szmacianki na własne podwórko? Kto zabronił Francji czy innym krajom zawiązywać kontr-spisek np. w postaci EWG i wystać do Amsterdamu ludzi mogących bez kompleksu niższości stawiać czoła Rostowowi, Brzezińskiemu, Mac Cloyowi, Rockefellerowi, Ball'owi, Anglikom Jenkinsowi, Stewartowi, Mauldingowi Torphowi i kilku lordom? Zaćmienie dotknęło zresztą także opozycję francuską. Pewien socjalistyczny poseł (wygrał wybory), mer ogromnego miasta, zahartowany w bojach z handlarzami narkotykami i żywym towarem, też odmówił podróży do Amsterdamu, bo impreza była „zbyt amerykańska”. To bardzo znamienne zwycięstwo pośmiertne De Gaulle'a...

Rozgadałem się o amsterdamskiej imprezie albowiem była ona niezwykle charakterystyczna dla ewolucji poglądów pewnych środowisk europejskich. Mimo, że np. nowy rząd francuski ma tyle wspólnego z klasycznym gaulizmem co rząd Husaka z socjalizmem, środowiska te ciągle wierne są starym dogmatom, tak wierne, że nie zauważyły nawet, iż coś się na świecie zmieniło.

A co się zmieniło? Zmienił się Amerykanie!

#### *Polityka to nie filantropia*

Dla Amerykanów polityka zagraniczna czy obronna nigdy nie była funkcją filantropii. Rzecz normalna, ale póki trwała wojna w Wietnamie, Amerykanie nie mieli czasu, ochoty ani siły, aby stosować tę zasadę także i w Europie. Zachodnią część naszego kontynentu uważali oni, może niesłusznie, za teren zaprzyjaźniony, chcieli jej jedności, bo w jedności siła, a to przecież sojusznik, tym bardziej miły, że kilkadziesiąt miliardów latających dolarów produkowało tu regularnie „małe”, to znaczy nowe miliardy dolarów.

Ale wojna w Wietnamie, anachroniczna, niepopularna, krwawa i kosztowna, a zarazem tak ostro krytykowana w Europie, się skończyła. Prawda, można mieć wątpliwości czy skończyła się na dobre i na zawsze. Nie można jednak mieć wątpliwości, że nigdy nie powtórzy się w tej samej formie i że następna, wcale nie wykluczona, interwencja amerykańska będzie miała zupełnie inny charakter.

Podobnie jak zupełnie inne są Stany Zjednoczone, które wyszły z wojny wietnamskiej. USA mianowicie się *zdegaulizowały*, a Nixon zaczął stosować zasady De Gaulle'a. Różnica jedynie polega na tym, że De Gaulle miał politykę, ale nie miał wystarczających środków dla jej realizacji, Nixon ma jedno i drugie, co bardzo Europę, pewną Europkę, denerwuje. Nowy, powie-

tnamski etap amerykańskiej dyplomacji Nixon zainaugurował pod hasłem De Gaulle'a: „Wielkie mocarstwa nie mają przyjaźni, mają tylko parnetrów”.

Zauważmy więc np., że Nixon, pierwszy prezydent amerykański, który dotrzymał słowa, zakończył wojnę w Wietnamie w cztery lata, ale nie wahał się w tym celu lawirować na granicy ryzyka światówki. Nixon uważał, że wymaga tego interes USA i nie pytał nikogo o zdanie. Jestem daleki od zachwyty dla Nixona, ale on wie, że siła, jak alkohol, stosowana z umiarem nie szkodzi nawet w największej ilości. Nie szukając przykładów daleko, to przecież w obliczu amerykańskiego „niet”, Breżniew milczał, kiedy bomby leciały na Hanoi a miny blokowały Haifong, Kreml wstydliwie zawiesił haracz wobec Żydów pragnących emigrować, a komuniści musieli wypuścić jeńców nie tylko z Wietnamu, ale i Laosu.

Na razie, Nixon ma rację. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu, w okresie np. wojny o Bengla Desz, ogromnych transportów broni sowieckiej dla Wietnamu czy sowieckich lotów nad Izraelem, sam Kissinger się zastanawiał czy Rosji można ufać. Dziś, po wyjściu z Egiptu, po rozwalce Hanoi, w czasie inwazji Waszyngtonu przez oddziały delegatów sowieckich pragnących naradzać się z Amerykanami w najbardziej dzieciennych sprawach, w okresie szykowania wspólnego lotu ku gwiazdom, nie mówiąc już o dochodzącym znad Wołgi wołaniu: „chleba” — umiarkowanie ZSSR nie podlega kwestii.

Breżniew pakuje walizki. Nareszcie spełni się marzenie jego życia: zobaczyć USA i wrócić na Kreml. Sądzę, że Breżniew pojechałby do USA nawet gdyby wojna wietnamska trwała, ale o ileż przyjemniej pić Coca-colę (w Moskwie jest tylko pepsicola) w atmosferze odprężenia i „buzi”. Było święto w Nowym Jorku, kiedy niedawno zawiązał tam „Nowgorod”. Statek, niby banalny, 12.500 ton, ale pierwszy w nowojorskim porcie od chwili, kiedy „Baltika” przywiozła tam Chruszczowa szykującego scenę „z pantoflem” do dyskusji w ONZ. Breżniew wypuszcza Żydów, bo nie nosi mokasynów, mógłby mieć trudności z szybkim zdjęciem buta, woli mieć spokój.

Trudno naturalnie szybko się przestawić i przestać w ogóle wierzyć w wszechświatowe zamiary Kremla. Ale jeżeli nawet abstrahować od czynnika siły USA, to można postawić tezę, że na krótką metę potrzeby gospodarce ZSSR warunkują jego strategię i narzucają potrzebę kooperacji. Jest i będzie na razie spokój, bo amerykański chleb Rosjanie chcą teraz smarować zachodnio-europejskim masłem i popijać mlekiem w proszku wyprodukowanym przez cztery fabryki szwedzkie. W Europie uśmiechali się szyderczo kiedy USA dopłaciły, w imię handlowania z Moskwą, setki milionów dolarów do transakcji zbożowej z ZSSR. Teraz EWG dopłaci mniej więcej to samo, do 200.000 ton masła sprzedanego wygłodniałej ojczyźnie socjalizmu za mniej więcej jedną szóstą ceny płaconej przez belgijskie gospodynie w sklepie. W ten sposób ZSSR koryguje jeszcze jedną teorię



zacoфанego świata: można mieć i masło i armaty, pod warunkiem że masło pochodzi z zagranicy.

Nic dziwnego, że Nixon idzie za ciosem, wykorzystuje koniunkturę, daje i bierze, płaci i wymaga. Otóż jak długo ten proceder dotyczył wyłącznie ZSSR, to zachodnia Europa potakiwała. Natomiast kiedy Nixon te zasady niefilantropijnej dyplomacji postanowił zastosować także wobec Europy zachodniej, podniósł się szum. Co, mówiono, to tak się postępuje wobec przyjaciół i sojuszników?

Doszło do tego, że dwóch bardzo mądrych Europejczyków, p. Rey, Belg, b przewodniczący komisji EWG, i p. Luns, Holender, aktualny sekretarz generalny NATO, musieli na wspomnianej już konferencji w Amsterdamie mówić jak do dzieci: „Panowie, nie miejcie pretensji do USA, że zaczęły bronić własnych interesów. Robią to może niedelikatnie, ale jest rzeczą niedopuszczalną mówić o spisku anglo-amerykańskim po latach kiedy gaulizm nie dopuszczał do europejskiej jedności. Događajcie się najpierw między sobą, a potem miejcie pretensje do USA”. A George Ball, obecnie prywatna inicjatywa, poprzednio podsekretarz stanu u Johnsona i kandydat na sekretarza stanu u MacGoverna, podsumował grzecznie acz wymownie: „W sferach rządowych USA wyraża się wątpliwość czy wspólnota europejska będzie kiedykolwiek zdolna do wyjścia ze stadium bloku handlowego zasadniczo wrogiego wobec interesów amerykańskich... Prowadzi to niewątpliwie do pewnego odrodzenia protekcyjizmu w USA...”

### „Zupetnie nadzwyczajny burdel”

Ten jednostronny charakter „europejskiej jedności” jest tym bardziej bezsensowny, iż z Brukseli widać wyraźnie do czego to prowadzi, jak się ta Europa powoli acz skutecznie ośmiesza. Zapatrzona w swe małe nacjonalizmy, albo raczej prowincjonalizmy, Europa zachodnia nie zauważyła nawet że pewien typ sojuszków, przymusowych miłości, po prostu się skończył. Jak to powiedział Raymond Aron: „Wrogowie stali się nieco mniej wrodozy, przyjaciele nieco mniej przyjacielscy”. Europa zachodnia nie zauważyła, że skończyła się era „kowboya co to w kuchni, a nie w salonie”, że dla Nixona jedyna dyplomacja to „mów mi pan do ręki”. Nie wiem czy Nixon zna polski, łącinę lub francuski, ale jemu chodzi o zasadę „śmierć frajerom” — *do ut des, donnat-donnant*. Praktykowanie tej trójjedynnej formuły zapewnia szacunek na świecie i pozwala uniknąć rozczarowań miłosnych.

Zarozumiała Europa zachodnia potrzebuje kopniaków, elegancko zwanych szokami. Po wojnie takim szokiem były niektóre decyzje Stalina, pucz w Pradze, groźba piątej kolumny, likwidacja demokracji w monolitycznym bloku kdl-eli. Kilka kryzysów wystarczyło więc aby stworzyć Radę Europejską, NATO

i EWG. Oczywiście, gaulizm itp. masę popsuły, ale jądro przetrwało. Teraz potrzebny jest znowu szok, aby się Europa obudziła z letargu, przestała się zachowywać jak grono obrażonych dziewczic, i zrozumiała, że w rozsypce nie istnieje, a tylko w kupie coś znaczy.

Otóż, przykro nawet powiedzieć, taki uzdrowieńczy kopniak nie może już przyjść z ZSSR, wpełzającego powoli w bagno społeczności ledwo-konsumpcyjnej, ani z Chin, które zajęte są przede wszystkim zwalczaniem ZSSR, ani z trzeciego świata, który choć głodny, to zajęty jest przede wszystkim zamachami stanu i tworzeniem własnej czarnej, albo kolorowej burżuazji. Cynicznie mówiąc, taki kopniak może nadejść tylko z USA. Już zresztą nadchodzi, mierząc w najośleńsze tyłse. Skoro, jak już wiemy, jedyne co Europa potrafiła utworzyć to zgromadzenie sklepikarzy zwane EWG, którego głównym celem jest walka z USA, to USA postanowiły się bronić. A że są potężne, to będą atakować. „Prezydent USA powinien mieć prawo podnosić lub obniżać bariery celne w odpowiednich momentach, tak aby skłonić inne kraje do obniżenia ich restryktywnych barier handlowych”. Tak poradziła Nixonowi potężna Rada do spraw międzynarodowej polityki handlowej, z samym Kissingerem na czele.

Gwałtu, zawołali w Brukseli, chcą nas zniszczyć. Nieprawda, sami się niszczycie przez waszą fatalną niezdolność do mówienia jednym głosem, przez swą manię robienia sobie drobnych świństwewek. „To zwyczajny burdel”, wykrzyknął pewien wytworny Eurokrata na wiadomość o aferze z siedzibą Europejskiego Funduszu Monetarnego. I jak tym dowcipie: „To jest burdel? Moja ciocia miała burdel, trzeba było widzieć jaki panował tam porządek!”, inny niemniej wytworny eurokrata orzekł: „Nie, proszę kolegi, nie zwyczajny, a nadzwyczajny”.

### „Możecie mnie pociąć w kawałki...”

O co poszło? Mała rzecz, a cieszy. Warta jest kilku słów, jako że wymownie wskazuje sposoby, w jaki Europa szykuje swe samobójstwo. Otóż Europejski Fundusz Monetarny, podstawowy element Europejskiej Unii Gospodarczej, końcowego celu EWG, miał wystartować 1 kwietnia 1973. Tak postanowił zachodni szczyt jeszcze w październiku 1972 w Paryżu. Miała to być pierwsza instytucja dziewięciopaństwowej Europy zrywająca się do wspólnego lotu. Siedzibą Funduszu miał być Luksemburg, któremu obiecano to w 1965 roku. Było to już wtedy pociągnięcie nierozumne, bo po pierwsze w ogóle niczego obiecywać nie należy, a po drugie — nie można poważnie mówić o oddzieleniu Funduszu od komisji EWG, z którą jest on organicznie związany. Ale światło w tej sprawie ujrzeli Anglicy, Francuzi i Niemcy dopiero na kilkanaście godzin przed podpisaniem odpowiedniego aktu. Synowie perfidnego Albionu powiedzieli wtedy, że to bezsens i mieli rację, ale wyciąganie tego w przeddzień



daty przewidzianej od pół roku zakrawa na operetkę i byłoby śmieszne gdyby nie było takie rozpaczliwie smutne.

Jasne, że w tej sytuacji min. spraw zagranicznych Luksemburga (a jakże) podniósł wrzask, tupnął na brytyjskiego lwa i zapowiedział dumnie i dosłownie: „Możecie mnie posiekać w kawałki, nie damy się wziąć zmęczeniem ani o północy ani o świcie. Nie mogą we wspólnocie istnieć kraje ważniejsze i mniej ważne. To styl sklepikarski, małe kraje tego nie chcą”. My to już znamy z Orwella, choć on co prawda mówiąc „o równych i bardziej równych” miał na myśli inny układ społeczny.

Sytuację uratowała, jak zwykle, Belgia. Zaproponowała tradycyjny już „europejski” kompromis: odłożenie decyzji na kilka miesięcy. Fundusz więc w zasadzie powołano, ale bez siedziby, co oczywiście zakłada bezruch tej instytucji. I to w chwili kiedy walutowa solidarność EWG stanowi podstawowy element antyamerykańskiej strategii. I gdzie tu logika?

#### *Komu nagrodę? Tylko EWG!*

Mniejsza o detale. Europa przeżyła właśnie najgorszy i najgłębszy kwartał swej historii. Oczywiście, można to różnie tłumaczyć. Trudne jest docieranie się nowej dziewięciopaniństwowej EWG. Anglicy niebardzo jeszcze rozumieją na czym Europa polega, więc przede wszystkim bili się o posady w Brukseli, udowadniając, iż stanowisko może nie mieć nic wspólnego z kwalifikacjami. Głupie, nacjonalistyczne targi o żółb nie mogły naturalnie nie osłabić morale personelu i jakości urzędniczej pracy. Tym bardziej, że nie pominęły one najwyższego szczybla, gdzie dokonywano cudów odrażającej ekwilibrystyki, aby tylko „równi” zachowali kluczowe pozycje, a „mniej równi” mogli zachować jako tako twarz.

Można także zwać winę na „niedotartych” ministrów, którzy sprawiają wrażenie jakby chcieli za wszelką cenę udowodnić całkowitą niemożność kolektywnego działania w Europie w najbardziej podstawowych sprawach. Ich bezradność prowokuje znowu chłopów, którzy tak skutecznie splądrowali niewinne centrum Brukseli przed dwoma laty w słynny „czarny wtorek zielonej Europy”.

Można także mówić o biurokracji. Jak to ktoś ostatnio zauważył fakt, iż jakiś petent nie gubi się w Brukseli zupełnie, wynika wyłącznie z jego złej informacji. Komisję EWG odwiedziła niedawno grupa angielskich dziennikarek. Dwadzieścia kilka harpii wtargnęło do gmachu EWG, ale nawet Angielki nie potrafiły zmącić senilnego nastroju właścicieli Europy. Potem dały łupnia, cała ich słodycz charakteru wyładowała się na komisji. „W ciągu mojej 20-letniej kariery jeszcze mnie tak nie ogłupiono co w ciągu dwóch dni w Brukseli”, stwierdziła jedna z łagodniejszych. Na jedno z pytań komisja obiecała odpowiedź na piśmie. Następnego dnia nadeszła. Brzmiała: „Nie rozumiemy

pytania”. Jeden z komisarzy absolutnie niezdolny do udzielenia rzeczowej odpowiedzi, odpowiedział w socjalistycznym stylu: „Przecież nie zrozumiecie konkretów bez filozoficznego podkładu. A zresztą, dopiero startujemy w dziewiątkę i czekamy na wasze propozycje”. Nie mogą powtórzyć propozycji jakie padły natychmiast, w słowie. W druku moje angielskie koleżanki delikatnie zauważyły, że nie jest to najlepsza droga do budowania Europy.

Można także zauważyć, że Europy nie ma bo Francja wyszła właśnie z wyborów, Anglia się do nich szykuje, Holandia nie ma rządu od chyba stuleci, Belgia ma najliczniejszy rząd w Europie, ale taki więcej słaby, a Włochy nie mają głowy do Europy, bo kraj się rozsypuje.

Można to wszystko powiedzieć, ale po co, skoro właśnie taka argumentacja jest typowo prowincjonalna, nie europejska, z innego piętra, z innej epoki. Europa to właśnie coś wprost przeciwnego do tej argumentacji, to nie zlepek prowincjonalnych „ojczyzn”, a nowa jakość. Ostatni kwartał i otwarty, równie groźny dla wszystkich państw europejskich, kryzys walutowy wykazał, że partokularyzmy i prowincjonalizmy są potężniejsze od idei europejskiej, że Europa nie dojrzała jeszcze do Europy. Prawda bowiem polega na tym, że Europa, taka mądra, taka ładna i taka bogata, nie potrafiła stworzyć jednej jedynej wartości, bez której nie może być ani prawdziwej jedności, ani w ogóle żadnej nowej jakości: nie potrafiła wypracować nowej, własnej, europejskiej, a nie francuskiej, niemieckiej, angielskiej czy beneluksowej, ideologii. Żadne najbardziej nawet zintegrowane sprzedawanie śledzi, tej ideologii nie zastąpi.

Pomimo amerykańskiego parasola atomowego i amerykańskich miliardów, a może właśnie z ich powodu, Europa powinna umieć obejść się bez amerykańskiej kurateli. W tym celu musi nauczyć się mówić jednym głosem, do czego nie jest na razie zdolna. Mówi się trudno i czeka się na ciąg dalszy. Na kopniaka. Ale winą za ten stan rzeczy Europa nie powinna obarczać USA, a siebie samą. To Bismarck powiedział: „Ktokolwiek mówi o Europie jest w błędzie”. To De Gaulle proklamował absolut „Europy ojczyzn”, to Halstein uprawomocnił zasadę zależności EWG-owskich dygnitarzy od ich stolic, mimo uroczystej przysięgi „na wierność Europie...”.

W Londynie powstało właśnie Stowarzyszenie popierania humoru w sferze stosunków międzynarodowych. Przewodniczy mu znakomity humorysta angielski Peter Ustinow, co rozumie; pierwszą doroczną nagrodę wręczy szwedzki premier Palme, co mniej rozumie. Znam troszeczkę stosunki międzynarodowe i nie wróżę stowarzyszeniu długiego życia, ani większych sukcesów, nie mówiąc już o popularności wśród „jednostek tworzących historię” pozbawionych na ogół poczucia humoru. Do nagrody kandydują: najpoważniejszy, najlepszy, jedyny niezależny dziennik francuski *Le Canard Enchaîné*, angielsko-węgierski satyryko-pisarz, Georg Mikes i amerykański dziennikarzo-satyryk Art Buchwald.



Głosuję przeciw. Do śmieci z nimi! Nagrodę powinna dostać EWG.

W pierwszych dniach kwietnia parlament europejski obradował w Luksemburgu nad nowymi cenami rolnymi. Obradował?! 6 kwietnia o godz. 2-ej po północy brytyjscy konserwatyści, jedyni którzy w grupie dotrzykali do rana, przy pomocy niedobitków niemieckich chadeków i... dwóch gaulistów, odrzucili rezolucję komisji brukselskiej. Udało im się to po zatwierdzeniu wszystkich rzeczowych paragrafów, w chwili kiedy miano zatwierdzić ostatni paragraf o uzyskaniu zgody... co do pozostałych już przegłosowanych punktów. Dom wariatów?! Nie! Jeden z nielicznych przytomnych ludzi w Luksemburgu, socjal-demokratyczny deputowany z Brukseli złapał się za głowę i wykrzyknął: „Wydaje mi się, że jestem w cyrku”. No właśnie, z ust mi to wyjął.

W Rzymie wołano o chleb i cyrk. W Brukseli postanowiono, że skoro jest już i chleb, i masło i w ogóle, to pozostanie jedynie cyrk.

Największy cyrk świata.

BRUKSELCZYK

Pisane 8 kwietnia 1973

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 224 — LESZEK KOŁAKOWSKI

## OBCENOŚĆ MITU

Praca zawiera następujące rozdziały: *Rozróżnienie wstępne.* — *Mit w pytaniu epistemologicznym.* — *Mit w świecie wartości.* — *Mit w logice.* — *Sens mityczny miłości.* — *Mit, istnienie, wolność.* — *Mit i przypadkowość natury.* — *Fenomen obojętności świata.* — *Mit w kulturze analgetyków.* — *Trwałość i chwytliwość mitu.* — *Wnioski.*

W przedmowie Autor pisze m.in.: „Pisałem tę rozprawkę od 1966 roku i na początku 1967 zwróciłem się do wydawnictwa „Czytelnik” w Warszawie z propozycją jej wydania. Zabiegi wydawnictwa o zezwolenie na publikację trwały lat pięć i pół i spełzyły na niczym”.

Str. 136.

Cena F. 14; \$ 3,25; £ 1.25

## Sąsiedzi

### Memoriał ukraiński do VI Zjazdu PZPR

VI Zjazd PZPR

Komisja wniosków KC PZPR

na VI Zjazd PZPR

Warszawa

Dotyczy: położenia ludności ukraińskiej w PRL i nierealizowania wytycznych PZPR przez urzędników rad narodowych różnych szczebli i Zarząd Główny UTSK w dziedzinie polityki narodowościowej.

Pod koniec 1970 roku w życiu politycznym naszego kraju zaszły znamienne zmiany. Proces odnowy, który rozpoczął się w kierownictwie przodującej siły życia politycznego w naszym kraju — w PZPR, w ciągu 1971 roku obejmował coraz większy zasięg, rozciągając się na różne dziedziny życia politycznego i ekonomicznego. Tym niemniej nadal czeka na rozwiązanie szereg spraw związanych z istnieniem w Polsce ukraińskiej mniejszości narodowej.

Przedstawiciele ukraińskiej mniejszości narodowej z Łemkowszczyzny, byli partyzanci łemkowskich oddziałów GL i AL, byli ochotnicy Armii Czerwonej i uczestnicy narodowo-wyzwoleńczej walki z faszyzmem i hitlerowskim okupantem zwracali się z problemami ukraińskiej ludności w Polsce do V Zjazdu PZPR pismem z dnia 2. 11. 1968 roku, a potem do czołowych osobistości władz naczelnych PZPR — pismem z dnia 15. 1. 1971 roku.

Dotychczas jednak od adresatów nie otrzymano żadnej odpowiedzi. Z przykrością stwierdzamy, że w „Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii” nie ma żadnych wskazań i postulatów w dziedzinie polityki narodowościowej oraz wyraźnego stosunku do zaspokojenia potrzeb kulturalno-oświatowych obywateli PRL nie-polskiej narodowości. Chcemy szczególnie podkreślić, że spośród



wszystkich mniejszości narodowych przede wszystkim Ukraińcy w PRL są najbardziej upośledzeni co do możliwości korzystania i rozwijania rodzimej kultury, szczególnie w dziedzinie pielęgnowania języka ojczystego i cennych tradycji ludowych. Wynika to z następstw związanych z akcją „W”, rozsiadlenia ludności ukraińskiej i rozproszenia jej na obszarze zachodnich i północnych województw PRL.

Cele i metody akcji „W” przedstawione są w pracy Kazimierza Pudły „Osadnictwo łemkowskie na Dolnym Śląsku w latach 1947-1969” („Wieś Dolnośląska, wyd. PTL 1970), gdzie na str. 91 autor stwierdza: „Należało dążyć przy tym do równomiernego jej (tzn. ludności ukraińskiej) rozmieszczenia po całym powiecie, unikając skupisk przekraczających 10 % ogółu ludności...” oraz na str. 90: „Akcji przesiedleńczej musieli się poddać wszyscy spośród ludności ukraińskiej, nawet starzy komuniści, pracownicy aparatu partyjnego, funkcjonariusze UB i uczestnicy walk partyzanckich oddziałów AL i GL i innych...”, a w uwagach do str. 90 autor pisze: „Łemkowie uczestniczyli w walkach z hitlerowskimi Niemcami w składzie oddziałów Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Pierwsza komórka PPR utworzona została wiosną 1942 roku w Uściu Ruskim (obecnie Uście Gorlickie). Od 1944 roku gwardziści łemkowscy współpracowali z partyzantką radziecką Zołotara, Antonowicza i Kwityńskiego. W sierpniu 1944 roku łącznie z partyzantką słowacką, jako jedyna brygada, Łemkowie brali udział w niesieniu pomocy powstańcom słowackim”.

Dodać należy, że kilkadziesiąt tysięcy młodych Ukraińców z obszarów południowo-wschodnich PRL walczyło ochotniczo w szeregach Armii Czerwonej z faszystowskim najeźdźcą w latach 1944-45.

W świetle tych faktów wynika jednocześnie, że akcja „W” i metody jej towarzyszące nie były wyrazem klasowej polityki partii i miały na celu stworzenie warunków prawodawczych do jak najszybszego wynarodowienia ludności ukraińskiej w PRL. Wyrazem tego jest m.in. osadzenie w obozie odosobnienia w Jaworznie bez wyroku sądowego w czasie i po akcji „W” rzesz niewinnych Ukraińców w tym kobiet a nawet dzieci i starców, a także byłych uczestników walk z faszyzmem. Wielu z tych ludzi zginęło w obozie. Pozostali zostali zwolnieni decyzją prokuratury wojskowej w Krakowie, co świadczy o ich niewinności. Doznali oni w obozie wielu krzywd i cierpień a wielu z nich utraciło tam zdrowie.

Akcja „W” przeprowadzona została brutalnymi sposobami, przypominającymi wojskowe akcje pacyfikacyjne stosowane przez sanację i gen. Paszkiewicza na terenach Zachodniej Ukrainy do 1939 roku.

We wspomnianej pracy K. Pudły, str. 88-89 mówi się: „Przesiedleniu na Ziemię Zachodnie podlegała cała ludność ukraińska, w tym również Łemkowie oraz pozostała jeszcze na terenie Polski część ludności zaliczanej do grup etnograficznych Bojków i Dolinian, a także Rusini Szlachtowscy. Przesiedlono też pomył-

kowo niewielką liczbę ludności polskiej, której umożliwiono jednak szybki powrót do dawnego miejsca zamieszkania. W okresie trwania akcji przesiedleńczej (od kwietnia do końca 1947 roku) ludność kilku sąsiadujących wsi otrzymała na ogół 24-48 godzin na przygotowanie się do wyjazdu... Zezwalano w zasadzie załadować dobytek na dwa wozy: inwentarz żywy, martwy, ziarno i zapasy żywności”.

Na str. 94 pisze o warunkach osiedlenia. „Zabudowania przeznaczony dla Łemków były częściowo zdewastowane (od 50-70 %). Dotyczy to zarówno stanu zabudowań mieszkalnych, jak i gospodarczych (brak drzwi, okien, zerwane podłogi, zniszczone urządzenia ogniowe itp.). Zdarzało się, że osiedleńcy odmawiali objęcia gospodarstwa częściowo zniszczonego i wracali z powrotem na stację kolejową, skąd trzeba ich było ponownie kierować na inne miejsce”. Na str. 91 pisząc o stanie transportu, który przyjechał na stację w miejscowości G. autor podaje, że „przyjechało nim 51 rodzin (213 osób) przywoząc ze sobą: 45 krów, 37 kóz, 13 koni, wozy i niewielką ilość innego sprzętu”. Jak wiadomo Łemkowie posiadali dobrze rozwiniętą gospodarkę hodowlaną. Jedna rodzina miała kilka a nawet kilkanaście sztuk bydła. Nasuwa się pytanie, gdzie podziała się ta duża stosunkowo ilość bydła? Biorąc pod uwagę grabieżczą działalność okupanta z bólem trzeba wspomnieć, że mienie wysiedlonych, w tym także bydło, grabione było przez wojsko i ludność polską (tworzącą bandy rabunkowe) okolicznych wsi. Przesiedleniu towarzyszyły przemoc fizyczna i poniżenie godności ludzkiej. Niszczono i palono ukraińskie i rosyjskie książki szkolnych i świetlicowych bibliotek wiejskich. Los ten spotkał dzieła T. Szewczenki, I. Franka, A. Puszkina, L. Tołstoja i innych światowej sławy poetów i pisarzy. Za posiadanie portretów T. Szewczenki, czy I. Franka odsyłano do obozu w Jaworznie pod pretekstem szerzenia ukraińskiego nacjonalizmu. W czasie akcji „W” szowinistyczne i nacjonalistyczne elementy dokonywały odwetu na ludności ukraińskiej za swoją porażkę z siłami postępu i socjalizmu, które głównie na Łemkowszczyźnie oraz Chełmszczyźnie i w Włodawskim miały swoje głębokie korzenie i szeroką bazę społeczną i polityczną. Tereny te były oparciem dla KPP i KPZU. Na tych obszarach czynione były z powodzeniem od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej próby odrodzenia marksistowsko-leninowskiej partii, zorganizowania antyfaszystowskiego ruchu oporu, o czym świadczą partyjna i naukowa literatura a między innymi takie publikacje jak: „Wspomnienia żołnierzy GL i AL (WIN), gdzie na str. 486 P. Karp (były sekretarz Okręgu PPR) pisze: „Zamieszkujące tereny górskie powiatów Gorlice, Jasło, Krosno ludność łemkowska ściśle z nami współpracowała, biorąc czynny udział w walce z Niemcami. Wypadki pójścia na współpracę z okupantem należały naprawdę do rzadkości. Wielu działaczy PPR i szczyrych polskich patriotów, wielu dzielnych dowódców i żołnierzy GL i AL wywodziło się z Łemków”.

W publikacji „Z pola walki” Nr 4/16, 1961 r. na str. 304



Jadwiga Ludwińska — członek grupy inicjatywnej PPR, skoczek spadochronowy ZPP, znana działaczka polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego i I sekretarz Kom. Okręg. PPR na Podkarpaciu — pisze: „Problematyka Okręgu Podkarpackiego była bardziej złożona niż problematyka innych okręgów. Okręg ten obejmował Łemkowszczyznę z ludnością uważającą się za „ruską” i ciężącą ku Ukrainie. Wsie, na których bywałam: Pielgrzymka, Kłopotnica, Wola Cieklińska, Tylawa, Uście Ruskie i szereg innych zamieszkałe były w większości przez Łemków. Mimo poczucia swej odrębności narodowej ludność łemkowska żyła zgodnie z ludnością polską. Nacisk i próby nacjonalistów i faszystów ukraińskich przeciw Polakom i namowy do mordowania ludności polskiej — jak to było na Ukrainie Zachodniej — spotykały się ze stałym odporem. Żywe były bowiem tutaj tradycje walk chłopskich kierowanych przez KPP, i żywa działalność PPR i Gwardii Ludowej. Spośród ludności łemkowskiej rekrutowali się wybitni aktywiści Podkarpackiego Okręgu PPR: bracia Jan, Michał i Tymofiej Dońscy, Stefan Pejko, Grzegorz Wodzik, Jan i Teodor Serniakowie, Ewa Dral, Aleksandra Wisłocka, Jan Romcio, Hubyk i wielu innych”.

Akcja „W” nie ominęła nawet wybitnie zasłużonych wsi łemkowskich — Zynbranowej i Barwinka, pow. Krosno, odznaczonych w 1969 roku najwyższym wojskowym odznaczeniem „Orderem Czerwonej Gwiazdy” przez rząd Czechosłowacji za szczególną pomoc niesioną przez ludność w/w wsi wojskom czechosłowackim w ogniu walk o Przełęcz Dukielską.

Zatem, w świetle powyższego a także w świetle marksistowsko-leninowskich zasad internacjonalizmu proletariackiego metody stosowane w akcji „W” stanowią naruszenie podstawowych zasad i linii PZPR w dziedzinie stosunku do zagadnień narodowościowych w naszym kraju. Linia ta została jednoznacznie określona na VII Plenum KC PZPR w lipcu 1956 roku: „Partia musi ze zdwojoną siłą zwalczać wszelkie przejawy nacjonalizmu i dyskryminacji w stosunku do obywateli niepolskiej narodowości, zapewnić im rzeczywistą równość we wszystkich dziedzinach życia, musi dopilnować naprawienia wszystkich szkód, które naprawić w tej dziedzinie można, by zainteresowani nabrali przekonania o sprawiedliwości i słuszności naszej polityki, abyśmy pozyskali ich pełne zaufanie”.

Jesteśmy przekonani, że akcja „W” i następstwa z nią związane są dziełem szowinistów i nacjonalistów polskich wrogo ustosunkowanych do ludności ukraińskiej i dyskryminujących tę ludność. Stan dyskryminacji ludności ukraińskiej w PRL utrzymywany jest nadal przez szowinistów i nacjonalistów nie respektujących uchwał i wytycznych Partii i centralnych władz administracyjnych kraju.

Położenie ludności ukraińskiej w PRL jest nadal trudne, szczególnie w dziedzinie społecznej i kulturalno-oświatowej. Uwidoczni się ono wyraźniej jeśli weźmiemy pod uwagę sposób rozwią-

zania kwestii narodowościowej w sąsiednich krajach socjalistycznych.

W CSRS, gdzie zamieszkuje ponad 150 tys. ludności ukraińskiej, Ukraińcy mają społeczno-kulturalną organizację — KSUT, skupiającą ponad 7 tys. członków. Zarządy powiatowe tej organizacji dysponują pięcioma pracownikami etatowymi, mikrobussem i samochodem osobowym. KSUT — Związek Kulturalny Ukraińskich Pracujących wydaje czasopisma tygodnik *Nowe Żytia*, miesięcznik *Drużno wpered* z dodatkiem *Szkola*, miesięcznik dla dzieci *Wesetka*, kwartalnik *Dukla* i szereg zeszytów repertuarowych dla szerokiej rzeszy ukraińskich ludowych zespołów artystycznych. Zarząd Główny KSUT ma swój teatr poezji, dwa zespoły pieśni i tańca, jako amatorskie ale odpowiednio dotowane i dzięki temu mające odpowiednie warunki do osiągnięcia wysokiego poziomu artystycznego, kwalifikującego je na wyjazdy zagraniczne. Rok rocznie KSUT organizuje duże akcje — uroczystości centralne m.in.: Święto pieśni i tańca ukraińskiej ludności CSRS w Swidniku, Festiwal dramatyczny im. A. Duchnowicza w Medzylaborcach, Festiwal ukraińskiej estrady w Kamionce. W festiwalach tych bierze udział duża ilość amatorskich zespołów artystycznych, istniejących w licznych miejscowościach, w jakich żyje ludność ukraińska.

Dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych i oświatowych oraz społecznych ludności ukraińskiej istnieją placówki państwowe. W Breszowie systematycznie daje swe występy państwowy teatr ukraiński. Państwowy ukraiński zespół pieśni i tańca — PUNA nie tylko pielęgnuje i krzewi ludową kulturę Ukraińców CSRS, ale także godnie reprezentuje tę kulturę poza granicami swego kraju. Muzeum Ukraińskiej Kultury w Swidniku, zatrudniające 26 pracowników stanowi poważny ośrodek naukowy do badań kultury ukraińskiej w CSRS, wydając rocznik — *Naukowyj Zbirnyk*. Prócz tego istnieją tam: Ukraiński oddział Instytutu Pedagogicznego, Ukraińska filia Związku Pisarzy Słowackich, oddział Ukraińskiej Literatury w Słowackim Wydawnictwie Pedagogicznym, Studio Ukraińskiej Redakcji Radia CSRS, zatrudniające 26 pracowników, przygotowujących około 15 audycji radiowych tygodniowo w języku ukraińskim.

Ludność ukraińska ma swych przedstawicieli na wszystkich szczeblach władz partyjnych i administracyjnych do szczebla centralnego włącznie. KSUT jest członkiem Frontu Narodowego CSRS. Podobnie traktowane tam są ludność węgierska i polska. Wychodzi tam np. dziennik w języku polskim.

W NRD, jak podaje *Polityka* nr 3/69 z dnia 16. I. 1969 roku „Serbołużyczanom — mniejszości słowiańskiej na terenie Saksonii — groziło za czasów hitlerowskich pełne wynarodowienie, a nawet fizyczna zagłada. Na terenie NRD ocalało 7 serbołużyckich nauczycieli, obecnie ich liczba wzrosła do 1.700. Język mniejszości wykładany jest w 90 szkołach. Wydawnictwo „Domowina” wydało 539 różnych podręczników szkolnych. Czterech przedstawicieli Serbołużyczan reprezentuje ich interesy w Izbie Ludo-



wej". Życie narodowe Serbołużyczan ma podstawę prawną w postaci „Wielkiej Karty Wolności Łużyc”, która jest uchwalona przez parlament saski na wniosek Socjalistycznej Partii Jedności dnia 23 marca 1948 roku. („Ustawa o zagwarantowaniu praw ludności serbołużyckiej”). Autor pracy „Dole i niedole Serbołużyczan” na str. 248 stwierdza, że: „Ustawę o zagwarantowaniu praw ludności serbołużyckiej i rozporządzenia wykonawcze do niej należy uznać za przykład właściwego rozwiązania zagadnień narodowościowych, możliwego tylko w państwie socjalistycznym lub budującym socjalizm. Świadczy o tym nie tylko treść tych aktów prawnych, ale i sposób ich realizacji przez władze państwowe: obowiązek poparcia moralnego i materialnego”. Na str. 253 tej książki autor pisze: „Pierwszy raz w dziejach Łużyc dzieci serbołużyckie mają swoje przedszkola. Mają też kilka szkół podstawowych z językiem ojczystym jako wykładowym, a ponad setkę takich, gdzie stanowi on przedmiot nauczania. W szkołach tych nauza kilkuset nauczycieli Serbołużyczan, a uczęszcza do nich ponad 8 tys. dzieci”. Dwie świetnie wyposażone szkoły średnie ogólnokształcące w Budziszynie i Chociebwiu przygotowują młodzież serbołużycką do studiów uniwersyteckich.

„Serbołużyckie przedszkolanki (str. 254) kształcą się w Radworze, a na nauczycieli w dwóch uczelniach w Budziszynie... czynne są też dwie szkoły zawodowe: rolnicza w Budziszynie i rybacka w Rakecy... W Lipsku i Dreźnie mają swoje domy akademickie. Serbołużyckich studentów w Lipsku i Dreźnie obowiązuje — oprócz przedmiotu studiów — nauka języka ojczystego, oraz historii, literatury i etnografii swego narodu. Uniwersytet Karola Marksa w Lipsku jest też ogniskiem studiów sorabistycznych, skupionych w Instytucie Sorabistyki”. Na str. 255 czytamy: „Niezależnie od tego czynny jest w Budziszynie Instytut Ludoznawstwa Serbołużyckiego, powiązany organizacyjnie z Niemiecką Akademią Nauk”.

„Życie kulturalne Serbołużyczan weszło w nową fazę — pisze dalej autor wspomnianej książki na str. 257. Dawniej trzeba było się zadowolić wyłącznie amatorskimi zespołami artystycznymi. Dziś poważną rolę odgrywają zespoły zawodowe... W połowie 1950 roku mógł zaprezentować swe występy prezydentowi Pickowi podczas jego wizyty w Budziszynie tysięcosobowy zespół chóralny i taneczny... W 1952 roku Winar zorganizował Serbołużycki Państwowy Zespół Pieśni i Tańca liczący stu członków. Od 1948 roku (str. 258) istnieje zawodowy teatr objazdowy, który dociera do 25 miejscowości. Tematyka łużycka (str. 259) weszła po raz pierwszy w dziejach kraju na scenę operową... Osobna redakcja w Chociebwiu (str. 260-261) nadaje w rozgłośni radiowej również audycje literackie i muzyczne. Obyczaje i stroje ludowe ratują od zapomnienia fotoprzezrocza i filmy oświatowe.

„Domowina” jest m.in. poważną instytucją wydawniczą, liczącą kilkudziesięciu pracowników... Książek dla dzieci i młodzieży wydano ok. pięćdziesiąt... Jest to — w stosunku do potrzeb — najgorzej zaopatrzonej dział piśmiennictwa serbołużyckiego. Rów-

nież literatura naukowa reprezentuje około pięćdziesięciu tytułów”.

Podobną politykę narodowościową prowadzą władze partyjne i administracyjne w Jugosławii.

O sytuacji ludności ukraińskiej w PRL najlepiej świadczyć może informacja Ministerstwa Kultury i Sztuki — Komisji d/s kulturalnych mniejszości narodowej, z sesji wyjazdowej do województwa rzeszowskiego z 9-11 czerwca 1960 roku, w której czytamy: „Do braków należy zaliczyć niedostateczną troskę ze strony rad narodowych o pielęgnowanie sztuki ludowej mniejszości narodowych oraz ochrona zabytków kultury. Niedostateczna jest praca rad narodowych i organizacji społecznych w zakresie wychowania i doskonalenia kadr kulturalno-państwowych zajmujących się tą działalnością. Odczuwa się potrzebę podjęcia szerokiej akcji wyjaśniającej politykę partii i rządu do mniejszości narodowych. Brak wyraźnego ukierunkowania pracy kulturalnej wśród mniejszości narodowych”.

Komisja miała możność stwierdzić proces postępującej asymilacji mniejszości narodowej... W niektórych środowiskach mieszanym społeczeństwie w dalszym ciągu kwestionuje prawo ludności ukraińskiej do kultuwowania i rozwijania kultury narodowej, uprawiania praktyk religijnych w cerkwi itp. Stwierdzono, że nauczycielstwo pracujące w środowiskach narodowościowych przejawia zupełną bierność i nie interesuje się życiem kulturalno-oświatowym wsi...

Trudności kadrowe w szkołach i przedszkolach przyczyniają się do postępującego procesu wynaradawiania się młodego pokolenia...”.

Od tego czasu sytuacja ludności ukraińskiej w PRL uległa jeszcze pogorszeniu. Jak wynika z doniesień prasowych *Naszego Słowa* (organ UTSK) z dnia 24. 10. 1971 r., nr 43/71 w roku szkolnym 1971/1972 w punktach nauczania (języka ukraińskiego) i 2-ch średnich szkołach w nowym roku języka uczy się 1.850 uczniów. Ilość punktów nauczania (języka ukraińskiego) w porównaniu z minionym rokiem zmniejszyła się o 10”.

Według danych Kalendarza z 1971 roku liczba uczniów uczących się języka ukraińskiego w roku 1969/70 wynosiła 2.341.

Według *Naszego Słowa* z dnia 3. 10. 1971 r. w woj. gdańskim „Ilość punktów nauczania języka ukraińskiego zmniejszyła się (za okres sprawozdawczy) o połowę. Sprawa, jak wiadomo dotycząca 3-4 punktów i powiedzmy sobie szczerze, wina za obecny stan nauczania języka ukraińskiego w Gdańsku spada przede wszystkim na powiatowe władze szkolne...”.

W *Naszym Słowie* nr 38 z 19. 9. 1971 r. stwierdza się: „W ostatnim czasie zielonogórskie koło UTSK robiło wiele starań, żeby w mieście otworzyć punkt nauczania dla dzieci (ukraińskich) języka ojczystego. Ojcowie złożyli 27 oświadczeń, które były przekazane Wydziałowi Oświaty w Zielonej Górze. Ilość oświadczeń obecnie zwiększyła się. Jednak Wydział Oświaty odpowiedział kołu UTSK, że do końca roku kalendarzowego nie może



załatwić sprawy z uwagi na brak funduszy (200 zł. miesięcznie) a także na wymaganą zgodę w tej sprawie Wydziału Spraw Wewnętrznych. Z tego wynika, że Inspektorat (Oświaty) nie zna uchwały Ministerstwa Oświaty z 4. 12. 1956 r.". Według redakcji „Inspektorat Oświaty nie zna” ale wydaje się, że on właściwie nie chce znać tych zagadnień! A już najbardziej zmiennym jest fakt, że Wydział Oświaty kieruje sprawy leżące w jego kompetencji do USW! — Najtragiczniej jednak sytuacja na odcinku nauczania języka ukraińskiego przedstawia się w woj. rzeszowskim, a w szczególności w regionie łemkowskim, gdzie w rzeczywistości nie ma ani jednego punktu nauczania języka ojczystego dzieci ukraińskich, mimo wielokrotnych starań ze strony rodziców. Złożone zostały podania i oświadczenia rodziców m.in. w takich wsiach jak Hańczowa, Zdymia, Grab, Bielanka, Polany, Zyndranowa i in. Były i są takie fakty dyskryminacji np. we wsiach Bielanka, Łosie, Hańczowa, Zyndranowa, Polany, gdzie nauczyciele w szkołach zabraniają dzieciom ukraińskim rozmawiać w języku ojczystym.

Pragniemy przypomnieć w tym miejscu, że zaraz po wyzwoleniu naszych terenów przez Armię Czerwoną w styczniu 1945 roku powstał Włociańsko-Robotniczy Komitet Łemkowszczyzny w Gorlicach, który był upoważniony bezpośrednio przez ministra Oświaty do organizowania szkolnictwa podstawowego z ukraińskim językiem nauczania na Łemkowszczyźnie. Osobiście odpowiedzialnym za to był z upoważnienia ministra ob. Michał Doński.

Według „Nad rzeką Ropą” (Szkice historyczne, wyd. Literackie, Kraków 1968 r.) na str. 782 pisze się: „W kwietniu 1945 roku czynnych (w pow. gorlickim) było 110 szkół w tym 62 szkoły polskie i 48 łemkowskie”.

Niestety szkoły z ukraińskim językiem nauczania nie przetrwały długo. Polscy szowiniści i nacjonałiści już w roku szkolnym 1945/46 zlikwidowali ukraińskie szkoły, pozostawiając w nich jedynie język ukraiński jako przedmiot. Zaś w roku szkolnym 1946/47 zlikwidowano nawet nauczanie języka ukraińskiego.

W całym kraju obowiązywała wówczas konstytucja marcową z 1921 roku. Jedynie w stosunku do ludności ukraińskiej stosowano zasady faszystowskiej konstytucji majowej z 1935 roku.

Okupant hitlerowski po zajęciu naszych terenów w 1939 roku pozbawił naszą ludność własności społecznej na bursy i internaty kierowane przez łemkowskie stowarzyszenie kulturalno-oświatowe (Sanok, Gorlice, Nowy Sącz). Po wyzwoleniu naszych ziem miejscowi szowiniści skorzystali z tego faktu, pozbawiając do dziś tej własności społecznej ludność ukraińską.

W dziedzinie kultury w tym rozwoju pracy kulturalno-oświatowej i zespołów artystycznych ludności ukraińskiej sytuacja wygląda wcale nie lepiej. W poprzednich latach istniało w naszym regionie 12 zespołów artystycznych we wsiach Zyndranowa, Komańcza, Mokre, Turzyńsk, Polany, Olchowiec, Grab, Bielanka, Nowica, Bartne, Łosie, Wysowa, a także w Sanoku i Gorlicach.

Zespoły te z braku pomocy finansowej i fachowej przestały istnieć. Na pisma kierowane do władz odnośnie pomocy nie otrzymywano nawet odpowiedzi. Obecnie w naszym regionie istnieje faktycznie jeden zespół amatorski organizowany z terenu czterech wsi. Na woj. rzeszowskie UTSK dysponuje jednym instruktorem d/s muzycznych (etatowym) bez środka lokomocji, który w trudnym terenie górskim nie jest w stanie zaspokoić istniejących potrzeb. Amatorskie zespoły artystyczne, jak wiadomo, dziś nie są już w stanie, mimo wszystko zaspokoić potrzeb kulturalnych ludności ukraińskiej w języku ojczystym na odpowiednim poziomie artystycznym.

O sytuacji w dziedzinie ochrony zabytków kultury materialnej naszego regionu najlepiej świadczy artykuł zamieszczony w tygodniku *Polityka* z dnia 16. 10. 1971 r., nr 42, pt. „Wzdłuż wielkiej i małej obwodnicy”, gdzie stwierdza się: „...na terenach wchodzących w skład obecnego województwa rzeszowskiego znajdowało się 529 cerkwi w tym 374 drewniane (oraz 155 murowanych). Z liczby 374 obiektów, ponad 50 % można zaliczyć do cennych i interesujących zabytków... W latach 1939-1956 przestało istnieć 175 cerkwi. W sierpniu 1956 roku decyzją Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Wojewódzkiej Rady Narodowej została wstrzymana akcja rozbiórkowa cerkwi... Straty poniesione w latach 1947-1956 były jednak znacznie większe, gdyż nie ograniczały się jedynie do obiektów rozebranych. Szereg cerkwi było „przystosowanych” do potrzeb nowego użytkownika, który na ogół eksploatował te obiekty nie przeprowadzając koniecznych remontów”.

Niszczono również przydrożne zabytkowe kapliczki i krzyże, dewastowano cmentarze. Niepoślednią rolę w tych dyskryminacyjnych praktykach szowinistów i nacjonalistów względem ludności ukraińskiej odegrał kościół rzymsko-katolicki.

Według *Nowin Rzeszowskich* z dnia 11. 3. 1968 roku wynika, że: „Spośród kilkunastu większych wyznań religijnych w naszym kraju najwięcej zuchwałości, lekceważenia praw, ustaw i zarządzeń państwowych wykazują hierarchowie Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Ta ich rola niesfornego Dyzya budzi zadumę i niesmak nawet wśród posłusznych i gorliwych wyznawców. Ilustracją tych swawoli może być sprawa bezprawnego zagarnięcia przez Diecezję Przemyską ponad 100 cerkwi i innych obiektów sakralnych”.

*Cerkownyj Wiestnik* nr 11, z 1967 roku, na str. 15 podaje: „8 października wierni prawosławni znowu zebrali się koło swej świątyni (we wsi R. w pow. gorlickim) na nabożeństwo. Wkrótce zjawił się ksiądz katolicki z tłumem wiernych i zaczął wymyślać — krzyżać... „możecie sobie odprawiać na kupie gnoju, a nie przy świątyni... Tu nie było prawosławia i nie będzie... Uciekajcie do Związku Radzieckiego, do kołchozów na kukurydzę”... Zaś z tłumy padały okrzyki... „wasi biskupi do Turków, tu nie ma dla nich miejsca”. A jeden z tłumy podskoczył do duchownego prawosławnego i odgrażając się pięścią krzyczał w



uniesieniu: „uciekaj, pókiś cały, bo może się skończyć źle i będziesz narzekał”. Podobne wypadki włącznie z ciężkim pobiciem pracującego przy cerkwi wyznawcy prawosławnego miały miejsce we wsi Polany, pow. Krosno 16 kwietnia 1971 roku. Usiłowano bić księdza prawosławnego, który zmuszony był uciekać od cerkwi — obiektu, którego on jest gospodarzem. Komentarze są tutaj zbyteczne.

§ 7, pkt. F statutu UTSK stwierdza, że jednym z celów Towarzystwa jest „rozwijanie i otaczanie opieką regionalnej kultury ukraińskiej a zwłaszcza kultury Łemków”.

Z inicjatywy aktywu UTSK zorganizowano Izbę Pamiątek regionu łemkowskiego. Powołano Radę Muzealną przy Zarządzie Wojewódzkim UTSK. Zarząd Główny UTSK nie tylko nie pomógł w tej sprawie, ale zginorował ją całkowicie, negując uchwały IV Zjazdu i Plenum ZG UTSK — nie otoczył opieką muzeum — Izby Pamiątek, która znajduje się w Zydranowej, odznaczanej, jak wspomniano wyżej, przez rząd Czechosłowacji. Wielkie zainteresowanie budzi część wojenna tej Izby Pamiątek. Radio czechosłowackie Praga poświęciło jej specjalną audycję w lipcu br. W 1969 roku zwiedził ją wojskowy attaché Ambasady Radzieckiej w Warszawie, a ostatnio jej gościem był gen. Czechosłowackiej Armii Franciszek Bedzich, uczestnik walk o wyzwolenie tej wsi i zdobycie Przełęczy Dukielskiej — bohater Czechosłowackiego Korpusu.

Izba Pamiątek nadal oczekuje opieki i pomocy ze strony władz państwowych i ZG UTSK.

Ludność nasza jest pozbawiona bazy materialnej do prowadzenia działalności kulturalno-oświatowej. Nasza społeczno-kulturalna organizacja UTSK nie dysponuje dostatecznymi środkami finansowymi a także lokalami do działalności kulturalno-oświatowej i jej rozwoju. Według danych „Kalendarza Ukraińskiego” na 1971 rok na terenie całego kraju istnieje zaledwie 16 świetlic UTSK. W regionie łemkowskim nie ma ani jednej.

Ten trudny, a nawet tragiczny stan w jakim się znalazła ukraińska mniejszość w PRL pod względem kulturalnym wynika głównie z faktu, że nadzór i opiekę nad jedynym kulturalnym towarzystwem Ukraińców w Polsce prowadzi MSW, które w sprawach kultury jest niekompetentne.

Polityka kadrowa w UTSK, będącego w budżecie MSW, wynika nie z faktycznych potrzeb rozwoju pracy kulturalno-oświatowej ludności ukraińskiej. Na potwierdzenie tego m.in. może służyć fakt przyznania odznaczeń państwowych „działaczom” UTSK nie mającym żadnych osiągnięć w pracy kulturalno-oświatowej wśród ludności ukraińskiej, w rozwoju Towarzystwa a zwłaszcza w jego pracy organizacyjnej. Przeciwnie, niektórzy z ich znani są z naruszania statutu UTSK i rozbijackiej roboty szczególnie w województwach zielonogórskim, lubelskim, wrocławskim a ostatnio w rzeszowskim. Równocześnie z tym odsuwa się od pracy w Towarzystwie aktywnych jego działaczy kulturalno-oświatowych przywiązanych do postępowych tradycji naszego

społeczeństwa. Świadczyć o tym może najaktualniejszy fakt jawnego gwałcenia statutu UTSK na Konferencji Wojewódzkiej UTSK w Przemyślu (17. 10. 1971 r.) przez przewodniczącego UTSK ob. M. Korolkę, byłego sekretarza UTSK a obecnego naczelnego redaktora *Naszego Słowa* ob. G. Bojarskiego i sekretarza ZW UTSK w Rzeszowie ob. J. Stecha. Bezceremonialnie, a nawet mimo zwracanej im uwagi przez delegatów, naruszali zasady statutowe co do ordynacji wyborczej UTSK, by tylko przeprowadzić z góry założone osobiste cele — wyeliminowanie nie lubianych przez nich, a zasłużonych dla Towarzystwa, działaczy naszego łemkowskiego regionu.

Przykro nam, że przedstawiciel Urzędu Spraw Wewnętrznych PWRN w Rzeszowie ob. Henryk Zak nie przeciwstawił się tym poczynaniom, a czynnie je popierał.

Uważamy, że UTSK powinno podlegać Ministerstwu Kultury i Sztuki jako resortu kompetentnego w pracy kulturalno-oświatowej.

Naruszenie równości praw obywatelskich względem ludności ukraińskiej zachodzi nie tylko w dziedzinie szkolnictwa i kultury, lecz również na odcinku gospodarczym.

W naszym kraju własność prywatna i spółdzielcza są zagwarantowane prawem konstytucyjnym a mimo to prawo to zostało naruszone i ograniczone względem ludności ukraińskiej. Ziemia, nieruchomości i lasy będące własnością indywidualną, spółkową i gromadzką zostały przejęte na własność Skarbu Państwa dekretem z 27 lipca 1949 roku (Dz. U. Rp., Nr 46, poz. 339). Za podstawę wydania tego dekretu przyjęto zasadę, że przejmuje się na własność państwa ziemię i nieruchomości nie pozostające we faktycznym władaniu dotychczasowych właścicieli. Właściciele zaś wysiedleni (stan przymusu) w akcji „W” nie mogli faktycznie włączyć swoją własnością, gdyż każda próba powrotu z Ziemi Zachodnich w rodzinne strony w latach 1947-1949 kończyła się odeślaniem do obozu w Jaworznie.

W latach 1956-58 pewna ilość wysiedlonych powróciła, ale nie otrzymała pełnych praw własnościowych. W szczególności uporczywie odmawia się zwrócenia lasów, które w warunkach gospodarki górskiej stanowią składową część gospodarki rolnej, jej egzystencji i rozwoju.

Ci, którzy powrócili starają się bez przerwy od lat o przywrócenie im własności lasów, wynikającej z prawa o dziedziczeniu. Negatywne stanowisko władz administracyjnych w tej sprawie jest wyrazem straszenia tych, co by chcieli powrócić i ograniczenia w prawach ludności ukraińskiej, która zamieszkuje tereny górskie.

Uważamy to za formę ekonomicznego nacisku przeciwko ludności ukraińskiej. Jednemu z Ukraińców ubiegających się od lat o zwrot lasu (mimo, iż pozostawał w jego faktycznym władaniu) ostatecznie w Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa oświadczone: „Nie zwrócimy wam lasu, ponieważ jesteście podciągnięci pod tę samą uchwałę, co i Niemcy na Ziemiach Zachodnich.



Idźcie do Zespołu Poselskiego, niech zmieniają ustawy, wtedy będziemy mogli zwrócić wam waszą własność”.

Setki tysięcy ha ziemi uprawnej na obszarze południowo-wschodniej Polski leży odłogiem. Akcja osadnicza osadników rekrutujących się z województwa katowickiego, kieleckiego itp., tzn. Polaków dla zasiedlania i spolonizowania dawnych etnicznych ukraińskich terenów, nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Do powiatu sanockiego ściągano nawet Polaków z CSRS. Milionowe kredyty na osadnictwo w dużej mierze zostały roztrwonione przez „osadników”-kombinatorów. Kraj nasz cierpi na niedostatek żywności i pasz. Sprowadza się je zza granicy za dewizy.

Najgospodarniejszym osadnikiem wspomnianych ziem będzie ludność pochodząca z tych terenów, mająca wiekowe doświadczenie gospodarowania na terenach górskich, ciężąca uczuciowo do rodzinnych stron i wyrażająca chęć powrotu. Niestety wysiedlonym w akcji „W” z uporem odmawia się prawa powrotu, a WRN w Krakowie wydała nawet formalny zakaz meldowania w powiatach Nowy Targ i Nowy Sącz Ukraińców i Cyganów. Jest to jawne naruszenie § 69 konstytucji PRL, świadczące o traktowaniu tych obywateli jako ludzi niższej kategorii. Jest to wreszcie jawna dyskryminacja narodowościowa!

Władze rolne i gospodarcze bardzo często z uznaniem wyrażają się o gospodarności i obywatelskiej postawie ukraińskich rolników, gospodarujących zarówno na Ziemiach Zachodnich jak i na terenach górskich. Wspomina o tym np. K. Pudło w wymienionej wyżej pracy naukowej na str. 101: „Większość Łemków osiedlonych na wsi zajmuje się obecnie obok uprawy ziemi intensywną hodowlą bydła i trzody chlewnej. Pod tym względem przewyższają często innych osadników”.

Jesteśmy również przekonani, że w dziedzinie hodowli i zagospodarowania leżących odłogiem do dzisiaj ziem uprawnych w południowo-wschodnich rejonach PRL nikt nie dorówna dawnym mieszkańcom tych ziem — ludności ukraińskiej, która w gruncie rzeczy pragnie powrócić w rodzinne strony.

Tereny Łemkowszczyzny i Lubelszczyzny były w przeszłości szeroką bazą ruchu komunistycznego i rewolucyjnego. KPP i KPZU znajdowały wśród ludności ukraińskiej tych rejonów, cierpiącej ucisk narodowościowy i ekonomiczny, naturalnego sprzymierzenia i społeczne podstawy działania i walki z faszystowskim reżymem sanacji.

Od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej komuniści ukraińscy tych rejonów przystąpili do organizowania atyfaszystowskiego ruchu oporu i ogólnonarodowej walki wyzwolenczej o społeczne i narodowe wyzwolenie. W pracy „Dzieje walki PPR, GL i AL z okupantem hitlerowskim na Podkarpaciu (lata 1942-1945)”, wyd. Ref. Hist. Partii przy KW PZPR, Rzeszów, W. Gościński na str. 31-32 pisze: „Po ucieczce Wodzik przeniósł się na teren łemkowski do Kłopotnicy, gdzie zamieszkał u tow. Stefana Pojki i Serniaka. Mimo, że ścigany (tzn. „spalony”) pracuje nadal, do-

ciera do odległych miejscowości w powiatach Jasło i Gorlice (Kłopotnica, Wola Cieklińska, Pielgrzymka, Pagorzyna, Męcina, Rozdziele) nawiązuje kontakty z wieloma towarzyszami: Stefanem Pejką, Stefanem Klimaszem, Iwanem Serniakiem, Konstantym Bodakiem, Janem i Michałem Dońskim i innymi. Towarzysze ci już w 1940 roku podjęli próbę zorganizowania na terenie Pielgrzymka-Kłopotnica organizacji partyjnej na wzór byłej Komunistycznej Partii Polski, tworząc miejscowe kierownictwo i wciągając do organizacji towarzyszy z Rozdziała, Męciny i innych terenów. Towarzysze Pejko, Serniak, Olenicz, Klimasz i inni wykonali czerwony sztandar z emblematem „Młot i Sierp”, pieczętki, przygotowali również strukturę organizacyjną. Po zapoznaniu się z tą organizacją Wodzik wspólnie z miejscowymi towarzyszami przemianował ją na „Związek Komunistów Podkarpacia”. Sztandar przechowano przez całą okupację a w dniach wyzwolenia witano nim Armię Radziecką. Organizacja „Komuniści Podkarpacia” i Związek Komunistów Podkarpacia i „Czyn Robotniczo-Chłopski” weszły później w skład Polskiej Partii Robotniczej”. Dalej na str. 33 autor pisze: „Pod koniec czerwca 1942 r. do miejscowości Kłopotnica (pow. Jasło) ze względu na bezpieczeństwo, przeniósł się tow. Władysław Gomułka. Mieszkał u tow. Stefana Pejki. W roku 1942 pod kierownictwem tow. Władysława Gomułka odbyło się kilka posiedzeń Komitetu Podkarpackiego PPR i konferencji z udziałem szerszego aktywu. Konferencje i zebrania odbywały się w Kłopotnicy u tow. Pejki i w Gorlicach w mieszkaniu Michała Dońskiego. W konferencjach tych uczestniczyli: Emil Dziedzic, Jadwiga Ludwińska, Grzegorz Wodzik, Gustaw Micał, Jan Kapała, Paweł Karp, Jan Doński, Michał Doński, Stefan Pejko, Iwan Serniak, Bazyl Olenicz i inni”. Zaś na str. 111-123 wymienione są łemkowskie wsie, gdzie organizowane były komórki PPR i nazwiska łemkowskich działaczy komunistycznych. Wymieniono takie łemkowskie wsie: Szkwirkne, Banica, Pentna, Nowica, Kwiaton, Rozdziele, Bednarka, Męcina Wielka, Krynica, Bogusza, Sołotwiny, Tylicz, Petrusza Wola, Myscowa, Pielgrzymka, Wola Cieklińska, Brzozowa, Huta Pielgrzymska, Jawiria, Desznica, Krempna, Żydowskie, Grab, Pstrążne. Nie są to jeszcze wszystkie miejscowości naszego regionu, gdzie istniały organizacje PPR.

W pracy „Z myślą o Polsce Ludowej”, wyd. KW PZPR w Rzeszowie — Referat Historii Partii na str. 283-285 podane są nazwiska niektórych wybitnych działaczy ruchu rewolucyjnego z terenów Podkarpacia, którzy polegli w walce z hitlerowskim okupantem. Na ogólną liczbę 45 przykładowo podanych nazwisk wybitnych działaczy ruchu komunistycznego, 23 to nazwiska łemkowskich działaczy komunistycznych. Odzwierciedla to udział Łemków w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie, prowadzonej przeciwko okupantowi hitlerowskiemu i rodzimej reakcji.

W latach ubiegłych (60-ch) ukazała się naukowa i partyjna literatura uwzględniająca udział ludności ukraińskiej w walce narodu polskiego o społeczne i narodowe wyzwolenie. W ostat-



nich jednak latach w podobnych wydawnictwach pomija się celowo i tendencyjnie nazwiska nawet wybitnych działaczy łemkowskich, a tym samym pomniejsza się zasługi i wielkość ofiar poniesionych przez ludność ukraińską w walce o władzę ludową w Polsce. Czytelnik otrzymuje często niepełny obraz (jednostronny, czasem nawet fałszywy) o problemie ukraińskim w Polsce tym bardziej, że pokazuje się w nich tylko bandy UPA.

W związku ze zbliżającą się 30-tą rocznicą powstania PPR i VI Zjazdem PZPR pismo niniejsze traktujemy jako obywatelski głos w ogólnonarodowej dyskusji nad „Wytycznymi KC PZPR na VI Zjazd Partii”.

Udział patriotycznych sił ludności ukraińskiej w Polsce w ogólnonarodowej walce przeciwko hitlerowskiej okupacji, o społeczne i narodowe wyzwolenie winien być z okazji 30-tej rocznicy PZPR rzetelnie wyjaśniony.

Powinien być również ukazany czyn dziesiątek tysięcy ochotników Armii Czerwonej z terenów PRL, co jest, jak dotąd przemilczane.

Wnioski wynikające z analizy i porównań dokonanych w niniejszym piśmie nasuwają się same. Zostały one sformułowane lapidarnie w piśmie z dnia 12 listopada 1968 roku, skierowanego do V Zjazdu Partii, podpisanego przez komunistów i bezpartyjnych regionu łemkowskiego.

Wnioski i postulaty zawarte w tym piśmie podtrzymujemy w całej rozciągłości.

Jesteśmy głęboko przekonani i wierzymy, że nowe kierownictwo Partii i Rządu w swoich wysiłkach zmierzających do poprawienia sytuacji wewnątrz kraju wnikliwie przeanalizuje i rozważy sprawy przez nas poruszone i zajmie odpowiednie, sprawiedliwe stanowisko, przynoszące poprawę w położeniu ludności ukraińskiej w PRL i korzyści gospodarcze, kulturalne i społeczne dla kraju — naszej Ojczyzny.

Otrzymują:

- 1) I-szy Sekretarz KC PZPR Ob. Edward Gierek
- 2) Prezes Rady Ministrów Ob. Piotr Jaroszewicz
- 3) Minister Kultury i Sztuki
- 4) Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego Ob. Henryk Jabłoński
- 5) Minister Spraw Wewnętrznych Ob. Franciszek Szlachcic
- 6) Komisja Spraw Wewnętrznych Sejmu PRL
- 7) Komisja Kultury i Oświaty Sejmu PRL
- 8) I-szy Sekretarz KW PZPR w Rzeszowie Ob. Stanisław Szkraba
- 9) Zarząd Główny UTSK
- 10) Ambasada Radziecka w Warszawie.

Powyzsze pismo podpisały wszystkie niżej wymienione koła UTSK. Pieczętki przyłożyły również Zarządy Powiatowe UTSK w Gorlicach i Sanoku:

Zarząd Powiatowy UTSK w Gorlicach, ul. Kopernika 2/59;

Zarządy Kół UTSK: Bielanka, pow. Gorlice; Bartne, pow. Gorlice; Hańczowa, pow. Gorlice; Zdynia, pow. Gorlice; Grab, pow. Jasło; Polany, pow. Krosno; Zyndranowa, pow. Krosno; Zarząd Powiatowy UTSK w Sanoku; Zarządy Kół UTSK: Komańcza, pow. Sanok; Mokre, pow. Sanok.

Tekst powyższy otrzymaliśmy dzięki uprzejmości red. *Suczasnosti*, która go zamieściła w przekładzie na język ukraiński. (Red.).

Memoriał działaczy ukraińskich z rejonu Gorlic, Krosna i Sanoka czyta się z mieszanymi uczuciami. Nawet osoba daleka od chęci obrony władz PRL i ich postępowania zarówno przed ćwierćwieczem jak i obecnie zmuszona jest stwierdzić, że postawy ukraińskie różniły się od opisanych w memoriale. Bulbowcy, banderowcy, mielnikowcy, SS Galizien jakąś część społeczeństwa ukraińskiego reprezentowały i jakąś kartę w okupacyjnych dziejach Polaków i Żydów zapisały. Po wojnie kurenie i sotnie UPA kontynuowały ich dzieło i może tylko ten, kto oglądał cmentarze w okolicach Baligrodu i Leska może mieć jakiś pogląd na ich działalność.

Faktem jest jednak, że władze PRL zastosowały w stosunku do Ukraińców tylekroć potępiane zasady odpowiedzialności zbiorowej, których wzorem były stalinowskie metody „rozwiązywania kwestii narodowej”, podobne do likwidacji ludności polskiej w ZSSR w 1939 roku, deportacji Tatarów krymskich, licznych narodowości kaukaskich itd. Postanowiono wysiedlić Ukraińców z Polski i przenieść ich na tereny ZSSR. Nie wiadomo, czy inicjatorem tej decyzji był Stalin lub ktoś z jego otoczenia, czy inicjatywa wyszła ze strony Warszawy. O wysiedleniach do Związku Sowieckiego autorzy memoriału nie wspominają, przyczyny tego przemilenia staną się jasne nieco dalej. Wysiedlenia te miały spowodować spacyfikowanie terenów o ludności mieszanej, w praktyce tylko rozjątrzyły stosunki i pchnęły w objęcia ekstremizmu nawet tych Ukraińców, którzy się dotychczas ekstremizmowi opierały.

By uzmysłowić, czy były wysiedlenia, pozwolę sobie przytoczyć rozmowę, która w 1952 roku miałem z P. — w okresie wysiedleń sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie. Mój rozmówca był ukraińskim komunistą i osobą wysoko uplasowaną w aparacie władzy, ale — jak mi mówił — w okresie wysiedlenia strach przed deportacją do ZSSR nie opuszczał go ani na chwilę, a gdyby — mówił dalej — przyszli po niego w nocy, był przygotowany do popełnienia samobójstwa. (W czasie, gdy mi to mówił był już nawet członkiem KC i kierownikiem wydziału w tejże instytucji).

Zwróćmy uwagę, że gdy po „październiku” zawarto polsko-sowiecką umowę o repatriacji, wyłączone z niej wyraźnie Ukraińców, zarówno wysiedlonych do Związku Sowieckiego jak i zamieszkałych na terenach wschodnich lecz poczuwających się do polskiej wspólnoty państwowej.

Przesiedlenia wewnątrz kraju, o których mowa w memoriale były dziełem późniejszym, rozpoczęły się w kwietniu i trwały do jesieni tegoż roku. Opis tych przesiedleń przedstawiony w memoriale jest zgodny z rzeczywistością. Można nawet rzec, że jest on dość wstrzemięźliwy w podawaniu drastycznych przykładów. Autorzy memoriału mają jednak rację, że ponad historycznym aspektem sprawy ukraińskiej dominuje aktualny: Przesiedleni Ukraińcy pozbawieni są w Polsce podstawowego prawa wyboru miejsca zamieszkania w obrębie PRL. Są to w Polsce sprawy tabu. Jesienią 1956 roku, gdy zdawało się, że cienie odchodzą w przeszłość, usiłował dla nich wyjednać to prawo ówczesny I sekretarz KW w Lublinie, Hołod, dotychczas



starannie maskujący swe ukraińskie pochodzenie. Ale poruszenie tego tematu stało się przyczyną usunięcia na emeryturę tego jednego z przyzwoitych działaczy PZPR. W stosunku do Ukraińców w PRL obowiązują przepisy niewiele różniące się od tych jakie obowiązują Tatarów krymskich w ZSSR!

Solidaryzując się z walką Ukraińców o ich ludzkie prawa, trudno jednak pogodzić się z pewnymi sformułowaniami publikowanego memoriału. Oczywiście, trudno wymagać, by wystąpienia regionalnych działaczy były pod wszystkimi względami wyważone. Niewątpliwie, memoriał jest wystąpieniem w interesie wszystkich dyskryminowanych Ukraińców. Razić jednak musi akcentowanie potrzeby zniesienia dyskryminacji Ukraińców związanych z ruchem komunistycznym. Jest to jednak chyba w znacznym stopniu swoisty dla PRL sposób wyrażania się. Bardziej jednak musi razić odwoływanie się do ambasady ZSSR w Warszawie. Doświadczenia trzydziestu już niemal lat PRL dowodzi, że ambasadorowi ZSSR nie a nie nie zależy na losie Ukraińców w Polsce, przeciwnie nawet, jest chyba zainteresowany w tym, by się im nie powodziło lepiej niż w ZSSR. Natomiast każdy ambasador sowiecki bardzo chętnie wykorzystuje wszystko co daje mu pretekst do ingerowania w sprawę PRL i do ograniczania jej kusej niezależności. Pod tym względem niewiele się zmieniło od czasów Katarzyny i jej opieki nad dysydentami. A ingerencji Moskwy w sprawy polskie nie życzy sobie nikt, i to uczucie łączy zarówno sympatyków jak i przeciwników reżymu.

Edmund HULEWICZ

## W sowieckiej prasie

Aby decyzja ta nie wyglądała na priinaaprilisowy dowcip, została ogłoszona 3 kwietnia. KC KPZS i Rada Ministrów ZSSR powzięły mianowicie kolejną uchwałę figlarnie nazwaną „O niektórych zarządzeniach dla dalszego udoskonalenia kierowania przemysłem”. Dla dalszego udoskonalenia... Oznacza to, że wszystko jest już doskonałe, ale nadal trzeba udoskonalać, bo — jak wiadomo — doskonaleniu nie ma końca. Zresztą — jak zaznaczono w tytule — wystarczy jedynie „kilka zarządzeń”, i wszystko będzie, jak nie może być lepiej.

Łatwo sobie wyobrazić z jakim zadowoleniem czytelnicy sowieccy pochyliłi się nad tekstem tego zarządzenia, ale znaleźli w nim słowa, których używanie stało się nawykiem w ciągu ostatnich 50-ciu lat: „W drodze koncentracji przedsiębiorstw, tworzenia kombinatów, wszechzwiązkowych i w ramach danych republik zjednoczeń przemysłowych, zbliżenia organów kierownictwa gospodarczego do produkcji” — wszystkie trudności zostaną usunięte. Znalaziono panaceum — scalanie.

Już od przeszło 50-ciu lat sowieccy przywódcy prowadzą zabawną grę: dzisiaj koncentrują, jutro dzielą.

W 19-tym rozdziale powieści Al. Sołżenicyna, „Krań pierwszy” znajduje się wyjaśnienie zasad tej gry: „Noc była dla Stalina porą najobfitszych plonów. Nieufna jego myśl rankami rozkręcała się powoli. Chmurny, poranny rozum służył do dawania dymisji, obcinania budżetu, do scalania ministerstw po dwa i trzy na raz. Nocny zaś rozum, pełen giętkiej bystrości i przebiegłości, podpowiadał jak rozdrabniać i dzielić ministerstwa, jakie nazwy dawać nowokreowanym, czyje budżety powiększać, kogo wyznaczać na nowe urzędy”.

Można przypuszczać, że to nowe zarządzenie zostało wydane przez „chmurny, poranny rozum”. W każdym razie od dawna już nie stworzono tak fantastycznie skomplikowanego systemu zarządzania gospodarką. Wystarczy powiedzieć, że przewidziano stworzenie dwustopniowego systemu zarządzania, trzystopniowego, a w drodze wyjątku nawet i czterostopniowego, w razie potrzeby można będzie jednocześnie realizować kierownictwo dwu i trzystopniowe itp., itd. Gdyby autorowi znakomitego „prawa Parkinsona” przyszło na myśl zapoznać się z tym tekstem, musiałby przyznać, że prawdziwej biurokratycznej maszyny nigdy dotąd nie widział.

Zresztą możliwe, że sowieccy ekonomiści mogą sobie pozwalać na zabawę ze swoją cudaczną, biurokratyczną maszyną gdyż i tak kapitaliści zawsze im pomogą. Dopóki Amerykanie się wahają — prowadzą rozmowy o jakichś niezrozumiałych Żydach; Japończycy, zdaje się, są gotowi dać rządowi sowieckiemu wszystko o co ich poprosi. W pierwszym rządzie prosi on o kredyty w wysokości mniej więcej półtora miliarda dolarów na poszukiwania ropy i gazu naturalnego w rejonie Sachalina i Wschodniej Syberii. 6 marca Breżniew przyjął na Kremlu japońskiego posła, który przybył z odręcznym listem premiera Tanaka. Po wizycie, która odbyła się w „przyjacielskiej atmosferze”, prasa sowiecka zmieniła swój ton w stosunku do Japonii. Obecnie mówi się nie o „terytorialnych pretensjach japońskich rewanżystów”, ale — jak to określił dyrektor TASS'a, Leonid Zamiatin w *Sowieckiej Rossiji*, o „rozwoju naszych stosunków na solidnej bazie i rozwiązaniu problemów niezadowolonych od czasu zakończenia drugiej wojny światowej”.

W kwietniu 1941 roku Stalin, po podpisaniu z Japonią układu o neutralności, odprowadzając japońskiego ministra Spraw Zagranicznych Macuoku do pociągu — wódz narodów nie robił tego nigdy, ani przedtem, ani potem — powiedział przedstawicielowi Japonii: My, Azjaci, zawsze się zrozumiemy.

Czy Leonid Iljicz powiedział te same słowa posłowi Japonii w Moskwie — tymczasem nie wiadomo.

Na początku marca *Prawda* poinformowała obywateli sowieckich, że sytuacja żywnościowa w kraju jest całkowicie normalna.



Dawno już temu inteligentny propagandysta na zapytanie dlaczego w sklepach brak produktów, odpowiedział: nie trzeba się pętać po magazynach, trzeba czytać gazety. Mieszkańcom Gorkiego, Wołgogradu, Astrachania (brak produktów żywnościowych specjalnie ostro występuje na powożu) pozostaje jedynie czytanie *Prawdy*, gdyż w sklepach nie ma kartofli, masła i innych produktów. Wiadomo, że w roku ubiegłym był zły urodzaj. Przygotowania do nowych zbiorów już się zaczęły, została ogłoszona powszechna mobilizacja na froncie gospodarki rolnej. Wiadomo już, że należy zebrać w 1973 roku 167,4 milionów ton zboża — o 30 milionów ton więcej niż w 1972 roku, i o 11 milionów więcej niż w rekordowym roku 1970.

Gazety zapełniły się tytułami: „Wszyscy do walki o urodzaj”, „Uzyskany dzień w czasie siewu — to wygrany tydzień w okresie zbiorów” itd. Ale i te tytuły są „dyżurne”, pojawiają się każdego roku, ze zdumiewającą punktualnością, na początku wiosny. Artykuły, zamawiane przez redakcję, powtarzają stale jedno i to samo. W tym potoku oficjalnych zapewnień i napominań odbija się artykuł Borysa Możajewa zatytułowany po ludzku, prosto: „Od czego zależy urodzaj”. Borys Możajew zna świetnie wieś. W 1966 roku opublikował w *Nowym Mirze* jedno ze straszniejszych oskarżeń pod adresem sowieckiej gospodarki rolnej — powieść „Z życia Fiedora Kuskina”\*. Od tego czasu jego nazwisko bardzo rzadko ukazuje się w druku i to raczej tylko jako dziennikarza.

Od czego zależy urodzaj? — zapytuje Borys Możajew. „Jak” — pyta dalej — „można wytłumaczyć taki paradoks — że siła parku maszynowego w ostatnich 10-15 latach wzrosła wielokrotnie, sprawność mechanizacji również, ilości udoskonaleń, które się wprowadzało i wprowadza, nie można nawet porównać, a tymczasem przeciętna wydajność z hektara wzrosła w kraju jedynie o 4-5 centnarów”.

Odpowiedź pisarza jest prosta: kołchoźnicy przestali kochać ziemię, gdyż przestali uważać się za jej gospodarzy. Kołchoźnicy nie chcą pracować na roli.

Warto zaznaczyć, że do tego samego wniosku doszedł szereg lat temu Andriej Amalrik w swojej książce „Niepożądana podróż na Syberię”.

Borys Możajew pisze w zakończeniu swego artykułu: „Rolnik, uwolniony od drobiazgowej opieki, w warunkach samodzielnej pracy, tworzy cuda”. Ale pisarz wie dobrze, że takich „samodzielnich rolników” w kołchozach nie ma i nie będzie.

Jeśli nie ze wszystkim jest dobrze w gospodarce rolnej, to

\* Polski przekład był zamieszczony w *Kulturze* nry 228, 229, 230/1966, 231-232/1967.

w dziedzinie ideologii prasa sowiecka odnotowuje poważne sukcesy. Takim sukcesem jest w pierwszym rządzie przystąpienie Związku Sowieckiego do światowej konwencji dotyczącej praw autorskich. Prasa zachodnia jednomyślnie odnotowała ten fakt z zadowoleniem, gdyż świadczy on — zdaniem tejże prasy — o dalszej demokratyzacji życia społecznego w ZSSR. Tow. Stukalin, przewodniczący Państwowego Komitetu Rady Ministrów ZSSR do Spraw Wydawniczych, Poligrafii i Dystrybucji Książek, jest całkowicie z tych odgłosów zadowolony. „Chciałbym podkreślić” — oświadczył — „że w zasadzie opinia światowa odniosła się pozytywnie do decyzji Związku Sowieckiego”. Dla tow. Stukalina jednym z najważniejszych rezultatów udziału ZSSR w konwencji autorskiej będzie „poprawienie wyboru i zwiększenie druku książek naszych autorów za granicą”, co pozwoli zagranicznemu czytelnikowi „mieć bardziej obiektywny i bardziej wszechstronny pogląd na sowiecką, wielonarodową literaturę”.

Jeśli „światowa opinia” pozytywnie odnosi się do decyzji Związku Sowieckiego, to sowieckie społeczeństwo odniosło się do niej zdecydowanie negatywnie. W Samizdacie ukazało się oświadczenie grupy pisarzy, niedrukowanych w ZSSR, zatytułowane „Nóż w plecy sowieckiej literaturze”. „Rząd sowiecki — mówi się w tym dokumencie — uzyskał w dziedzinie literatury prawa tak wielkie i o tak zdecydowanym charakterze, jakich nigdy dotąd nie posiadał. Nasze książki i artykuły będą podlegały nie tylko państwowej cenzurze, ale i „szmonu przy wyjściu z zony” (tj. rewizji przy wyjściu z obozu)...”.

Do protestów dołączył się również akademik Sacharow, który w początkach kwietnia wysłał list otwarty do UNESCO. Trzeba podkreślić, że Andriej Sacharow napisał ten list po długotrwałej rozmowie, jaką przeprowadziło z nim KGB w marcu. W lutym br., po raz pierwszy w sposób otwarty, zaatakował Sacharowa w prasie sowieckiej Aleksander Czakowski, redaktor *Litieraturnoj Gaziety*, który nazwał wybitnego uczonego „jurodiwym” i określił słynne memorandum Sacharowa jako „szmirę... naiwny konglomerat fragmentów ewangelii, „Kontraktu społecznego” Rousseau, sowieckiej i amerykańskiej konstytucji i własnych chęci autora”. Czakowski, jak zwykle, nadaje swemu artykułowi znaną formę donosu, twierdząc że idee Sacharowa „nie są nowe”, że są to utopie „od dawna wykorzystywane na Zachodzie dla celów antysowieckich”.

Nie przestraszywszy się donosów Czakowskiego i gróźb KGB, Andriej Sacharow tak pisze o przystąpieniu Sowietów do konwencji: „Państwa mogą i powinny bronić praw autorów — swoich obywateli, ale nie mają prawa ich sobie przywłaszczać. W specyficznych warunkach naszego kraju przepisy o monopolu handlu zagranicznego mogą zostać wykorzystane dla ograniczenia, a nawet całkowitej likwidacji międzynarodowych praw sowieckich autorów. Ideologiczna i artystyczna cenzura była zaw-



sze u nas bardzo surowa. W ostatnich latach stawała się ona coraz bardziej samowolna i ostra. Jeśli ta cenzura otrzyma władzę nad międzynarodowymi prawami autorskimi, rosyjska i światowa kultura zostaną pozbawione wielu wybitnych utworów Achmatowej, Pasternaka, Sołżenicyna, Twardowskiego, Beka i szeregu innych pisarzy, kompozytorów, artystów, publicystów itd. Nie można do tego dopuścić by ta cenzura zaczęła dzisiaj działać w skali światowej, opierając się na konwencji genewskiej”.

W liście Sacharowa zwraca uwagę powołanie się na to, że po podpisaniu konwencji przekazywanie rękopisów za granicę będzie traktowane jako naruszenia praw monopolu handlu zagranicznego, tj. jako kontrabanda. Sowiecki Kodeks Karny przewiduje za to karę zamknięcia w obozie na okres od 3 do 10 lat i przymusowe osiedlenie na 5 lat.

Przeczytawszy list Andrieja Sacharowa ludzie nie znający literatury sowieckiej mogą pomyśleć, że nie będzie kogo wydawać na Zachodzie. To nie jest prawda. Są i tacy, których władze sowieckie będą energicznie lansować na Zachodzie. Na przykład w marcu literatura sowiecka radośnie obchodziła 60-lecie swego najbardziej wybitnego działacza (nie decyduję się nazwać go pisarzem). Siergiej Michałkow, noszący na piersi, oprócz różnych drobnych orderów i medali, trzy medale nagród stalinowskich, i jednej leninowskiej, otrzymał w związku z jubileuszem tytuł „bohatera pracy socjalistycznej”. Niestety wyższej nagrody nie ma! Może i powinna być, ale jej nie ma. Zresztą za taką nagrodę można chyba uważać łaskawe słowa samego Leonida Iljicza Breżniewa, który zaliczył Michałkova do pisarzy, bez utworów których nie można sobie wyobrazić dzieciństwa. W licznych listach, telegramach, artykułach, poświęconych sławnemu dniu urodzin (z jakiegoś powodu te wszystkie dokumenty były podpisane albo przez urzędników albo przez ludzi nieznanymi w literaturze) podkreśla się jako szczytowe osiągnięcie — powiedziano nawet: „przepiękne osiągnięcie” — trylogię Michałkova „Diadia Stiopa” — poemat dla dzieci z życia milicjanta — wuja Stiopy i syna wuja Stiopy, także milicjanta. Można zrozumieć, że tow. Breżniew nie wyobraża sobie dzieciństwa bez poematów o milicjantach, dziwi tylko że wśród utworów, za które płacono jubilatowi medalami (również i gotówką), nie wspomina się słów do hymnu sowieckiego. Co prawda w ostatnich latach hymn sowiecki przekształcił się w „pieśń bez słów”, grają go, ale nie śpiewają. Ale jednak przykro, że tak szybko zapomniano autora tych wspaniałych słów: „Wychował nas Stalin...” itp.

Zaskoczony rozmiarami fetowania Michałkova, zająłem się jego twórczością, próbując znaleźć literackie podstawy tak wysokiej nagrody dla urzędnika i specjalisty od donosów. W piśmie

*Krokodil* (nr 4 z 1969 roku) znalazłem jego znakomitą bajkę „Trudny chleb”. Przeczytanie tego tekstu przekonało mnie, że zasłużył nim rzeczywiście na tytuł „bohatera pracy socjalistycznej”. Bowiem istotnie „socjalistyczną pracę” opiewał w tej bajce.

W przekładzie prozą (czytelnik nic nie traci na przekładzie prozą, gdyż Michałkova poezja nie interesowała, przeczytał się wyłącznie o przekazanie myśli) tekst wygląda tak: w stadninie pracuje koń, wozi owies, wywozi nawóz, ale niezmiernie zazdrości kłusakom, które żyją we wspaniałych boksach, są świetnie karmione, którym przystrzygają ogony i grzywy. Roboczy koń zazdrości, ale — zapewnia autor — nigdy nie widział jak ciężko pracuje kłusak na torze wyścigowym, z jakim wysiłkiem przychodzi mu wyścig. I Michałkow kończy aforyzmem: „Tak myśli jeden z drugim — o tych którzy są na widoku osądzając według tego jak komu się żyje”.

Można z całą pewnością stwierdzić, że Michałkow jest autorem, który najbardziej otwarcie proponuje społeczną nierówność w państwie sowieckim. Powiedział odważnie to, co myśli władza: robotnik ma wozić nawóz, a kierownictwo żyć w dobrobycie, gdyż kierownictwo „biega na stadionie”. Władza nie pożałowała nagród dla swego piewcy.

Poniższa historia jest bezpośrednio związana z sowiecką prasą, choć miała miejsce w Paryżu. We wrześniu 1972 roku wychodzący w stolicy Francji biuletyn sowieckiego biura informacyjnego „*Nowosti SSSR*” ogłosił wraz z innymi pouczającymi materiałami artykuł pt. „Szkoła obskurantyzmu”. W Związku Sowieckim takie materiały od dawna nikogo nie dziwią — antysemitka literatura jest tam publikowana jawnie i szeroko. Jednak we Francji artykuł w biuletynie zwrócił uwagę Międzynarodowej Ligi do Walki z Rasizmem i Antysemityzmem, która opierając się na prawie z 1. 7. 1972, zaskarżyła biuletyn ambasady sowieckiej do sądu.

26 marca br. odbyło się pierwsze posiedzenie sądu. Świadkowie oskarżenia stwierdzali w szczególności, że od czasów okupacji hitlerowskiej „nie ukazał się w prasie francuskiej tak jadowity i antysemitki artykuł”. Można zrozumieć Francuzów, bo oni nie czytali po polsku utworów Tadeusza Walichnowskiego, czy Kazimierza Sidora, nie czytali po rosyjsku „prac” T. Kiczko, czy M. Jewsiejewa. Zresztą Francuzów zdumiał nie tylko „jad i antysemityzm” artykułu, ale zdziwiło również i to, że artykuł, zamieszczony w biuletynie „SSSR” okazał się plagiatem. Specjaliści od antysemityzmu szybko stwierdzili w artykule, ogłoszonym przez ambasadę sowiecką w Paryżu, materiał należący do twórczości zasłużonego rosyjskiego antysemity, Aleksieja Chimakowa, jednego z ideologów „czarnej sotni”, ogłoszony po raz pierwszy w 1906 roku. Artykuł Chimakowa uległ „modernizacji”,



za miast słowa „Żyd” wstawiono wszędzie „syjonista”, ale — i to zdaje się specjalnie oburzyło paryskich adwokatów — błędy ortograficzne, które były w tekście artykułu Chimakowa, zostały przeniesione do artykułu w biuletynie. Smutne, ale trzeba stwierdzić, że znajomość rosyjskiej gramatyki u rosyjskich antysemitów nie wzrosła w ciągu ostatnich 50 lat. Zasluguje jednak na uwagę drugie zagadnienie: dlaczego władze sowieckie nie wykorzystują swoich doświadczonych kadr, a zwracają się o pomoc do starych mistrzów? Ciekawe, że w swoim czasie Chimakowa demaskował Lenin, tak że można przypuszczać iż studiując prace W.I.Lenina przywódcy sowieckiego antysemityzmu natrafili na Chimakowa. I któż może teraz powiedzieć, że studiowanie prac twórcy państwa sowieckiego nie przynosi praktycznych korzyści?

Opracowując przeglądy prasy sowieckiej, czytając regularnie wielkie ilości pism i gazet sowieckich, otrzymując prawie codziennie solidną porcję antysemityzmu — przyznaję się — zacząłem sobie zadawać pytanie: a może jednak nie ma dymu bez ognia, a może rzeczywiście oni, tj. Żydzi, są winni — jeżeli nie we wszystkim, to w wielu wypadkach? Ukrywałem te wątpliwości przed Redaktorem *Kultury* do ostatniej chwili, ale już dłużej nie mogę. Zapoznałem się ze świadectwem, które mnie ostatecznie przekonało: tak, rzeczywiście są winni! Wśród gruzińskich Żydów, którzy niedawno przyjechali do Izraela, znalazła się 110-letnia Chana Moiszaszwili. W rozmowie z dziennikarzem wspomniała, że dobrze знаła chłopczyka Soso Dżugaszwili. Mało tego — karmiła go, ubierała, pomagała mu. I Soso często mówił dobrej kobiecie: „Zrobiłaś ze mnie przyzwoitego człowieka, tyś mnie karmiła, ubierała i uczyła. Bez ciebie zostałbym na całe życie złodziejem i chuliganem”.

Można zadać pytanie: Czy nie byłoby dla nas wszystkich lepiej gdyby dobra, żydowska kobieta zostawiła w spokoju Soso Dżugaszwili i pozwoliła by został sobie zwykłym złodziejem i chuliganem, i nie przekształcił się w Josifa Stalina?

Jak widzimy i tu winni są Żydzi.

Sowiecka prasa bardzo wysoko oceniła pracę Andrzeja Wajdy, który wystawił w moskiewskim teatrze „Sowriemiennik” sztukę amerykańskiego dramaturga, Davida Rabe, „Pałki i kości”, podkreślając demaskatorski patos spektaklu, piętnującego amerykańskich agresorów.

Autor sztuki zapoznał się z pochwalnymi recenzjami i był z nich niezadowolony, a nawet zaprotestował.

Po pierwsze jest obrażony, że nie zapłacono mu honorarium autorskiego; po drugie jest on obrażony na reżysera Andrzeja Wajdę, na artystycznego kierownika teatru Olega Jefremowa. „Sądząc po recenzjach — pisze autor sztuki — wasze usiłowania zrozumienia sensu sztuki nie są poważne. Sztuka pokazuje jak fałszuje się percepcję w sprawach osobistych. I wyście to właśnie zrobili — sfałszowaliście percepcję dla osobistych politycznych celów... Moja sztuka jest o was i o waszym narodzie. Jeśli nie zrozumieliście tego, to znaczy że kłamiecie lub że sztuka kłamie. Jeśli znaleźliście w niej jedynie Amerykę, to znaczy że niczego w sztuce nie zrozumieliście, lub niczego nie zrozumieliście w sobie”.

Adam KRUCZEK

## Kronika czeska i słowacka

Ludvik Svoboda zostaje...

Kłopoty z wyborem nowego prezydenta Republiki, o których pisaliśmy w poprzednim numerze, zostały rozwiązane w sposób kompromisowy, to znaczy żadne ze skrzydeł w łonie kierownictwa czechosłowackiego, nie zdolawszy preferować swego kandydata, nie było w stanie zgodzić się na nie innego jak na ponowny wybór 78-letniego Ludvika Svobody. Kim jest jednak ów człowiek, który w pewnym okresie uchodził za czechosłowackiego Berlinga? Ludvik Svoboda pochodzi z Moraw. Ojciec jego był rolnikiem. Młody Svoboda brał udział w I wojnie światowej, lecz wkrótce dostał się do niewoli rosyjskiej. Według niektórych danych uczestniczył w walkach czechosłowackiego korpusu, który walczył początkowo z Niemcami a potem z bolszewikami. Do odrodzonej Czechosłowacji powrócił jako kapitan. W roku 1939 jako podpułkownik przedarł się do Polski, gdzie dowodził czechosłowackim oddziałem w sile batalionu. Po napaści niemieckiej usiłował się wraz ze swym oddziałem przedrzeć do Rumunii, lecz został wzięty do niewoli sowieckiej. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Svoboda, zdobywszy łaski swych opiekunów, objął dowództwo nad formacją czechosłowacką w Rosji, stopniowo awansuje na generała, by po powrocie do kraju w 1945 roku objąć stanowisko ministra Obrony, na którym pozostawał do roku 1950. Formalnie bezpartyjny, sympatyzował wyraźnie z komunistami, zwłaszcza w czasie przewrotu w lutym 1948, kiedy to wydał rozkaz aby wojsko pozostało w koszarach. Po odejściu ze stanowiska ministra obrony (jego następcą został zięć Gottwalda — Czepiczka) Svoboda pełnił przez pewien czas funkcje wicepremiera i szefa Głównego Urzędu Kultury Fizycznej. W roku 1951 został jednak i z tego stanowiska zwolniony i aresztowany. W więzieniu przebywał bardzo krótko, bo tylko kilka miesięcy, a wybawcą jego był sam Stalin. Zwolnienie Svobody nie oznaczało jednak jego politycznej rehabilitacji. Pracował jako księgowy w spółdzielni produkcyjnej.

W czasie rządów Chruszczowa Svoboda pojawiał się dość sporadycznie na różnych uroczystościach, a w okresie 1955-1959 był komendantem akade-



mii wojskowej im. Gottwalda w Pradze. Jego pełna rehabilitacja polityczna miała miejsce w roku 1965, kiedy to w związku z siedemdziesięcioleciem otrzymał tytuł bohatera Związku Sowieckiego i Czechosłowacji. Do „wiosny praskiej” w 1968 był zatem szanowanym przez *establishment* emerytowanym generałem. 30 marca 1968 roku został wybrany prezydentem Republiki po odejściu skompromitowanego Antonina Novotnego. Był on dość popularny wśród ludności a zarazem w pełni akceptowany przez Kreml. W tym okresie zadeklarował pełne poparcie dla programu reform i inwazja sierpniowa była dla niego poważnym szokiem. Udało mu się jednak wymusić na władcach Kremla zgodę na wypuszczenie porwanego przez Rosjan Dubczeka i innych przywódców czechosłowackich. Jednakże, pod wpływem stałego nacisku Moskwy, stał się bardziej ustępliwy i zgodził się wziąć udział w procesie „normalizacji”. Svoboda jest członkiem prezydium partii (członkiem partii jest od roku 1948), uchodzi jednak za przedstawiciela skrzydła umiarkowanego. Uważany jest przy tym nietylko za człowieka kierującego się zasadami marksizmu, ile za swego rodzaju panslawistę o nastawieniu prorosyjskim.

#### *Obca siła robocza w Czechosłowacji*

Ukazujące się na emigracji pismo słowackie *Nasze Snahy* informuje o imporcie siły roboczej do Czechosłowacji. Chodzi głównie o robotników z Jugosławii, Polski, Węgier, a ostatnio nawet z Egiptu. Jugosłowianie pracowali już w 1966 roku przy budowie huty szkła Novi Bor w północnych Czechach. Od tej chwili datuje się właściwie popyt na importowaną siłę roboczą.

Poza Jugosłowianami pracowało w Czechosłowacji 9.000 Polaków i Polek. Ostatnio radio „Hvezda” doniosło o dziesięcioleciu pracy polskich wódkniarek w Czechosłowacji. W nagrodę reżym przyznał im wczasy w luksusowych hotelach na pograniczu polsko-czechosłowackim. Takich wzorowych warunków nie mają, rzecz jasna, polscy robotnicy zatrudnieni przy budowie zapór wodnych w północnych Czechach, zwłaszcza w Zaluží oraz w Usti nad Łabą. Zgodnie z umową z lipca 1972 roku liczba polskich robotników ma osiągnąć do roku 1975 14.000, ale według ostatnich danych ma ona wzrosnąć do 50.000.

Mówi się ostatnio o robotnikach z Węgier. Chodzi tu jednak o mniejsze liczby robotników i to w okręgach przygranicznych. Kontyngenty węgierskie sprawy więc nie rozwiązują. Krążą pogłoski, że podczas wizyty w Egipcie czechosłowacki minister pracy Michal Sztencel miał podpisać umowę, według której Egipt miał dostarczyć około 15.000 robotników do prac w budownictwie. Losy umowy są jednakże niepewne z uwagi na trudności dewizowe.

Równocześnie toczą się w Belgradzie rokowania o kontyngenty sięgające ponoć 100.000 robotników do końca roku 1975. Cała ta polityka eksportu siły roboczej dowodzi fiaska reżymu na odcinku przyciągnięcia własnej ludności do prac na rzecz dalszej rozbudowy kraju. Prasa donosi o wzrastającej absencji, o fluktuacji i o środkach zaradczych, które jak widać niewiele pomagają.

#### *Sytuacja w literaturze*

Normalizacja na odcinku literatury posuwa się chyba najwolniej. Przewodniczący nowego związku pisarzy, Jan Kozak, zmuszony był przyznać, że sytuacja nie jest różowa. Przeważająca ilość wydawnictw w chwili obecnej to tłumaczenia z rosyjskiego, przy czym wydaje się raczej tych gorszych pisarzy. W związku z petycją o amnestię aresztowanych pisarzy, Kozak oskar-

żył autorów petycji (rzekomo byli nimi Ludvik Vaculik, Alexander Kliment, Ivan Klima i Pavel Kohout) o próbę przemytu zdyskredytowanych idei rewizjonistycznych. Nie sprzyja to jednak konsolidacji, choć ostatnio kilku pisarzy starszego pokolenia (Vladimir Neff, Jan Otczenaszek, Ladislav Fuks) oraz kilku innych — razem 11-tu — zwróciło się o przyjęcie do nowego związku. Jest to zrozumiałe jeśli ma się na uwadze kraj, gdzie pisarzem jest tylko członek związku pisarzy. Na rynku księgarskim panują pustki. Ukazała się książka cytowanego powyżej Jana Kozaka pod tytułem „Polowanie w tajdze” — nagroda literacka za rok 1972. Pojawiły się pierwsze *thriller'y* o „kontrewolucji” 1968. Jedną z takich pozycji jest książka Vladimira Dostala, pisarza dotąd nieznanego, w której mowa jest m.in. o „pewnym ministrze” (chodzi o Smrkovsky'ego), który „pomaga” agentom Zachodu etc. Dziełko to ma ponadto wyraźny posmak antysemitki.

#### *Amnesia*

Z okazji 25-tej rocznicy „zwycięskiego lutego”, czyli komunistycznego przewrotu w Czechosłowacji, ogłoszono amnestię. Niestety nie obejmuje ona więźniów politycznych, a zatem osób skazanych za „spiskowanie” przeciw Republice, za „działalność wywrotową” etc. Jedyne — i to z dużymi ograniczeniami — więźniowie kryminalni objęci są aktem łaski znormalizowanej CSSR.

#### *Gottwald redivivus*

Ostatnio środki masowego przekazu wiele piisały o „pierwszym robotniczym prezydencie” Klemencie Gottwaldzie, a to w związku z 20-tą rocznicą jego śmierci. Najbardziej wzruszające są jednak wspomnienia jego osobistych zoferów, z których jeden mówił o zamiłowaniu do tytoniu fajkowego używanego przez Stalina („Złotoje runo” — a aromat jaki!!!), drugi zaś o samochodach używanych przez Gottwalda. Pierwszym był wóz skonfiskowany pewnej hrabinie, drugi otrzymał „w darze” od robotników Tatry, trzeci zaś — i najważniejszy — otrzymał Gottwald od samego Stalina. W ten sposób na łamach prasy czechosłowackiej pojawił się rzadki tam ostatnio gość, wielki wódz, nauczyciel...

Według nowego zarządzenia władz pisarze czechosłowaccy publikujący swe książki za granicą są zobowiązani wpłacać 40 % swoich honorariów autorskich na „Fundusz Kulturalny”, zamiast 2 % — jak dotychczas. Niezależnie od tych 40 % potrąca się jeszcze podatek od dochodu brutto i procent przysługujący oficjalnej agencji „Dilia”. Oprócz tego honoraria zagraniczne nie będą wypłacane w koronach dewizowych, lecz jedynie według kursu oficjalnego.

Zmarł w Czechosłowacji, w wieku 65 lat, Josef Pavel, min. spraw wewnętrznych w okresie „wiosny praskiej”. Był w brygadach międzynarodowych w Hiszpanii, gdzie uzyskał stopień generała; w okresie wojny był w wojsku na Zachodzie a potem, w okresie 1943-1945, w ZSSR. W 1951 został skazany na 25 lat więzienia jako „agent zachodni”. Uwolniony w 1955. Po inwazji Czechosłowacji był gwałtownie atakowany przez ZSSR. W 1970 roku wykluczony z czeskiej partii komunistycznej. Powody śmierci nie są dotąd wyjaśnione.

Karol SZWEDOWICZ



## Sprawy (nie tylko) wydawnicze

### ZSSR i Konwencja Genewska

*... it would be a travesty if an international convention aimed at protecting authors' rights were now to be used to restrict them.*

Nicholas Bethel, *Times*.

Od 27 maja br. na odwrocie karty tytułowej książek wydanych w ZSSR ukaże się © — „c” w kółku — świadectwo przystąpienia do światowej konwencji ochrony praw autorskich, utworzonej w Genewie w roku 1952 pod auspicjami UNESCO (*Universal Copyright Convention*, w skrócie UCC).

Kilka słów o międzynarodowej ochronie praw autorskich. Pierwsza konwencja podpisana została w roku 1886 w Bernie, gdzie utworzono Międzynarodowy Związek Ochrony Utworów Literackich i Artystycznych. Na kolejnych zjazdach Związku Konwencja Berneńska ulegała zmianom i uzupełnieniom. Państwa „związkowe” mogły konwencję w nowym brzmieniu, ratyfikować, ale mogły również utrzymać w mocy tekst w jednej z redakcji wcześniejszych.

Polska ratyfikowała Konwencję Berneńską w brzmieniu uchwalonym w Rzymie w roku 1928 i ta wersja obowiązuje do dzisiaj — PRL nie zdecydowała się na przyjęcie żadnych proponowanych na Zjazdach Związku zmian. Nie przystąpiła również do Konwencji Genewskiej UCC.

Sygnatariuszami Konwencji Berneńskiej są wszystkie europejskie państwa komunistyczne z wyjątkiem ZSSR i Albanii. Czechosłowacja (od r. 1960) i Węgry (od r. 1971) podpisały UCC.

Konwencja Berneńska stanowi obszerny, wzorcowy zbiór przepisów prawa autorskiego. Są to jednak tylko zalecenia i każde państwo „związkowe” redaguje krajowe przepisy według swojego uznania. Obowiązuje jednak zasada wzajemności: żaden autor nie

może za granicą korzystać z ochrony w szerszym zakresie niż w kraju. Zasada ta nie działa na niekorzyść autora: jego prawa chronione są za granicą co najmniej w tym zakresie co w kraju.

UCC (Konwencja Genewska z roku 1952) wprowadza podobnie jak Konwencja Berneńska zakaz uzależnienia ochrony dzieła od jakichkolwiek rejestracji i formalności. Atrakcyjność UCC wzrosła po przystąpieniu do UCC Stanów Zjednoczonych AP, które Konwencji Berneńskiej nie podpisały. Poza tym UCC zawiera kilka postanowień, które muszą się znaleźć w ustawodawstwie kraju podpisującego tę Konwencję: dzieło musi podlegać ochronie co najmniej 25 lat po śmierci autora, jeśli autor zezwala na wznawianie dzieła nie może po upływie 7 lat od pierwszej publikacji odmawiać prawa przekładu, itd.

UCC jest jednak w porównaniu z Konwencją Berneńską bardziej ramowa i w dążeniu do uniwersalności na każdym kolejnym kongresie łagodzi zakazy i mnoży uprawnienia do wprowadzania ograniczeń ochrony praw autorskich „zgodnie z wymaganiami ustawodawstwa krajowego”, które nie powinny być jednak sprzeczne „z duchem i treścią UCC”.

Ostatni Kongres UCC w Paryżu w roku 1971 poszedł w tej dziedzinie tak daleko, że uzależnił niemal całkowicie zakres ochrony międzynarodowej dzieł od ustawodawstwa krajowego. Zakres „inicjatywy” krajowej uznali Rosjanie za wystarczający i sześćdziesiąte czwarte państwo przystąpiło do Konwencji Genewskiej (UCC).

Przystąpienie ZSSR do Konwencji Genewskiej przygotowane zostało Uchwałą Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z dnia 21 lutego 1973 („Ukaz” nr 138/1973) o zmianach w Ustawie o prawie autorskim ZSSR. W oparciu o tę uchwałę ukażą się przed 27 maja 1973 dalsze zarządzenia wykonawcze. Uchwała z dn. 21 lutego i informacje prasowe dają jednak wystarczające wyobrażenie o sytuacji prawnej po 27 maja 1973 roku.

Zadekretowano przede wszystkim szereg zmian pozytywnych, które usuwają oczywiste anachronizmy. Przedłużono okres ochrony prawnej dorobku pisarza do 25 lat po jego śmierci (uprzednio tylko 15 lat); od 21 lutego 1973 nie wolno już publikować przekładu dzieła bez zgody jego autora.

Tyle tylko jednak postępowych myśli w cytowanym dekreście. Resztę stanowią sprzeczne „z duchem i treścią UCC” przepisy ograniczające swobodę druku obywatela ZSSR i zapowiadające zarządzenia wykonawcze tego samego typu.

Uchwała z dn. 21 lutego br. uznaje, że „ochroną prawną” objęte są nie tylko dzieła opublikowane w ZSSR, ale również nieopublikowane, lecz znajdujące się w jakiegokolwiek obiektywnej (?) formie na terenie ZSSR („... произведение впервые выпущенное в свет на территории СССР либо не выпущенное, но находящееся в какой либо объективной форме”).

Podlega więc ochronie prawnej za granicą każdy rękopis, znajdujący się na terenie ZSSR, nawet jeśli go autor w ogóle do



wydania w kraju nikomu nie zaproponował<sup>1</sup>. Przepis ten wydany został jednak nie dla ochrony dzieła w celu stworzenia najkorzystniejszych warunków jego publikacji, ale — przeciwnie — w celu umożliwienia zakazu jego publikacji nie tylko w kraju, ale również poza jego granicami.

Wszystko wskazuje na to, że w ZSSR ze wzmoczoną siłą prowadzona będzie kampania policyjno-celno-dewizowych nacisków na autorów dzieł w ZSSR zakazanych, a opublikowanych za granicą. Cytowana Uchwała z dnia 21 lutego br. zawiera postanowienie nieznanne, jak sądzę, w żadnym prawie autorskim innego kraju. Art. 97 Ustawy o prawie autorskim ZSSR uzupełniony został częścią czwartą, która stanowi, że przeniesienie praw autorskich na obywatela innego państwa jest nieważne, jeśli obywatel ZSSR przekazał je z pominięciem przepisanej przez ustawodawstwo ZSSR „drogi urzędowej” („w poriadku ustanowionym zakonodatelstwom SSSR”).

Postanowienie to może się stać punktem wyjścia działania policyjnego i administracyjnego w dwu kierunkach. Po pierwsze obywatel sowiecki będzie mógł być pociągany do odpowiedzialności karnej za każde nawiązanie kontaktu z obywatelem zagranicznym w sprawie przeniesienia praw autorskich. Dotychczas z punktu widzenia prawnego podpisanie umowy za granicą, przesłanie za granicę maszynopisu, czy nawet zgoda na wydanie książki za granicą nie były przestępstwem. Pisarze pociągani byli dotychczas do odpowiedzialności karnej nie za przemycenie za granicę maszynopisu, ale za jego treść — za „działalność antysowiewką”, za „wyrządzenie szkody interesom państwowym ZSSR”.

Po drugie obywatel sowiecki pozbawiony jest prawa dysponowania prawem autorskim wobec obywatela innego państwa bez zgody władz. Możliwa jest więc konstrukcja prawna, w której umowa zawarta przez obywatela sowieckiego na przykład z wydawcą zagranicznym z pominięciem obowiązującego trybu zawierania umów zagranicznych o przeniesienie praw autorskich, jest z samego prawa, już w chwili jej podpisywania, nieważna. Porównać można tę sytuację pisarza sowieckiego na przykład ze znaną każdemu studentowi prawa sytuacją prawną osoby niepełnoletniej, podpisującej umowę bez upoważnienia rodziców czy opiekunów...

Ustawa zabrania również przekazywania pisarzom honorariów zza granicy za dzieła „nielegalnie” wydane. Zaostrzone będą sankcje karne i ograniczenia dotyczące wysyłania maszynopisu

1. Niektórzy komentatorzy prasowi na Zachodzie przypuszczają, że ZSSR pozbawi autorów dzieł, powstałych na terenie ZSSR, prawa własności do nich poza granicami państwa. W oparciu o przepisy o monopolu handlu zagranicznego państwo miałyby uznać, że jest właścicielem praw autorskich tych dzieł zagranicą. Sądzę, że tak daleko władze się nie posuną. W każdym razie ZSSR nie pozwoli sobie na cyniczne, jawne upaństwowienie najbardziej osobistych uprawnień jednostki. Przy odrobinie pomysłowości można ten sam cel osiągnąć bez publicznych deklaracji, ośmieszających własne ustawodawstwo i samą Konwencję.

za granicę z pominięciem przepisanej „drogi służbowej”. Z wywiadu, udzielonego przez Borisa Stukalina (*Literaturnaja Gazieta*, 14 marca 1973), można wnosić, że do kontaktów zagranicznych, prócz Biura ochrony praw autorskich, upoważnione będą tylko instytucje państwowe (wydawnictwa) i związki twórcze.

Powstanie więc zapewne w ZSSR aparat kontroli i ograniczania autorów-dysydentów, podobny do istniejącego w Polsce i w innych krajach komunistycznych. Sowiecki odpowiednik polskiego „Związku Autorów i Kompozytorów ZAIKS” posiadać będzie monopol na prowadzenie kont dewizowych autorów, zawieranie umów zagranicznych i występowanie za granicą w imieniu autorów na podstawie generalnego pełnomocnictwa, które każdy autor będzie musiał podpisać. Takie biuro praw autorskich, czy związek, w kontaktach z wydawcą zachodnim nadaje swojemu pośrednictwu cechy „normalnej”, na Zachodzie powszechnie znanej agencji literackiej. Za tym wygodnym „demokratycznym” parawanem władze polityczne i dewizowe decydować będą o zawarciu każdej umowy na przykład dzieła. Dotyczy to nie tylko maszynopisów nieopublikowanych, ale również dzieł wydanych, ocenionych już po publikacji negatywnie. Czasem sam autor padnie w niełaskę i dzieła jego zostaną zablokowane.

Autor, jako osoba prywatna, zagrożony jest w Polsce karą grzywny i więzienia za podejmowanie jakichkolwiek czynności prawnych za granicą bez uprzedniej zgody powołanych do tego władz. Nie wolno mu podpisać za granicą umowy, nie wolno podjąć honorarium nawet za dzieło wydane „legalnie” — na podstawie zatwierdzonej przez władze umowy. Władze celne nie pozwolą na wywóz, czy na wysłanie żadnego maszynopisu za granicę bez zgody Centralnego Zarządu Ceł (cenzury!).

Należy przypuszczać, że w sowieckim wydaniu udoskonalony zostanie system zakazów i kontroli oraz przywilejów i zaleceń. Będzie on też zapewne, z właściwą temu krajowi gorliwością, rygorystycznie stosowany. Właściwe czynniki będą zapewne dbały o rozbudowę systemu represji wobec tych autorów książek, którzy spowodują ich wydanie za granicą z pominięciem ustalonego trybu urzędowego. Już teraz nacisk wywierany w ZSSR na autorów tych książek nie daje się porównać z szykanami, na jakie jest narażony autor-dysydent w innych krajach komunistycznych.

Skoro tylko ujawniona zostanie „zdrada” autora-dysydenta skłania się go w ZSSR wszystkimi dostępnymi środkami do publicznego oświadczenia. Nagromadziło się już tych oświadczeń tyle, że się nadają do „analizy typologicznej”.

Typ pierwszy oświadczeń autorskich nazwałbym „ja nie ja, chata nie maja”. Autor maszynopisu za granicę nie wysłał, odrzucony przez krajowego wydawcę utwór grzeczniej schował do szuflady. Zaskoczony wydaniem za granicą bez jego wiedzy i zgody, protestuje, potępia itd. Tego typu oświadczenie ogłosił niedawno Okudźawa w *Literaturnoj Gaziecie*.

Po 27 maja 1973 „właściwe czynniki” poproszą autora oświad-



czenia typu „ja nie ja” o dopisanie jednego jeszcze zdania — o skierowaniu sprawy na drogę sądową — i złożenie jednego jeszcze podpisu — na pełnomocnictwie dla adwokata. Wydawca zachodni będzie zmuszony do zaniechania wydania, a jeśli nie udowodni przed sądem, że działał w dobrej wierze — zapłaci „skrzywdzonemu” autorowi poważne odszkodowanie.

Typ drugi to oświadczenie autorskie „dla świętego spokoju”: na wydanie książki za granicą wyraziłem zgodę, ale teraz rozumiem, że popełniłem błąd i zgodę cofam. Przykład w trybie „co by było gdyby”: Co by było gdyby Pasternak żył i dopiero po 27 maja 1973 roku przesłał wydawcy włoskiemu maszynopis „Dr. Żiwago”, a potem zgodę na wydanie cofnął. Tak właśnie było w roku 1956 — z wiadomym skutkiem. Ale po 27 maja 1973 nastąpiłby znany nam już ciąg dalszy — pełnomocnictwo procesowe, groźny list do wydawcy, a w razie sprzeciwu — sąd włoski wydaje zakaz publikacji. Feltrinelli musiałby zrezygnować z wydania, powieść, może tylko przez zapaleńców „nielegalnie” drukowana, nie uzyskałaby rozgłosu, a Pasternak — nagrody Nobla. A przecież drukowany w setkach edycji „Dr. Żiwago” do dzisiaj znajduje się na liście powieści wznawianych co roku w 10-15 krajach Zachodu.

Ilu twórców sowieckich okaże hart Sołżenicyna, który chyba nigdy nie zgodzi się na podpisanie podobnych oświadczeń? A przecież Sołżenicyn również powiedział w jednym z wywiadów prasowych, że wszystkich powieści z wyjątkiem „14 sierpnia” ukazały się na Zachodzie bez jego zezwolenia. Nawet więc nad wydawcami książek Sołżenicyna zawiśnie groźba, że jego przesładowcy znajdą może jakieś takie szatańskie środki nacisku, że wymuszają podpisanie pełnomocnictwa procesowego i cofnięcie zgody na wydanie.

I wreszcie trzeci typ — oświadczenie w sprawie autorstwa dzieła anonimowego, lub napisanego pod pseudonimem. Dotychczas ujawnienie drogą dochodzenia policyjnego ukrywającego się pod pseudonimem pisarza-desydynta źle się kończyło tylko dla niego. Dzieło pozostawało poza zasięgiem władzy. Po 27 maja „czynnik do tego powołane” będą się starały uzyskać wyznanie skruchy i cofnięcie zgody na wydanie dzieła, a wtedy można będzie działać tak, jakby dzieło się ukazało pod nazwiskiem autora.

Ale nawet, jeśli nie uda się policji wykryć autora i dzieło ukaże się pod dobrze zaszyfrowanym pseudonimem, to przecież „Ukaz” z dnia 21 lutego br. rozciągnął na wydawnictwa tego typu ochronę prawną w kraju i za granicą. Nie wiemy jeszcze (i może się oficjalnie nie dowiemy) w jaki sposób ta „ochrona prawna” zdławi te niepożądane, z punktu widzenia władz, publikacje anonimowe. Jedno wydaje się pewne: rząd ZSSR upoważni jakąś instytucję (prawdopodobnie „Biuro ochrony praw autorskich” o rozszerzonych kompetencjach) do występowania za granicą w imieniu autorów. W przypadku dzieła anonimowego, otrzymanego z ZSSR, Biuro będzie mogło w imieniu „domniemanego

autora” blokować wydanie książki, formułować pod adresem wydawcy zagranicznego zarzuty „wykradzenia” maszynopisu i nielegalnego wywozu. Zawsze można przynajmniej odwlec wydanie, kwestionując działanie wydawcy w dobrej wierze itd.

Zaprawdę, ciężkie czasy nastały dla wydawców, publikujących tak ważne często dla rozwoju literatury „narodów ZSSR” i kultury światowej książki pisarzy-dysydentów!

Ale może jednak nie będzie tak źle? Nie brak w prasie zachodniej optymistycznych przewidywań, że ZSSR unikać będzie występowania na drogę sądową i publicznych konfliktów z wydawcami zagranicznymi. Taką nadzieję wyraża na przykład Związek Wydawców Francuskich; oświadczenie Związku, radość z przystąpienia ZSSR do Konwencji Genewskiej, podkreślenie roli, jaką tu odegrali wydawcy francuscy — gospodarze ostatniej paryskiej Sesji UCC — wyraźnie sugeruje, że przyszłość będzie bezkonfliktowa i Rosjanie przestrzegają będą zasad moralnych UCC, a nie tylko litery prawa. No cóż, *qui vivra verra...* Nadzieje takie podsyca dotychczasowa praktyka innych krajów komunistycznych: unikają one nadawania rozgłosu wydawnictwom dysydentów, nie wymuszają na ogół publicznych oświadczeń i cofania udzielonej zgody na wydania zagraniczne, nie występują na drogę sądową w sporze z wydawcą zagranicznym nawet w przypadku wydania bez wiedzy i zgody autora.

A teraz o honorariach. Komentarze prasowe oceniają sytuację optymistycznie i czytelnicy zachodni gotowi są uwierzyć, że za parę tygodni popłynie z ZSSR złoto strugami<sup>2</sup>. Nadzieje te jednak są płonne. Znajdą się, oczywiście, autorzy dzieł poczytnych w ZSSR, którzy otrzymają znaczne sumy. Działać jednak będzie w ZSSR w skali krajowej ten sam mechanizm, co w innych europejskich krajach komunistycznych: system wyodrębnionych funduszy dewizowych w rocznym planie płatności zagranicznych. Zanim wydawca przystąpi do przekładu dzieła, za które trzeba będzie płacić autorowi i wydawcy zagranicznemu w dewizach, musi uzyskać „przydział” tych dewiz. Dopóki z funduszu honorariów dewizowych nie „przydzielą” mu odpowiedniej sumy, umowa z wydawcą zagranicznym nie może być zawarta. Chodzi tu przy tym nie tylko o dewizy w ogóle, ale o fundusz dewiz danego kraju. Rozmówki z władzami są często groteskowe: „Zgłosiłeś do przekładu powieść zachodnio-niemiecką. Nic z tego. Masz jeszcze wprawdzie prawo do wydatków na honoraria dewizowe, ale my już nie mamy marek. Możesz natomiast coś zgłosić z literatury francuskiej i włoskiej...”

Ograniczony fundusz dewizowy zmusza również wydawców z reguły do obniżania nakładu przekładu literatury zachodniej. Reszty dokonuje aparat podatkowo-dewizowy. W warunkach monopolu państwowego wydawca zachodni musi przyjąć proponowane mu stawki licencyjne, które, na przykład w Polsce, przy

2. *Time* z 12. 3. 1973: „The Soviets stand to lose millions of dollars in hard currencies”.



wypłatach dewizowych ogranicza się znacznie (poniżej 5 % ceny katalogowej przekładu). Przy przekazie zagranicznym pobiera się w Polsce ponadto podatek w wysokości co najmniej 40 %. Przekazanie całej należności w dewizach dopuszcza się tylko w wypadkach wyjątkowych. Zawsze część należności, często nawet całość, blokowana jest na koncie bankowym do wykorzystania w kraju.

Przykład Polski, wskazuje, że te wszystkie zabiegi sprowadzają honorarium w dewizach do kwot niemal symbolicznych. Dotyczy to zwłaszcza tych książek, które w oryginale ukazały się w wydaniu kosztownym. Francuski wydawca książek medycznych, Masson, obliczył, że proponowane mu przez Polskę honorarium w dewizach za wydanie przekładu w nakładzie 2000 egzemplarzy nie przekracza sumy uzyskanej przez niego za sprzedaż... 3 (trzech) egzemplarzy proponowanej do przekładu książki. Masson odmówił zezwolenia i prowadził wieloletnią kampanię przeciwko stosowanym w krajach komunistycznych metodom narzucania stawek i ograniczania wypłaty honorariów dewizowych.

Ale sięgnijmy do przykładów sowieckich. W swoim czasie John Steinbeck, a niedawno Heinrich Böll otrzymali w ZSSR honorarium w rublach (bez prawa wywozu). Obaj otrzymali średnio 1 kopiejkę (nawet według nierealnie wysokiego kursu oficjalnego niewiele ponad 1 cent USA) za każdy sprzedany egzemplarz. Opłaty licencyjne na zachodzie dla autorów sowieckich będą w przeliczeniu na 1 egzemplarz nieporównanie wyższe i — moim zdaniem — pokryją z nadwyżką różnicę w wysokości nakładu.

Przekonanie o tym, że ZSSR będzie miał dodatni bilans płatności dewizowych z tytułu licencji przekładowych opieram również na danych statystycznych. Na Zachodzie wydaje się rocznie ok. 1000 przekładów z języka rosyjskiego, w ZSSR — ok. 900 przekładów literatury zachodniej. Najmniej korzystny dla ZSSR jest bilans przekładów z krajami anglosaskimi. Z języka angielskiego tłumaczy się w ZSSR ok. 700 książek rocznie, w krajach anglosaskich z języka rosyjskiego — o połowę mniej. Nakład tych przekładów w ZSSR sięga 15 milionów egzemplarzy rocznie, w krajach anglosaskich nakład jest nieznan, ale na pewno wielokrotnie mniejszy. Przeprowadziłem analizę cen przekładów w ostatnim tomie „Index translationum” UNESCO. W uproszczonym przeliczeniu — dolar USA = rubel — ceny w USA przekładów książek rosyjskich są 10-30 razy wyższe, niż w ZSSR — przekładów literatury amerykańskiej. Dodajmy do tego korzystniejsze stawki licencyjne i przekaz do ZSSR całej należności w dewizach. Sądzę więc, że nawet bilans z USA nie będzie dla ZSSR w tej dziedzinie niekorzystny.

We wszystkich innych krajach tłumaczy się z rosyjskiego znacznie więcej książek, niż w ZSSR — z literatury tych krajów. Jeśli wziąć pod uwagę różnicę cen książek, wysokości stawek i warunków płatności to można być zupełnie spokojnym — odpływ dewiz z tego tytułu Rosjanom nie grozi.

Gdyby jednak moje obliczenia były zawodne i gdyby się okazało, że bilans honorariów dewizowych jest dla ZSSR niekorzystny — kurek zostanie natychmiast przykręcony: ograniczy się fundusz na te honoraria, zaostrzy selekcję dzieł autorów zachodnich, wprowadzi dodatkową kontrolę jeszcze wyższego szczebla partyjnej hierarchii. Do tego jeszcze odpowiednie przygotowanie artyleryjskie — jakaś czarnosecinną „teoryjka” o „uleganiu wpływom”, o „pokłonczestwie zapadu” — i równowaga zostanie przywrócona.

Ostatnia sprawa — ale nie najmniej ważna — UCC a ochrona praw osobistych autorów zachodnich w ZSSR. Po pierwsze zmiany i skróty w przekładach. Maleńka ilustracja: „Do prostego człowieka” zwraca się po rosyjsku Tuwim w wezwaniu do... strzelania do własnych oficerów (w oryginale: „Różni karabinem w bruk ulicy”). Po drugie: przedruki dzieł w oryginale. Wydawców dzieł naukowych na Zachodzie do białej gorączki doprowadza działalność w ZSSR specjalnych ośrodków „prenumeraty” czasopism zachodnich i „subskrypcji” co droższych fundamentalnych dzieł naukowych wydawców kapitalistycznych. Ośrodki te sprowadzają jeden egzemplarz i drukują fotoofsetem tyle egzemplarzy, ile zamówili „prenumeratorzy” i „subskrybenci”. Niekiedy takie korsarskie przedruki sprzedawane są po prostu w księgarniach.

Sądzę, że przystąpienie ZSSR do Konwencji Genewskiej ukróci nieco tę działalność, a w każdym razie zmusi do ostrożności i dyskrecji. Ale w przypadku ujawnienia jaskrawego nawet naruszenia praw osobistych autora i wydawcy zachodniego nie będzie on zapewne tak naiwny, by zwracać się o pomoc i ochronę do sowieckiego sądu. Zawsze się znajdzie jakiś kruczek prawny na usprawiedliwienie wyrządzonej krzywdy. Nie bez kozery wprowadzono do art. 103 prawa autorskiego (cytowana wyżej uchwała z dnia 21 lutego br.) dodatkowy p. 7, zezwalający (i to bez ograniczenia objętości) na przedruk dzieła bez zgody autora i bez honorarium „w celach naukowych (?), szkolnych i oświatowych” („w naucznych, uczebnych i proswietelnych celach”). Zastrzeżenie, że wydanie nie powinno przynieść dochodu („bez izwleczenia pribyli”), jest w warunkach sowieckich wręcz zabawne. Typowe sypanie piaskiem w oczy!

Wśród państw, które przystąpiły do jednej z międzynarodowych konwencji ochrony praw autorskich, wiele jest państw policyjnych, krajów rządzonych przez junty wojskowe i dyktatorów, gdzie prawa autora są deptane, a podpis pod konwencją stał się deklaracją bez treści. Po raz pierwszy jednak „uniwersalistyczna” redakcja paryskiej wersji UCC z roku 1971 użyta została przez państwo „członkowskie” do wydania przepisów sprzecznych z podstawową ideą UCC — ideą „książki nie znającej granic”, ideą pełnej swobody druku i wymiany myśli.

Kiedy piszę te słowa prasa szwedzka drukuje protest pisarzy Samizdatu przeciw przystąpieniu ZSSR do Konwencji Genewskiej. Wielospaltowe tytuły: „ZACHÓD POMAGA KREMLOWI



DŁAWIC LITERATURĘ ROSYJSKĄ". Jawna zapowiedź sięgnięcia cenzury sowieckiej poza granice kraju wywołała oburzenie opinii publicznej na Zachodzie. N. Bethel (*Times*, 2. 3. 1973) nazywa powstałą sytuację parodią („a travesty”) i apeluje do UNESCO o interwencję. Pisarze Samizdatu oświadczają jednak, że na pomoc Zachodu nie liczą. Ich oświadczenie, ich postawa budzi szacunek. Tak mogą działać i tworzyć tylko pisarze, którzy mają świadomość poparcia moralnego znacznej części społeczeństwa w kraju i za granicą. Z nimi są przede wszystkim pisarze i inteligencja twórcza, wierna wielkim ideałom wolności i socjalizmu.

Adam BROMBERG

**Kraj**

## Czy przywódcy "Ruchu" zostaną uwolnieni ?

APEL MATKI I KARDYNAŁÓW  
DO RADY PAŃSTWA

Jako matka skazanych: na siedem lat Andrzeja Czumy, magistra prawa i na sześć lat Benedykta Czumy, magistra inżyniera mechaniki precyzyjnej, zwracam się z prośbą do Rady Państwa PRL o zwolnienie z więzienia moich synów.

Synowie moi, którym starałam się wraz z nieżyjącym już moim mężem wszczepić najszlachetniejsze zasady miłości Ojczyzny — skazani zostali na surowe wyroki.

Przy ocenie ich działalności proszę o wzięcie pod uwagę następujących spraw:

Działali w okresie od roku 1968 do 20 czerwca 1970 roku, a więc w okresie szczególnego nasilenia niewłaściwych posunięć dyktatury Władysława Gomułki i jego grupy.

Wiele postulatów wysuwanych przez obecnie więzionych już trzeci rok moich synów było słusznych i zostały one potwierdzone przez władzę państwową po wydarzeniach na Wybrzeżu.

Obrońcy stwierdzili na rozprawie, że na 19 punktów programu „Mijają lata” aż 15 (piętnaście) zostało uznanych praktycznie za słuszne przez Edwarda Gierka, Dyzmę Gałaję i innych. Synowie moi mówili o płacach w Polsce stojących na pograniczu minimum egzystencji, o nieodpowiednim budownictwie mieszkaniowym, o wypaczonej roli związków zawodowych, nie biorących w opiekę pracowników wobec pracodawcy, o znikomej roli Sejmu jako przedstawicielstwa narodowego, o lekceważącym traktowaniu społeczeństwa przez władze państwowe.

Należy podkreślić ich idealizm i nieobojętność na sprawy dobra wspólnego i społeczeństwa wtedy, gdy wypaczenie ostatniego

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

**PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”**

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”



okresu rządów Władysława Gomułki i jego grupy wytworzyły wśród społeczeństwa stan beznadziejności, marazmu i rozpacz; prasa wyrażała się o naszym narodzie „zachołony naród”, obojętny na sprawy publiczne. Moi synowie pisali w sposób niezgodny z przepisami i przekroczyli niektóre przepisy (ich druki nie przeszły przez cenzurę państwową), ale jako obywatele swego kraju nie mieli w tym okresie innych możliwości wypowiedzenia swej troski o dobro Ojczyzny.

Dlaczego tego typu postępowanie (dyskutowanie oraz pisanie) zostało zakwalifikowane jako „usiłowanie obalenia przemocą socjalizmu”? (artykuł 123 w związku z artykułem 128 kodeksu karnego z 1970 roku).

Czy około czterdziestu osób może, nie posiadając broni ani jej nie szukając, chcieć „obalić przemocą ustrój” w kraju, w którym jest pracowników MSW razem z ORMO i wojskiem — około miliona ludzi uzbrojonych?

I jeszcze w takim kontekście komplet sędziowski Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy, pod przewodnictwem Ryszarda Bodeckiego orzekł w wyroku z dnia 23 października 1971, że „działali z niskich pobudek”.

Wyrok ten wywołał protesty wybitnych naukowców, takich jak prof. Tadeusz Kotarbiński, filozof; prof. Maria Ossowska, socjolog; prof. Stanisław Herbst, historyk, i innych uczonych oraz pisarzy i poetów takich jak Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Igor Newerly, Andrzej Braun, Anna Kamińska, Agnieszka Osiecka i innych osób w Polsce. Tymczasem komplet sędziowski wspomniany wyżej, twierdzi w orzeczeniu wyroku z dnia 23. X. 1971, że „ich czyny wzbudziły ogólną pogardę społeczną”. Jakie badanie przeprowadzał sąd czy wymiar sprawiedliwości czy MSW, by mieć odwagę to stwierdzić?

Wiceprokurator Wiesław Krassowski stwierdził na procesie, że „ich czyny przestępcze wywodziły się z ogólnego klimatu rodzinnego”. Sprawa ta także wymaga wyjaśnienia, ponieważ miał on na myśli rodzinę więzionych, a zwłaszcza mojego męża, a ojca moich synów.

Chcę stwierdzić, że z naszej rodziny pochodzi obrońca Warszawy we wrześniu 1939 roku śp. generał brygady Walerian Czuma, którego Niemcy w 1940 oskarżali twierząc, że „generał Czuma odpowiedzialny jest za zbrodniczy opór i zniszczenie Warszawy. Wbrew woli ludności chciał bronić miasta 'do ostatniej kropli krwi'” (Dr H. Drescher *Die Polen vor Berlin*, Berlin 1940, wydawnictwo NSDAP). Niemcy oskarżali stryja więzionych o zbrodnię miłości ojczyzny i twierdzili, że działali wbrew woli ludności, mimo, że tej ludności nigdy o zdanie nie pytali. Za swe „błędy i wypaczenia”, a po ludzku mówiąc zbrodnie

przerzucali winę i odpowiedzialność na tych, którzy się złu sprzeciwiali.

Chcę nadto nadmienić, że wiele osób z naszej rodziny stało do walki w obronie społeczeństwa polskiego. Zginął w szeregach Armii Krajowej mój krewny Józef Czuma, w wieku lat 27, gdy szedł na pomoc Warszawie w lecie 1944, mój syn Jerzy Czuma brał udział w roku 1939 w ciężkich walkach pod Różanem i w obronie Warszawy w znanym z dzielności 41 pułku strzelców suwalskich, a później poszedł na sześć lat do niewoli niemieckiej. Inni krewni wciągnięci do wojsk polskich na Wschodzie i Zachodzie służyli uczciwie swojej Ojczyźnie.

Mój mąż, już nieżyjący, długoletni profesor Uniwersytetu, był więziony w latach 1939-1940 przez Gestapo w Lublinie na Zamku, wraz z grupą naukowców z Lublina, aresztowanych w ramach ogólnego planu niemieckiego niszczenia polskich pracowników naukowych. Nawet wtedy starał się przed uwięzieniem obronić starszych profesorów, ale gestapowiec odpowiedział, „że może w Polsce są takie przypadki, ale nie u Niemców; można mieć 90 lat i iść do więzienia” (Cz. Dąbrowski, „KUL w latach hitlerowskiej okupacji”, *Życie i myśl*, str. 71, nr 10, 1968, wydawnictwo PAX).

W roku 1945 mój mąż napisał pracę pt. „Polska i Anglosasi” i „Polska a Sowiety”, w której stwierdził, że wielkie mocarstwa zadecydowały o losach Polski bez Jej wiedzy. Praca nie przeszła przez cenzurę państwową i w roku 1950 sąd wojskowy w Lublinie pod przewodnictwem pułkownika Ryszarda Wierciocha (późniejszego dyrektora Filharmonii) skazał mojego męża na dziesięć lat więzienia. Mój mąż miał wtedy blisko sześćdziesiąt lat. W ciężkich warunkach więziennych na Zamku w Lublinie i w więzieniu w Rawiczu przebywał trzy lata.

Ponadto prokurator Obuchowicz oskarżył go, a oskarżenie podtrzymała prasa (*Sztandar Ludu* z 30 września 1950, artykuł pod tytułem „Pogrobowiec Hitlera skazany na dziesięć lat” napisała S. Gogołowska), o sprzyjanie przed wojną Hitlerowi. Jako dowód miało posłużyć zdanie wyrwane z kontekstu książki mego męża wydanej w Lublinie, nakładem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w roku 1939 pod tytułem „Polityka ludnościowa III Rzeszy”, str. 131: „Hitler obudził duszę niemiecką” (Gogołowska podała błędnie stronę 41, by czytelnik nie mógł znaleźć pełnego kontekstu cytatu). Pełny kontekst cytatu, który bezskutecznie przedstawiał na procesie mój mąż, brzmiał następująco:

„Hitler obudził duszę niemiecką. Na jego zew Niemcy obudzą się (*Deutschland erwache!*), dzięki niewątpliwie okolicznościom sprzyjającym,



Niemcy odpowiedzieli 'Budzimy się'. A teraz obudzeni, wciągnięci w rydwan mocy propagandy, szturmówek, tajnej policji, jednolitej prasy, wyrafinowanego terroru, hałasu i krzyku kierującej państwem demagogii, płyną ku swym przeznaczeniom z otuchą jedni, z głębokim lękiem już drudzy.

Trudno przepowiadać, ale nie wydaje się, by potrzebne były aż dziesiątki lat do wyraźniejszego skryształowania się rezultatów tego 'przebudzenia'. Struna została tragicznie przeciągnięta!''.

Mój mąż bronił się na procesie cytując także i inne zdanie z książki wydanej w roku 1939:

„Narodowy socjalizm rzekomo chce dźwignąć naród, uczynić go zdrowym, krzepkim, ofiarnym i wielkim. Ale ten klucz, którym obraca, chcąc otworzyć dla narodu wrota sezamu jest kluczem do grobu i upadku. Naród można podnieść, ale bez jego brutalizowania i schamienia, bez poniżania innego narodu, bez grabieży cudzych ziem i narodów, doczesność można dźwignąć bez szkody wieczności, śmiałość i odwagę można wzbudzić, bez wzbudzania brutalności i przewrotności, wielkość można osiągnąć bez pychy, życie bez cudzej śmierci, powodzenie bez kłęski innych, pokłonić się można przeznaczeniom narodu bez równoczesnej zniewagi Boga.

Zapewne, że są to drogi trudniejsze, a chęć doraźnych sukcesów do rządu skrócenie przeszkód. Ale ten silny związek między boskim a doczesnym ma to do siebie, iż cokolwiek uczyni się ze szkodą pierwszego, to wcześniej lub później doprowadzi do zguby drugiego.

Kancelarz Hitler ceni wielkość Fryderyka II, a niedawno czeił głośno i uroczystie (wodowanie pancernika) wielkość Bismarka. Obydwaj budowali wielkość Prus i Niemiec na strasznych krzywdach innych narodów, szczególnie Polski.

Pokłon bez zastrzeżeń tym dwom ludziom też wiele mówi.

Ale po Fryderyku II była Jena, a po Bismarka powodzeniach, katastrofa 1918 roku.

Czyżby rzeczywiście trudne było dla tak politycznie zajętego człowieka, jakim jest obecny rządca III Rzeszy ustalenie związku między Sedanem, a Wersalem sprzed około 70 laty, a Wersalem z roku 1919? Czyżby rzeczywiście te daty nie nie mówiły, niczego nie uczyły, żadnych nie nasuwały refleksji?''.

(*Polityka ludnościowa III Rzeszy*, Lublin 1939, str. 175).

Uczciwy człowiek na tej podstawie nigdy nie powie, że mój mąż był zwolennikiem Hitlera. Chcę także nadmienić, że w czasie okupacji niemieckiej pomagaliśmy w przetrwaniu małżeństwu żydowskiemu, inżynierostwu Mehlo, którym udało się przeżyć okupację i wyjechać na Zachód.

Mimo więzienia mojego męża przez Gestapo i później po wojnie, wychowaliśmy dziesięcioro dzieci (dwoje zmarło) w trudnych warunkach materialnych, nie posiadając majątku, daliśmy im wszystkim wyższe wykształcenie, wychowaliśmy ich na ludzi bez nałogów i skłonności do lekkiego życia, na pewno na ludzi pozytywnych naszemu społeczeństwu.

Nieżyjący mój mąż i ja staraliśmy się zawsze wpoić naszym dzieciom bezgraniczne umiłowanie Ojczyzny i poświęcenie się dla niej bez reszty. W duchu takiej właśnie atmosfery rozwijały

się ich umysły i kształtowały charaktery. Widząc błędy i wypaczenia, które narastały w naszym kraju przed przełomem na Wyrbrzeżu, synowie moi zdecydowali się na protest.

Całe życie osobiste moich więzionych synów było uczciwe, nikomu w życiu nie wyrządzili krzywdy, w miejscach pracy uzyskały pozytywne opinie, co nawet sąd wojewódzki musiał uznać.

Chcę jeszcze dodać, że syn mój Benedykt stracił żonę i dziecko w 1967 roku w czasie porodu. Choruje na żołądek od szeregu lat i w więzieniu choroba ta nasiliła się.

Drugi mój syn, Andrzej, jest żonaty, ma troje dzieci nieletnich (jedno dwu i półletnie, urodziło się dzień po aresztowaniu, drugie pięcioletnie, trzecie ośmioletnie).

Synowie moi na procesie stwierdzili, że nie przekroczyli żadnego artykułu Konstytucji PRL z 1952 roku, określającego ustrój społeczno-gospodarczy i polityczny państwa (ustrój ten jest określony w artykułach 1-14 wspomnianej Konstytucji). Zarówno sąd wojewódzki, jak i sąd najwyższy pod przewodnictwem S. Kotowskiego nie stwierdził, który artykuł Konstytucji przekroczyli moi synowie, a jedynie ograniczył się do ogólnikowego stwierdzenia, że „chcieli obalić ustrój przemocą”.

Jeszcze raz stwierdzam, że ich działalność wynikała z ich wrażliwości na wszelkie zło i z bezkompromisowości, gdy chodzi o sprawy społeczeństwa i Ojczyzny. Cechy te wynieśli z domu rodzinnego, a złożyły się na nie losy całej naszej rodziny, znaczone zawsze walką i patriotyzmem oraz umiłowaniem uczciwości.

Wiek mój (mam siedemdziesiąty czwarty rok życia) upoważnia mnie do zwrócenia się o przychylne ustosunkowanie się do prośby mojej o zwolnienie moich synów. W prośbie tej starałam się uzasadnić, że moi synowie mieli odwagę widzieć zło w kraju, zło potwierdzone później przez władzę państwową, i temu złu mieli odwagę się przeciwstawić.

Ich dotychczasowa nienaganna praca, postawa społeczna i ludzka uczciwość upoważniają mnie także do podtrzymania mojej prośby o zwolnienie ich z więzienia.

Lubow CZUMA



Stefan Kardynał Wyszyński  
Prymas Polski

Karol Kardynał Wojtyła  
Metropolita Krakowski

Do

Rady Państwa PRL  
na ręce Pana Przewodniczącego  
Prof. dr. Henryka Jabłońskiego.

Pani Lubow Czuma, zamieszkała w Lublinie, matka Andrzeja i Benedykta Czumów, skazanych na 7 i 6 lat, wnosząc do Rady Państwa PRL prośbę o zwolnienie obu swych synów z więzienia, zwróciła się do nas o poparcie swej szeroko umotywowanej prośby.

Czynimy to niniejszym, po zapoznaniu się z pismem p. Czumowej, z całą gotowością i głębokim przekonaniem, że występujemy w sprawie ludzi, których postępowanie — chociaż spotkało się z takim, jak wyżej podano, wymiarem kary sądowej — było kierowane motywami natury ideowej oraz głosem sumienia. Jesteśmy także głęboko przekonani, że spełnienie prośby matki obu skazanych nie zaszkodzi Państwu, wręcz przeciwnie, przyczyni się do podniesienia moralnego autorytetu władzy.

Dlatego też wraz z matką pp. Andrzeja i Benedykta Czumów, wdową po śp. Ignacym Czumie, profesorze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zwracamy się do Rady Państwa PRL z usilną prośbą o ulaskawienie obu skazanych i darowanie im reszty kary więzienia.

(—) *Stefan Kardynał Wyszyński,*  
Prymas Polski

(—) *Karol Kardynał Wojtyła,*  
Metropolita Krakowski.

## Sprawy i troski

### List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaproponował mi Pan napisanie o polskim Londynie, do którego z racji miejsca zamieszkania należę od ładnych kilkunastu lat. Bardzo mi ta propozycja pochlebia i duch ochoczy, ale ciało mdłe i leniwe — o jakże leniwe! Ani go napędzić, żeby się po tym naszym Londynie przeszło i popatrzyło nań z bliska jako na Soplicowo nad Tamizą. Bo — wstyd powiedzieć — nie znam go prawie wcale. To co o nim wiem, pochodzi w lwiej części z drugiej ręki — z naszej popularnej tu prasy, którą prenumeruję głównie po to, by z sadystyczną rozkoszą studiować opisy podniosłych akademii, opłatków i święconych jajek, pułkowych balów i „tradycyjnych” (a jakże!) dożynek, oraz wbijania gwoździ w parę dziesiątków lat po wojnie fundowane sztandary bojowe — jakby już nie było na emigracji sensowniejszych wydatków. A z tymi sztandarami, to dopiero hocki: wręczanie, przyjmowanie, zawieszanie, hołdy, poczty, odwiedziny i chrzestni rodzice! I przede wszystkim te gwoździe — spokoju mi nie dają, bo nie potrafię sobie wyobrazić jak pani Buba potrafi je wbić w okrągłe przecież drzewce i nie poharatać przy tym lakierowanych pazurów. Ach, jak ja bym to chętnie zobaczyła, cóż kiedy na poczytnych łamach te rzeczy wypływają dopiero po fakcie. Co zaś do mych osobistych z polskim Londynem kontaktów, to ograniczają się one do korzystania z Biblioteki Polskiej i z tej racji serdecznych dla niej uczuć jako dla najpożyteczniejszej (obok „Sikorskiego”) polskiej placówki na tym terenie, no i odrobinę mam do czynienia z POSKiem i Instytutem Sikorskiego — to znaczy wiem, gdzie się mieszczą i że im bardzo potrzeba gotówki. Uwzględniam te potrzeby, ale jeśli chodzi o składki



w ogóle — ten ważny przejaw życia Emigracji — to jestem na nie pies i na żadne surrealistyczne i pomnikowe cele nikt mnie nie nabierze — za stary ze mnie wróbel i sporo się w życiu widziało. Ale jak mnie czasem weźmie na sentyment, to lubię sobie pomarzyć o tych przyszłych pokoleniach Pielgrzymstwa Polskiego, co za sto-ileś-tam lat będą fundować pomnik w Southampton, by upamiętnić nasze tam lądowanie A.D. 1947. Dlaczegoż by nie, albośmy to gorsi? Albo znów przyjdzie mi głupia chęć, żeby w tych bogatych Niemczech, gdzie poziom życia jest o tyle wyższy niż tutaj, zorganizować zbiórkę na dzieci polskie w Anglii. Bo przecież te wojenne sieroty, na które przed laty składaliśmy jakże ciężko zarobiony grosik, mają już własne dzieci, a kto się uwinął, to pewnie i wnuki, więc ładnie by było zrewanżować się rodakom w Anglii, którzy też dość często mają dzieci. Albo ta co rusz odzywająca sprawa katyńskich wdów i sierot, żeby je niby wspomóc ze specjalnych składek. Co do wdów, to różnie bywa, złego słowa nie powiem, ale sierotki (nawet te najmłodsze, to znaczy pogrobowcy) już dobrze przekroczyły trzydziestkę, więc mogą pracować jak ja i z kogo tu robić wariata? Jak więc Pan widzi, finansowe sprawy emigracyjnego życia niewiele mają dla mnie powabu.

A więc moja znajomość polskiego Londynu jest *krugom* nader mizerna i już miałam powiedzieć, że z Pańskiej oferty nie skorzystam, aż tu przypomniał mi się jeden znajomy. Chłopak marzył o doktoracie, temat obmyślił okropnie ciekawy i dotąd nietknięty, władze zaaprobowały, zaczął poszukiwania, i cóż się okazało? Brak źródeł, gdzie nie drapnąć — wyłazi bielona ściana, istna rozpacz! I co dalej? Otóż gość poszedł po rozum do głowy i opisał swą żmudną pogoń za tym czego nie ma i jak każda poszlaka wyprowadzała go na manowce. Wsadził w to więcej chyba pomysłu niż w przeciętną tezę, no i co? Ano to, że uniwersytet rzecz docenił, uznał jej wartości poznawcze i autora godnie wynagrodził. Więc może i ja w interesującej nas sprawie? Bo jeśli nie znam polskiego Londynu, to mogłabym choć wyjaśnić tło tego zaskakującego stanu rzeczy. Bo i pomyśleć: dlaczego nie znam? Przecież już ten fakt coś chyba oznacza, nie tylko samo lenistwo, które narasta z latami i kiedyś nie było takie znów niepokonalne.

Mój poroniony romans z Sercem Emigracji rozpoczął się pod ciemną gwiazdą: ukończenie studiów na prowincji i pierwsza posada — w stolicy. Ano, dobra nasza! Mam tu dużo znajomych, adresy pogubiłam, ale wiem że studiują albo właśnie pokończyli. Najłatwiej ich znaleźć, a przy okazji i nowe towarzystwo, w Zrzeszeniu Studentów i Absolwentów. Zdobywam więc adres, zgłaszam się listownie na członka. Kolega — powiedzmy — Wiś-

niewski przysłał legitymację i żądanie składki. Cóż tak od razu, a kiedy zebranie? — Niech koleżanka przyjdzie w niedzielę po południu do Marynarzy, urządzamy herbatkę zapoznawczą, bo to właśnie początek roku akademickiego. — No to cudnie! Wsadziłam najlepszą przyrodziwę, przychodzę: stoliki poustawiane, ciasno obsiadła je młodzież — ta prawdziwa i ta łysa, ale żadnej znajomej twarzy. — Gdzie jest kolega Wiśniewski? Ach, to pan! Właśnie pisałam o członkostwo. Nikogo tu nie znam, może mnie kolega przedstawi? — Zaraz, proszę chwilę poczekać! — Siadam pod ścianą i czekam. Pół godziny — godzina — półtorej: wlaź w jakieś towarzystwo i faktycznie nie ma czasu. Tkwię pod tą ścianą jak na cenzurowanym i wstyd mnie zre, zem taki mebel. Siedzieć wstyd. Wstyd wyjść jak wypluta. Zresztą i tak nikt by nie zauważył, skupili się ciasno przy tych stolikach i włamać się między nich mogłabym chyba gwałtem. Dochodzą strzępki rozmów: marki najnowszych samochodów. Costa del Sol. Majorka. Jakaś Zocha, która — niemożliweeee, co mówicie!!! I cóż mnie to wszystko obchodzi, gołam jak ta mysz, pierwsza pensja w końcu miesiąca. Czy tacy wykształceni ludzie naprawdę nie mają ciekawszych tematów? O wiele ciekawiej gawędziło się z angielskimi studentami... Jeśli rzeczywiście nic innego was nie obchodzi, to ja też was nie chcę, nie tylko wy mnie! Wreszcie zbieram odwagę, uchodzę stąd jak zbita i przysięgam: nigdy więcej! I tak urywa się mój nie zaczęty jeszcze kontakt ze zorganizowanym polskim środowiskiem — jak to mówią? — inteligentkim. To znaczy urywa niezupełnie, bo pozwy o składki przychodzą jeszcze długo, nim wreszcie pojną, że szkoda znaczków. No cóż, czasem jest przyjemniej wsiąknąć między tubylców. Przyjawniej wiadomo, jak się z nimi stoi.

No więc tubylcy, znajomi z pracy. Z tym na obiadek, ta do mnie, z tamtym do kina, a tego nauczę jeść gryczaną kaszę albo bigos i już jest rozrywka. A jeśli kino skończy się dość wcześnie, to jeszcze zostaje wieczór do zabicia i jakby go ciekawie spędzić? Kolega jest Słowian ciekawy, doskonale zna rosyjski z sowieckim włącznie, rozumie cokolwiek po polsku i nawet „Pana Tadeusza” czytał, aczkolwiek w tłumaczeniu. — Chodź, pokażę ci takie miejsce, do którego sam byś nie trafił w Londynie! — Wchodzimy do słynnego lokalu, towarzyskiego serca Emigracji. Od drzwi lustruje nas wiele bacznych oczu, ale nic widać ciekawego, przerwana rozmowa zaraz leci dalej. Wytworne wnętrze, wytworny półmrok — litościwy dla pani Buby i pani Lali, pana wojewody i pana pułkownika. Panowie formalnie na ciemno, panie wystrojone, obwieszane kolczykami, łańcuszkami, chomątami, brzękadłami. Szpilki, szpony i rzęsy, apetyczne karczki i dekolty, miny i tony: prawdziwy *high life!* Krzyżują się rozmowy, wezwa-



nia do pana senatora i pana starosty, Mizi, Dudy i Buli. Mój Anglik cały zamienił się we wzrok, wbrew zwyczajom tej nacji, która (inaczej niż u Słowian, co ludzie sądzą po ubraniu) na stroje i na fryzury się nie wygapia. Strzyże uszami, cokolwiek pojmuje, ale nie bardzo. Rozmowa nam się nie klei, bo to ciągle: — *What is „pan starosta”?* *Did you hear that one?* *And „pan prezes”?* — Nie nudź, pij tę cienką herbatkę, która tu kosztuje tyle, że gdzie indziej starczyłoby i na ciastko! — *But it is fascinating, just listen!* — Trudna sytuacja, ja jestem nieco zażenowana — przecież też przyszłam tu pierwszy raz i niebardzo wiedziałam, czego się spodziewać. Chciałabym już wyjść, a ten nic tylko *fascinating*. Wreszcie wywabiam go obietnicą pokazania jeszcze innego lokalu. Wychodzimy, pytam czy zadowolony. — *Oh, yes!* Nawet mu się nie śniło, że taka egzotyka pełni się w sercu Londynu, przy tych ulicach, którymi co dzień chodzi ani podejrzewając, jakie dziwności kryją fasady tych jednakowych, nudnych domów w dzielnicy S.W. I konkluduje z nieco złośliwym uśmiechem, że ten gorzki chleb wygnańczy, *bitter bread of exile*, nie jest znów taki gorzki. I tak docieramy do znanej kawiarni przez rodaków gęsto okupowanej. Wchodzimy — i wszystkie oczy kleją się do nas, lustrują od stóp do głów. O, niedobrze, czemu zaraz każdy ma wiedzieć, że poszło mi oczko w pończosze, torebkę mam z plastyku i mój tani płaszcz pochodzi z C&A, a kolega też nie oglądał Savile Row? Ale rentgeny już spenetrowały, gdzie kupione i za ile, chyba nawet wiedzą, że bieliznę kupuję w tandeciarni Littlewooda. Z tremy potykam się o krzesło, siadamy, nad nami porozwieszana wypłowiła Etnografia Polska: tańczący krakowiacy, górale w prysiadach — jednym słowem można się nadyszeć Ojczyzny i myśli nasze mkną w dal, do tych strzech kochanych... A w pobliżu, na malutkich krzeselkach, cudem wciśnięte za malutkie stoliki, siedzą wystrojone, tęgie matrony i wbijają w krzyże wielkie, tłuste ciacha, mniam-mniam oblizują łyżeczki z tłustego kremu. Obok panowie ciemni i niepozorni. Z tej strony rozmowa dotyczy cen nieruchomości i lokatorów, że z nich takie, panie tego, kanalie. Z tamtej burzliwie dojrzewa jeszcze jeden kryzys partyjny czy rządowy, trudno wyrozumieć. W pobliżu panie omawiają imieninowe przyjęcie u Luli i są oburzone, że skąpa jak pies, alkohol rozrabia soczkiem, do bigosu wrzuca takie oberchapki, że to sklepy wyprzedają po parę pensów — skonałyby ze wstydu, gdyby to u nich! A jeszcze te jej stroje, fupy i tony: przewrócone we łbie jak w pustej stodole, wszyscy to mówią! Potakuje chór współczująco-zadowolonych głosów, wyjątkowo wszyscy się zgadzają — szkoda, że nie w innych rzeczach! Co rusz ktoś wchodzi i wychodzi i następuje gremialne całowanie rączek: mniam-mniam, a pod tamtą ścianą,

pod krakowianką zadartą aż majtki widać (jaki to nasz lud postępowy!) — rozsiadła się królowa towarzystwa — bardzo tęga, szpakowata i od stóp do głów spowinięta w kolor różowy zwany tu *shocking*. Siedzi jak świętek, ręce sztywno wyciągnęła na boki i jacyś pierniczkowe tłoczą się do całowania. Mój Anglik cały zmienił się we wzrok i zagapił, jak się tu nie zdarza. Chce wiedzieć, co właściwie oznacza i jaki jest regulamin całowania rączek: kto kogo i kiedy? I czy aby ja tego samego po nim nie oczekuję. Ładne rzeczy — jeszcze sobie wyobrazi, zem go tu przyprowadziła na naukę manier!

Tak więc nieapetycznie zaznajamiałam się z polskim Londynem. Od tamtej pory nie zachodziłam do pomienionych lokali, wołę bezpretensjonalnego Lyonsa czy ABC. To znaczy, nie liczę nader rzadkich wypadów do polskiego teatru, bo wtedy wali się prosto na górę i potem prosto do domu. Tu zresztą też można zaobserwować osobliwe zwyczaje, bo te różne wymizdrzone paniusie, co tak zawzięcie plotkują na korytarzu, z wejściem czekają na ostatni dzwonek. Wtedy urządzają Królewski Ingres, posyłają znajomym pa-pa, rzędy widzów wyhopsują z miejsc i robi się raban — właśnie o to chodzi, teraz już każdy będzie je musiał oglądać czy chce, czy nie. Za każdym razem przysięgam sobie, że ostatni raz narażam się na to chamstwo, ale przejdzie rok-dwa i znów coś skusi, bo to widziałam tam kilka dobrych sztuk dobrze granych i przy nadzwyczaj pomysłowej dekoracji, nie tylko tę okropną rewię, na której publiczka zaśmiewała się z licznych dowcipasów i było mi wstyd, że tu siedzę — ale przecież nie sposób wszystkich zdysturbować żeby uciec.

No dobrze, powie Pan, ale przecież są różne polskie organizacje i każdy może coś sobie dobrać wedle gustu. Tak, to prawda, ale wie Pan — nie próbowałam. Po prostu brak mi odwagi, może zresztą niesłusznie. Bo to znam Rodaków nie od dziś, a już zwłaszcza mnie odstrasza to powszechne umiłowanie gadulstwa branego za czyny. Bo do gadania, to mam jakąś alergię, usiedzieć nie mogę i krew uderza do głowy — po prostu bym mordowała. Najwspanialszym wykwintem brania słów za czyny są oczywiście (podniosłe!) akademie — *nota-bene*, czyż samo przeniesienie na te imprezy nazwy szanownej instytucji naukowej nie jest wysoce znamienne? Nie udało mi się wyświecić genezy tego obrządku, czegoś jednak podejrzewam szkolny teatr jezuicki. Ale pora wrócić do rzeczy. A więc akademie — rodzaj nabożeństwa nieznanego (o ile mogę stwierdzić) poza kręgiem słowiańskim i okolicą. W swej klasycznej polskiej postaci blisko spokrewniony z sowiecką galówką i innym pobratymcom też nieobcy. Jak kiedyś zaczęłam rzecz opisywać jednej Serbce, to aż się rozpromieniła, że a jakże, my też! To samo brat-Czech, a nawet bratanek-



Węgier: od razu wiedział w czym rzecz i imieniem swego narodu przyznał się bez bicia. A brat-Ukrainiec, to mało z radości nie zapłakał, że takutko-takutko, i my nie gorsi! Tylko na ludach bałtyckich do tej pory nie miałam okazji wypróbować, ale coś mi szepce, że przynajmniej bracia-Litwini (może przez nasze wspólne tradycje kulturalne?) poczuliby się jak w domu.

Dawniej to, wie Pan, czasem na akademie chodziłam, oczywiście nie żeby się wzruszać, tylko z wrodzonego sadyzmu. Ale już dawno przestałam, bo to tak, jak z westernem: zobaczysz dwa-trzy i znasz wszystkie. Bo i czego się więcej spodziewać? Te rozwlekłe bez końca prelekcje, anemiczne ideologie, co płoną w biustach przytomnych tu polskich matron i wyleniałych katonów. I ta gwałtem patriotyczna dziatwa deklamująca z paskudnym akcentem, i milusińscy wyanieleni za pseudokrakowiaków i pseudogórali („stroje narodowe”), śpiewające paniusie w białych bluzeczkach, sztandar albo dwa przyprowadzony tu z lamusa na spacer — cały ten kram, sam Pan wie, to co mam papier marnować? Ta więc tragifarsa jest brana za Czyn, za szczytne spełnienie obowiązku wobec Ojczyzny, i potem wraca się do domu w podniosłym nastroju, z dobrym apetytem, niczem ze zwycięskiej bitwy i już się wie po co zostaliśmy na obczyźnie — walczyć za Polskę! Ale niech-no Ojczyzna-bidusia zażąda groszka na coś rzeczowego: na Bibliotekę czy remont pomieszczenia dla sztandarów (tych prawdziwych, pod którymi ludzie ginęli, a nie tych lipnych od pani Buby, które prawem kaduka zawiesza się z hecami obok tamtych), albo choć na poparcie emigracyjnej książki i prasy, to oho! Wtedy, jak nagabywany przez klienta warszawski kelner, ogląda się za siebie i woła „kolega!” A czy wie Pan, do jakiego stopnia zostaliśmy przez ten klimat umysłowy otepieni? Ale najpierw pozwolę sobie na małą dygresję.

Pewno Pan pamięta, jaka za prezydentury Kennedy'ego była heca, gdy powstało nonsensowo-nieprzetłumaczalne *Society for Indecency to Naked Animals* (SINA) i w imię hasła „przyzwoitość dziś znaczy moralność jutro” rozpętało ogólnokrajową kampanię o nakładanie majtek zwierzętom domowym, że to dzieci patrzą i w ogóle. Lokalne oddziały wyroiły się po całych Stanach, wiece i orkiestry, parady i transparenty, ulotki i apele. Nawet pod Białym Domem stały pikiety, domagające się, żeby pani Kennedy przysłoniła nagość swych domowych ulubieńców i dała przykład amerykańskim matkom. Trwała ta zabawa kilka lat i wreszcie pękło, gdy wyczerpany nią inspirator, niejaki Alan Abel, satyryk, pisarz i nałogowy wygłaszacz odczytów, otrąbił odwrót. A więc huragany śmiechu, wrzaski oburzenia, figlarz zrobił się sławny, wywiady radiowe i telewizyjne i nic, tylko go patroszą: czemu tak brzydtko żartował i czego to niby do-

wiodło? Zresztą sam zaraz napisał książkę i wyjaśnił, że dowiodło bardzo wiele i bardzo smutno, a mianowicie że żeby nie wiem jaki wariat zaczął umiejętnie propagować nie wiem jaki idiotyzm, to łatwo może zwariować znaczną część narodu i nawet ludzie poważni wezmą go na serio, a w każdym razie nie poznają się na zabawie. Z czego widać, że prognozy na przyszłość są czarne: pole otwarte dla Hitlerów i innych maniaków.

Strasznie mi ten Amerykanin zaimponował, ale gdzie tu marzyć o zafundowaniu sobie takiej zabawy? Ale jednak raz pewnego zebrało się dwuosobowe grono ludzi dobrej woli i, na wzór SINA przybierając idiotycznie zawiłą nazwę jakiegoś komitetu, wyprodukowaliśmy powieloną ulotkę, że organizujemy konkurs na najlepszą akademię, jaka w ubiegłym roku odbyła się na tej Wyspie. Program ma obejmować: podniosłe przemówienia, występy chórów Apollo, Harfa, Lutnia i Eol, dziatwę w strojach narodowych, żywe obrazy, tańce i deklamacje, i że ta impreza będzie trwała trzy tygodnie w Albert Hallu, po trzy akademie dziennie. Konkurs zakończy się powtórzeniem trzech najlepszych akademii i wręczeniem zwycięskiej ekipie Wielkiego Pucharu Emigracji. No i na koniec dodaliśmy, że niniejszym uprasza się Łaskawego Adresata o wzięcie udziału w jury konkursu. Rozesłaliśmy to-to do osób poważnych i rozzarniętych, i wie Pan co? Nikomu nie przyszło do głowy, że ta monumentalna bzdura, to Prima Aprilis, choćby już dlatego, że na trzytygodniowe zablokowanie Albert Hallu nawet Billy Graham nie mógłby sobie pozwolić. Odpisali, że z takich czy innych powodów nie będą mogli! I może Pan zapyta, jak pytano tego Amerykanina, czego to dowodzi...

Ale dość o akademiach, chciałam tylko wskazać na ich skutki psychiczne i przy okazji wyjaśnić, czemu nie należę do żadnej organizacji. Tu można przerwać, że no dobrze, ale jeszcze są przecież organizacje lokalne — parafie ze swym własnym życiem towarzyskim. O tym też coś wiem, bo parafię mamy pod bokiem, docierają stamtąd do nas echa wypadków i powielane biuletyny. I robi się smutno — mój Boże, czemu ta Emigracja jest tak żenująco sklerykalizowana, że dawno przestało to mieć coś wspólnego z religią i zmieniło się w zbiorową bezmyślność. Księża rządzą jak na własnym folwarku i nawet na nikłe myślenie, jakie jest w pewnych ważnych prawach, zrobili sobie monopol. Przecież nawet wobec naszego narodu i pokrewnych mu nieszczęśników nieprzyjazne gesty Watykanu i jego dostojników bierze się tu za dobrą monetę — ba, za dowód ojcowskiej miłości do tej Polski, co to *semper fidelis!* A nasze gazetki nie odważą się na jedno krytyczne słowo, bo prenumeratorzy się obrażą i co wtedy? Przecież



to przeraża — naprawdę przeraża! Nie pomienione gesty, o których Pan sam wie, a ja rozumiem, bo widzieliśmy już nie takie rzeczy i trudno nas zadziwić, tylko ten terror zbiorowej bezmyślności. Bo i jakież mogą być z tego prognozy na przyszłość? Jednym słowem, chciałam wyjaśnić, że lokalny szczebel organizacyjny też nie wygląda zachęcająco.

Jak więc Pan widzi, daleko odbiłam od polskiego środowiska, a zgubić się nie jest trudno wśród ośmiomilionowej ludności (w tym pół procent Rodaków) rozsianej na 1.610 km kwadratowych Wielkiego Londynu. Zwłaszcza że, ceniąc sobie względnie świeże powietrze, mieszkam daleko na przedmieściu, co ciągle jeszcze jest nietypowe, choć ideologia kamienicy nabitych lokatorami, którzy te kamienice spłacać mają za zadanie, zaczyna po maleńku tracić na rzecz ideologii tych buntowników, co kochają przytulne małe domki i dostają dreszczy na myśl o lokatorach, nawet jeśli za te gniazdko przyjdzie płacić własną pracą. Ci więc anarchiści opuszczają polskie getta i dążą ku zabudowanym pomienionymi domkami peryferiom, co zresztą ma tę słabość, że można tam lata przemieszkać i nie wiedzieć, że za rogiem żyją sobie cichutko jacyś całkiem do rzeczy rodacy, którzy doskonale nadaliby się na przyjaciół — bo przecież i tacy muszą gdzieś być, no nie? Jeśli jednak chodzi o mnie i moje wsiąknięcie w świat tubylczy, to skutkiem tego jest fakt, że wobec Rodaków *en masse* nabrałam dystansu i patrzę na nich okiem cudzoziemca, z tym wszelako plusem, że rozumiem pogawędki, gdy gdzieś *incognito* zejdziemy się w tłumie, i to rozumienie oraz niejaka znajomość tła rozszerza me cudzoziemskie pole widzenia. Najczęściej ma to zastosowanie w podziemce, w tych arteriach zewsząd dążących do serca Londynu, które łączą i równają wszystkich ludzi. Zwłaszcza na liniach biegnących od zachodu: czerwonej i liliowej, błękitnej i zielonej. Ich odcinki między śródmieściem a Wembleyem, Actonem i Ealingiem — zwłaszcza Ealingiem — leżą Polskim Korytarzem, który obsiadło 32 procent tutejszych Rodaków i który wybucha wspianiałym fajerwerkiem polskości na South Kensington z przyległościami. Jest to region, gdzie przez długie lata ziemia się trzęsała od kryzysów i przesilen rządowych, zmian ministerialnych z teką i bez teki, rozłamów partyjnych, *liberum veto*, orderów i awansów (znam faceta, co wojnę przewalczył jako sztubak w gimnazjum, a teraz biega za majora, a nawet — *hear! hear!* legionistę Piłsudskiego!), od konsultacji, rokowań, oświadczeń i uchwał uroczyście podejmowanych w naszym imieniu i dla naszego dobra. A tym czasem my, pochłonięci zjadaniem chleba, jak by nigdy nic przejeżdżaliśmy co dzień pod tym wszystkim, ileś-tam metrów w bebeczach dzielnic S.W.7 czy S.W.1, niczem pasażerowie łodzi podwodnej nieświadomi burz

szalejących na powierzchni. Albo jeszcze gorzej: świadomi i szyderczo uśmiechnięci.

Otóż najczęściej widuję Rodaków w kolejce i te powtarzające się od wielu lat obrazki pozwalają wyodrębnić niektóre zjawiska charakterystyczne dla Polonusa angielskiej odmiany i zachodzące mutacje lub przeciwnie — niezłomny konserwatyzm, tę oznakę wierności wobec dalekiej Ojczyzny. A więc w niektórych sferach, oczywiście tych starszych, nieznamość języka tubylców jest dotąd symbolem patriotyzmu, czasowości naszego tu pobytu — że to niby cały czas na walizkach w drodze do Wolnej i Niepodległej. Jak ten pan w piłśniowym (skąd oni to biorą?) kapeluszu i z orderowymi wstążkami, który głośno na cały wagon zapewniał towarzysza podróży: — Ja tu, panie, od wojny, a czytam tylko nasze gazety. Ja, panie, ani słowa z tego ich psiego języka, mówię panu: ani słowa! — I strasznie mu zależało, żeby o to jedno choć słowo nikt go nie posądził. Albo ten starszy Polonus, ubrany po tutejszemu, solidnie — widać od dawna osiadły, który dotąd zdołał uniknąć języka gospodarzy, choć nie zdradza ideologicznych przeciwko niemu oporów. Ten jest bardziej typowy, więc warto opowiedzieć jak było:

Pewnej zimowej soboty, gdy zapadał mrok i gruba szadź okryła świat, los mnie zagnał na pusty peron „polskiej” stacji Ealing. I raptem tak mnie naszło, wstyd powiedzieć, że wyłuskałam paluch z rękawiczki i w tym mroźnym futrze na tablicy z nazwą stacji wyryłam wielkimi literami: DUPA. I zaraz-że nadeszła jakaś starsza para, pani poszła dalej, a pan dostrzegł napis i stanął. Wyjął okulary, przetarł i głośno wysylabizował: DE-Ū-PE-A. Zastanowił się, powtórzył i woła za towarzyszką: — Słuchaj-no, Zosieńko, co to znaczy po angielsku? — Mówię Panu, myślałam że skonom i utkwiło mi to w pamięci jako zjawisko o głębszym sensie psychologiczno-obyczajowym.

Innym ciekawym fenomenem jest spanienie Emigracji, w której pierwotnie obliczano nie-inteligentów na jakieś 85 procent. Jest to proces nader ciekawy i różnicowany, który dotąd czeka na swego dziejopisa. W pierwszych latach, gdy nowonabytą pańsność podkreślało się, na sposób słowiański, „bogatom” ubiorem, w kościołach i miejscach publicznych widywało się liczne całkiem nieprawdopodobnie wystrojone czupiradła, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, tak wytworne jak dziś Murzynki w niedzielnym rynsztunku. Ale lata idą, przyzwyczailiśmy się do dostatku odzieży i trzeba przyznać, że teraz miejscowy tłum polski upodobnił się do tubylców i wygląda całkiem kulturalnie, a indywidualne wyskoki można z wielką dozą prawdopodobieństwa przypisać gościom z kraju, co świeżo zachłyśnęli się bogactwem kapitalistycz-



nej mody. Ale to wykulturalnienie zewnętrzne nie musi oznaczać, że pod nową skorupą nie kryje się stary człowiek, nawet jeśli w międzyczasie zdobyło się tu wykształcenie i kwalifikacje zawodowe. Starczy przerzucić się na chwilę do ojczyzny-polszczyzny, a spod fasady angielskiej *middle* wylezie ta dawniejsza polska *working class*. Jak ta para, co w godzinę szczytu zeszła się na peronie stacji Hammersmith, ani podejrzewając że obok stoi rodaczka. Pan w eleganckim ciemnym garniturze i z teczką (nie tą polską, rozepchaną prowiantami, tylko zachodnią, płaską i służącą do papierów) i gustownie ubrana pani w średnim wieku. I zaraz: — Jak się masz, Jureczku, dawno nie widziałam, co się z tobą działo? — Byłem w szpitalu, ... mi krajali (tu następuje apetyczny opis, dodatkowe pytania i wyjaśnienia). Bardzo ją widać zdrowotne tematy obchodzą, a przy tym nie chce być gorza. Ledwo doczekała końca i wybucha, że co za zbieg okoliczności, bo jej też właśnie krajali, macię (tu następuje apetyczny opis, dodatkowe pytania i objaśnienia). Mówię Panu: na peronie był tłok, odejść nie było gdzie, i gdyby pociąg miłosiernie nie nadjechał, to bym chyba pojechała do rygi. A spojrzeć na nich — całkiem dystyngowani *professional people!* I takich jest sporo, chyba każdy zna. Albo ten typ, z którym regularnie jeżdżę do pracy, bo wsiada do ostatniego wagonu. Gość w średnim wieku, melonik, garnitur w prążki, teczka i zwinięty parasol — jednym słowem *businessman* z City. Gdyby nie to, że czasem czyta polską gazetę, to bym nie zgadła że rodak. Więc jak tylko wejdziesz do wagonu, to wybucha istna orgia czosnku, po prostu można powietrze krajać i schronić się przed tym nie sposób. Zawsze przesiadam się demonstracyjnie, aby jak najdalej, a on mi śle niechętnie spojrzenia — widać, że to jakaś historyczna Angielka, co się nie zna na dobrej kuchni. I warto podkreślić, że to nie unikat, nie takie to niezwykle wśród Rodaków. A już jak na Wielkanoc lud otworzy w kościele usta do „Wesoły nam dziś dzień nastał”, to można zbiec do środka ziemi!

Sprawy polityczne też często schodzą do podziemi Londyńskiego Transportu, jako że nasi mężowie stanu rzadko niestety dysponują ministerialnymi limuzynami i muszą korzystać z miejskiej komunikacji. Jak Pan wie, niedawno, ku radości Narodu Polskiego, wreszcieśmy się zjednoczyli. Rodziło się to długo i boleśnie, a ja byłam tego poniekąd świadkiem podczas swych podróży przez wnętrza S.W.7. Co rusz wsiadali panowie w uroczystych ciemnych strojach, o dyplomatycznej powierzchowności i z teczkami kryjącymi, obok kanapek, rzeczy ściśle tajne — od razu poznać statystów. Rozprawiali o stronnictwach historycznych, frakcjach i odłamach i okropnie się spieszyli na konsultacje. A już najlepsza była ta para: mąż stanu z mężem niż-

szego rządu, jakby dawnym podkomendnym. Ten ważny zdawał sprawę z przebiegu zawitych i żmudnych rokowań, oraz ze stanowiska w sprawie formalnej reprezentowanego przez siebie ugrupowania, a tamten słuchał z unizonym szacunkiem, miną i gestem podkreślając co mocniejsze punkty *exposé*. Siedziałam naprzeciw zafascynowana, walcząc o obojętny wyraz twarzy, aż wysiedli na South Ken. Ach, gdyby Pan to widział! Nie sposób opisać — tylko filmować. I co za nieuwaga, żeby tak w miejscu publicznym — wróg ma długie uszy. Potem mnie dręczyło, czy by podsluchanych spraw państwowych nie sprzedać pewnej ambasadzie — podobno kupują wszelką tandetę...

A goście z kraju! Poznaje się ich po chronicznie podniesionym głosie i zawziętej gestykulacji, jakby się zaraz mieli pobić, a także po topornym obuwiu, rozepchanych watołiną kapotach i stu innych szczegółach ubioru. No i po charakterystycznych zainteresowaniach — jak ten pan, którego tutejszy rodak (tweedowa marynarka, spodnie z szarej flaneli — w Polsce nie do pomyślenia, musi być garnitur) włókł przemocą na zwiedzanie Londynu, opowiadając mu po drodze o tutejszych galeriach obrazów. Mówię „przemocą”, bo tamtemu ani w głowie były te galerie i ledwo ten tweedowy przystanął dla nabrania tchu, tamten z miejsca podejmował przerwany monolog o nabyciu płaszczka z „materii skóropodobnej” i odcinków nylonowej koronki na suknie, która w przeliczeniu na złote — i te pe, i te pe. Albo znów ci, co omawiali zakup za £ 150 jakiego Anglika, żeby się ożenił z kuzynką na krótkim urlopie, która za wszelką cenę chce tu zostać, no i żeby się we właściwym czasie zgłosił do rozwodu. Albo — ale nie, tego nie powtórzę, nie chcę mieć na sumieniu rozbitych małżeństw. Ach, Rodacy! Gdybyście wiedzieli jak Was łączywie słucham, zamaskowana pod swą cudzoziemską skórą i znudzoną miną, to zniżałibyscie głosy — jak ta pani, która demonicznym szeptem ostrzegła męża: — Ciszej, tam siedzą Polacy! — co zresztą wcale nie dotyczyło mnie przytajonej pod jej bokiem.

A jeszcze... Ale stop, dość kalać własne gniazdo, bo wzburzony lud wywlecze mnie z mej pustelni i powiesi na własnej jabłonce. Zresztą i tak się więcej nie odważę, nawet (jak mawiał pan Adaś) *inkoguto*, pokazać swej wrednej maski na szlakach uczęszczanych przez Rodaków. Albo jeszcze gorzej: *vox populi*, nieomylny przecież jako *vox Dei*, ogłosi mnie za reżymową wtyczkę. Albo że się sprzedawałam Anglikom. Albo oba naraz, bo przecież jedno drugiego wcale nie wyklucza.



## Kaplica Matki Boskiej Dalekich Mórz

Do

Zarządu Muzeum Morskiego  
G D A Ń S K  
POLSKA

Wielce Szanowni Panowie.

Jeśli zwracam się do Panów w poniżej opisanej sprawie, to dlatego, że nikt inny nie zrozumie lepiej od Was uczucia, które mną kieruje.

Prócz jednego z was, który 40 lat temu przypadkowo był obecny przy naszym wyjeździe z Gdyni na „Dali”, nikogo z Panów nie znam osobiście, lecz kilka lat temu, dzięki pewnej wymianie listów, miałem sposobność zrozumieć poziom naukowców-historyków, do którego należycie.

Będąc tylko prywatną osobą, uważam więc że byłoby przesadne z mojej strony zwracać się w tak drobnej sprawie wprost do waszego Rządu, za to Panowie — którzy są instytucją rządową — potrafią może poprzeć, a potem pokierować moją sprawą.

Wkrótce — dokładnie mówiąc 5 czerwca bież. roku — będzie czterdzieści lat jak „Dal” wypłynęła z Gdyni, w drodze przez Atlantyk.

Od dwudziestu lat mieszkam z żoną na odludziu w Kanadyjskich Górach Skalistych, zajmując się hodowlą koni. Ze względu na mój stan zdrowia i wiek (mam 72 lata), a Świechowski mi pisze z Płdn. Afryki, że dochodzi wkrótce do emerytury, możliwe jest że jeden z nas zniknie z powierzchni tego świata przed końcem następnego dziesięciolecia.

Chciałbym więc uczcić datę 1973 roku, wzorując się na starych zwyczajach polskich, w myśl których po przeżyciu wyjątkowo ciężkich, przykrych lub szczęśliwych wydarzeń, wyrażano swe uczucia wdzięczności lub żalu, lub wiary w przyszłość, budową kaplicy.

Myśli te doprowadziły mnie do pewnej decyzji — mianowicie gorąco, bardzo gorąco chcę Was prosić, abyście wystarali się o zezwolenie na budowę kaplicy pamiątkowej na ziemi ojczyściej, w Gdyni, przy morzu.

Nic nie potrafi lepiej wyrazić całego kompleksu uczuć, które chciałbym w całości wymienić, gdyż nie chodzi tylko o wspo-

mnienie przeszłości, ale również wiarę w Przyszłość Polski na Morzu.

Toteż proszę aby ta kaplica była pod wezwaniem Matki Boskiej Dalekich Mórz.

O ile moja prośba będzie przyjęta i zezwolenie na budowę otrzymane, kogóż mógłbym prosić o zajęcie się budową kaplicy jeśli nie specjalną Komisję, wyłonioną z waszego grona, wraz z ewentualnie dokooptowanymi osobami, specjalistami.

Ze swej strony pozwolę sobie wówczas przesłać Szanownym Panom na ten cel sumę Dol. 5.000 (pięć tysięcy).

Jeśli pod koniec budowy trudno Wam będzie koniec z końcem związać proszę mnie zawiadomić, a postaram się jeszcze coś wyskrobać. Ze względu na to, że kaplica będzie dla ludzi morza, lub względnie z nim związanych, może znajdą się ludzie, którzy by chętnie chcieli zaofiarować swoją pracę przy budowie? Nazwiska tych ludzi, względnie załóg, zespołów itd. winny być umieszczone na tablicy pamiątkowej.

Należy jednak pamiętać że akcja ta jest ściśle prywatna — wśród ludzi morza, pod żadnym więc pozorem nie powinna nabrać cech publicznej składki, zwłaszcza obecnie gdy istnieją instytucje kulturalne, które potrzebują funduszy z publicznych składek — na przykład Muzeum Morskie w Gdańsku.

Absolutnie nie orientuję się co za pięć tysięcy możecie zrobić; posyłam Wam w załączeniu ewentualne planiki, ale czy się nadadzą?

Sprawa do Waszej decyzji...

Jestem obecnie na kuracji, wracam do domu w marcu, najpóźniej kwietniu. Gdyby coś z mojej inicjatywy wyszło, obiecuję — o ile moje zdrowie się polepszy — przyjechać na poświęcenie kaplicy, no i zrobię wszystko co mogę, aby Świechowskiego namówić.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku,

A. BOHOMOLEC

*Notatka do planów do kaplicy Matki Boskiej Dalekich Mórz  
w Gdyni*

Planik ten jest luźnym projektem, który naszkicowałem.

Projekt jest połączeniem zarówno najnowszych jak i bardzo starych koncepcji budowlanych.

Symbolicznie ten mini-kościółek nowoczesnych kształtów to nowe pokolenie, to nowa koncepcja Marii Dalekich Mórz...

Dzwonnica zaś — to stare pokolenie — wzorowana jest na starych kościelnych polskich wieżach warownych XV wieku — obrona wybrzeża.

Dwa, ściśle związane z morskimi celami, detale Kaplicy leżą mi na sercu: wąskie, długie okno za ołtarzem, umieszczone w ten



sposób, aby ludzie w kaplicy widzieli wyłącznie najdalszą część morza — horyzont i niebo.

Właśnie na tym tle winna być odprawiana msza.

Jak najmniej przedmiotów na ołtarzu, tak aby nawet niepraktykujący mógł przyjść, sięść na ławie i pomedytować w gronie swoich...

Przywilej dla tej kaplicy: aby w czasie wielkich sztormów, niezależnie od pory dnia lub nocy, mogły być odprawiane msze, tzw. „Msze sztormowe” o ile w nocy — przy zwykłych, naftowych lampach sztormowych.

Głęboko wierzę, że tego Kardynał-Prymas nie odmówi...

## Wznowienia

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

### KRĄG PIERWSZY



Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704.

Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £ 5,25)



TOM 228 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

### ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Wydanie drugie

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 4,30)

## Z teki informacyjnej

### Świat nietrwałego firmamentu

Pytanie kiedy, jak i dlaczego powstał nasz system planetarny, jakie są mechanizmy operujące jego funkcjonowaniem, czy i jakie istnieją związki między stanem tego systemu a schematami wydarzeń społecznych, czy indywidualnych, zaprzęta umysły bez porównania liczniejsze, niżby się to z pozoru mogło wydawać uzasadnione. Staje się nawet podstawą i motywem coraz liczniejszych ruchów kulturalno-społecznych.

Wyobrażenia i hipotezy kosmologiczne stanowią podstawy każdego systemu kulturalnego i cywilizacyjnego. Nowoczesne, „naukowo uzasadnione” wyobrażenia kosmologiczne można z grubsza podzielić na dwie grupy, które dla uproszczenia nazwiemy ewolucyjne i rewolucyjne.

Do pierwszej należą wszystkie odmiany teorii kosmologicznych, które, historycznie biorąc, można by wywodzić od idei Arystotelesa i Ptolomeusza: uporządkowanego, stałego, logicznie i matematycznie trwałego mechanizmu wszechświata. Najwybitniejszym współczesnym architektem i rzecznikiem kosmologicznej teorii „stanu stałego” (*steady state*) jest prof. Fred Hoyle (oraz H. Bondi i T. Gold). Teoria ta przyjmuje hipotezę (Hubble’a) rozszerzenia się wszechświata, konsekwentnie wynikającą z obserwacji wzrastającego dopplerowskiego przesunięcia się widma ku czerwieni (*red shift*) wraz z oddalaniem się ciał kosmicznych w przestrzeni. Przyjmuje też założenie ewolucyjnego rozwoju gwiazd i galaktyk, które powstają, starzeją się i giną, ale stoi na stanowisku, że mechanizm tych przemian jest niezmienny i że mimo „lokalnych” odchyień, wieczny i odwieczny wszechświat, jako całość, zachowuje trwałą strukturę i ma stałą średnią gęstość materii. Rozszerzanie się wszechświata jest zrównoważone stałym formowaniem się („stwarzaniem”) materii, tak że w każdym okresie czasu każdy obserwator będzie widział wszechświat zupełnie taki sam, o takiej samej strukturze i gęstości.

Nowopowstająca materia pojawia się tylko w postaci atomów



wodoru, pierwiastka podstawowego, wszechobecnego i zdolnego do ewolucyjnych przemian. Teoretycznie można obliczyć, że w przestrzeni zajmującej objętość jednego metra sześciennego jeden atom wodoru musi stwarzać się raz na milion lat aby rozszerzenie się wszechświata było całkowicie zrównoważone.

Drugą grupę „rewolucyjnych” teorii kosmologicznych, można by wyprowadzić z poglądów Heraklita, który nie uznawał stałości i doskonałości mechanizmu wszechświata, uważając że kosmos podlega nieoczekiwanym i nagłym przemianom. Po okresie zagłuszenia przez poglądy Arystotelesowskie (Ptolomejskie i Tomicjańskie) rewolucyjne idee zaczynają się odnawiać już u schyłku średniowiecza. Kardynał de Cusa stwierdzał że ziemia wcale nie jest doskonałą kulą, a jej orbita, tak jak orbity innych planet, wcale nie jest doskonałym kołem. Rzecznikami nowocześniejszej postaci teorii „wielkiego wybuchu” (*big bang*) są Abbé G. Lemaitre i G. Gamow. Według tej teorii wszechświat wcale nie jest wieczny ani odwieczny, został on stworzony w jednej określonej chwili, w której powstał nagle jeden pra-atom zawierający w sobie całą materię i energię całego wszechświata i, będąc „radioaktywnym”, uległ w tej samej chwili rozpadowi. Stanowiło to olbrzymi, niewyobrażalny wybuch, który rozrzucił fragmenty materii — mgławice, galaktyki — w różne strony i z niejednakową szybkością, co właśnie sprawia, że, w obserwowanym dziś rozszerzaniu się wszechświata, fragmenty wyrzucone z największą szybkością znajdują się obecnie na skrajach. W tym wypadku, z szybkości poruszania się tych fragmentów można teoretycznie wyliczyć jak dawno ów „wielki wybuch” musiał nastąpić, a więc określić wiek wszechświata. Wynosi on około 20 G lat (G=giga, czyli tysiąc milionów. Wiek ziemi, obliczony metodą pomiarów radioaktywności izotopów wynosi około 5 G lat).

Ostatnio mnożą się różnorodne dane obserwacyjne trudne do wytłumaczenia w ramach teorii „stanu stałego”. Wydają się one przemawiać na korzyść rewolucyjnej teorii „wielkiego wybuchu”. Pośrednio wytwarza to również bardziej przychylne nastawienia wobec „rewolucyjnych” — czy jak w tym wypadku mówi się — „katastrofalnych” teorii powstania systemu planetarnego i rozwoju poszczególnych planet z ziemią włącznie.

Być może iż stanowi to jeden z czynników ponownej, wzmocnionej fali zainteresowania spekulacyjnymi teoriami Velikovsky'ego. Jego zwolennicy (coraz liczniejsi) uważają dzieje tego autora za nieomal powtórzenie sprawy Galileusza, z tym że przypisują mu znaczenie naukowe i społeczne większe. Przeciwnicy (wcale poważni) skłonni są traktować jego tezy za „pseudonaukowe” brednie, i uważają że jego praca ma źródło, charakter i znaczenie podobne do głośnych niegdyś teorii Ignatiusa Donnelly.

Dr Immanuel Velikovsky, urodzony w Witebsku w końcu ubiegłego stulecia, odbywał studia medyczne w Montpellier, w Edynburgu i w Moskwie, gdzie otrzymał ostatecznie dyplom

lekarski w 1921 roku, ale przedtem studiował także prawo i historię starożytną. Zanim osiadł ostatecznie w Palestynie, gdzie przez piętnaście lat praktykował jako lekarz, był w Berlinie współzałożycielem (wraz z prof. H. Loewe) wydawnictwa „Scripta Universitatis” (na którego poziom naukowy i znaczenie rzuca niejakie światło fakt, że redaktorem działu matematyczno-fizycznego był w nim Albert Einstein), które później odnowił w Jerozolimie pod tytułem „Scripta Academica”. Przebywał także w Wiedniu, gdzie studiował psychoanalizę u W. Steckel'a, oraz w Zurychu, gdzie zajmował się studiowaniem psychiatrii u Bleuler'a.

W Palestynie, poza praktyką lekarską, zajął się studiami dziejów biblijnych, interesując się głównie chronologią Exodusu w zestawieniu z dziejami innych narodów. To doprowadziło go do gromadzenia mitów, podań i legend różnych ludów dla wydobycia z nich metodą porównawczą śladów wydarzeń rzeczywistych. Nie jest to metoda oryginalna. Podobną metodą posługiwali się np. Frazer (*The Golden Bough*), Freud i wielu innych. Velikovsky w tym zakresie odznacza się tylko tym, że posługuje się udoskonaloną techniką psychoanalityczną, a dzięki rozwojowi antropologii i nowym odkryciom archeologicznym, ma do rozporządzenia bez porównania szerszy i ważniejszy materiał źródłowy.

Studia nowych ważnych odkryć archeologicznych środkowo- i południowo-amerykańskich sprowadziły Velikovsky'ego w roku 1939 do Nowego Jorku (do biblioteki uniwersytetu Columbia), gdzie ostatecznie ukształtowały się jego tezy i zostały sformułowane w książce „Worlds in Collision”, której pierwsza wersja, ukończona w 1942 roku była czytana przez szereg uczonych. Velikovsky starał się uzyskać poparcie dla planu skłonienia któregoś z ważniejszych obserwatoriów astronomicznych do przeprowadzenia obserwacji specjalnych, które mogłyby rozstrzygnąć prawdopodobieństwo pewnych spekulacji i domysłów kosmicznych. Wśród pierwszych czytelników rękopisu Velikovsky'ego niektórzy uznali pracę za wybitnie interesującą, ważną i wymagającą rozpowszechnienia, inni natomiast zostali pobudzeni do nieoczekiwane gwałtownych opozycji. Książka, której rękopis był od 1946 roku przedstawiany wielu wydawcom bezskutecznie, ukazała się w druku dopiero w 1950 roku (w wydawnictwie Macmillana), ale już przedtem w paru czasopismach (Harper's, Readers, Colliers Magazine i in.) zamieszczane były dziennikarsko spreparowane streszczenia sformułowań, które redaktorzy tych pism uważali za najbardziej interesujące czy sensacyjne. W wyniku tego, jeszcze przed ukazaniem się książki rozwinęła się przeciwko niej i jej autorowi akcja o natężeniu i formie zupełnie bez precedensu w nowożytnym świecie. Nie tylko pojawiły się „autorytatywne” omówienia książki (która się jeszcze nie ukazała) przedstawiające ją jako urojenia pomyleńca, odnawiającego dawne i dawno zdyskredytowane banialuki, takie jak Williama Whistona, angielskiego pastora z XVII wieku, który,



potop biblijny („z dnia 28 listopada 2349 roku A.C.”) tłumaczył wpływem komety zesłanego (w tym czasie kometa w języku polskim był tak samo jak planeta, rodzaju męskiego) za karę, jako „bicz Boży”, czy jako „miecz Archanioła”; jak fantazje amerykańskiego Irlandczyka (senatora, powieściopisarza i, w roku 1901 kandydata na wiceprezidenta) Ignatiusa Donnelly; jak austriackiego inżyniera górniczego Hansa Hörbingera, który przestrzeń kosmiczną widział wypełnioną kryształami lodu; jak angielskiego wynalazcy „seryjnych księżyców” H. S. Bellamy itd. Co więcej, wydawca książki Velikovsky'ego, który jest jednym z poważniejszych wydawców podręczników uniwersyteckich, otrzymał od szeregu profesorów i administratorów uniwersyteckich ultimatum i musiał wycofać się z wydania książki pod groźbą obłożenia bezwzględnym bojkotem kół uniwersyteckich wszystkich jego wydawnictw. Ponieważ oznaczałoby to dla Macmillana straty idące w setki tysięcy, uległ on szantażowi i wycofał się z umowy. Książkę, już wydrukowaną, przejął wydawca mało wówczas znany i niewrażliwy na bojkoty, Doubleday & Co. Nie koniec na tym. Redaktor wydawnictw Macmillana, który zaakceptował książkę Velikovsky'ego i zawarł z nim umowę (J. Putnam) otrzymał dymisję. Jeden z referentów wydawcy, podówczas przewodniczący Wydziału Astronomii w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej i kurator Planetarium, który zaopiniował pracę Velikovsky'ego i przygotował jej przychylną recenzję, (G. Atwater), został bezapelacyjnie zwolniony ze swych naukowych stanowisk. Rzeczywiście, zdawać by się mogło, że brakowało tylko wykonawczego ramienia św. Inkwizycji, aby Velikovsky został uwięziony i zmuszony do publicznego odwoływania swych tez. Warto tu zresztą, na marginesie, przypomnieć, że wbrew dość rozpowszechnionym popularnym poglądom, opozycja przeciwko koncepcjom Galileusza nie była zasadniczo dziełem teologów, ale oficjalnych uniwersyteckich astronomów, którzy sprawili, że Kościół, jako ówczesna zwierzchnia władza wszystkich uniwersytetów, musiał zastosować formalną cenzurę i represję (zresztą w stosunku do ówczesnych obyczajów, bardzo łagodną).

Zasadniczą tezę Velikovsky'ego jest, że słoneczny układ planetarny nie tylko przechodził serię gwałtownych zmian, ale niektóre z tych katastrof kosmicznych wydarzyły się tak stosunkowo niedawno, że zostawiły wyraźne ślady w pamięci rasy ludzkiej. Jakiś wybuch wulkaniczny na Jowiszu, może wynik kolizji, wyrzucił w przestrzeń masę materii nie mniejszą niż 1/250 pierwotnej masy tej planety, która utworzyła grupę kilkudziesięciu komet (z których do dziś znamy co najmniej 40 z tzw. „grupy Jowisza”). Orbita jednej z tych komet przebiegała w pobliżu orbity ziemi, mając okres około 50 lat. Przesuwanie się znacznej masy materialnej wywoływało więc periodycznie grawitacyjne i elektromagnetyczne zaburzenia na ziemi, których skala i zasięg, uzależnione były, naturalnie, od stopnia zbliżenia do ziemi, które było zmienne. W jednym z takich zbliżeń, o bardziej katas-

trofalnych skutkach, zapamiętanych w księdze mojżeszowej Exodus, kometa przebiegła prawdopodobnie pomiędzy ziemią i księżycem. Następne powroty komety, choć wciąż katastrofalne, stawały się stopniowo coraz bardziej odległe, ale po czterech, czy piętnastym okrażeniu orbita komety przecięła się z orbitą planety Mars, która do tego czasu znajdowała się *wewnątrz* orbity ziemi. Kometa zderzyła się z planetą Mars w taki sposób, że utraciła znaczną część swej energii kinetycznej, przekazując ją planecie. W wyniku tego szybkość orbitalna Marsa wzrosła, wobec czego odsunął się on na orbitę bardziej oddaloną od słońca, a przesuwając się poprzez orbitę ziemską znalazł się w takiej od ziemi bliskości, że jego pole grawitacyjne znów wywołało serię katastrof geologicznych na powierzchni ziemi. Kometa natomiast utraciła szybkość w wyniku czego jej orbita zmniejszyła się, stała się mniej eliptyczna i ustaliła się jako orbita planety Venus.

Cały ten mechanizm przemian kosmicznych został wykonany jako jedyny możliwy przebieg wydarzeń odpowiadających treści legend, mitów, tradycji i obserwacji zanotowanych w zapisach wielu plemion na całym obszarze kuli ziemskiej. Stanowi on jednak hipotezę, z której wiele wynikających wniosków można, przynajmniej w zasadzie, sprawdzić drogą eksperymentalną. Velikovsky na długo przed wydaniem książki starał się skłonić różnych wybitnych astronomów i astrofizyków do przeprowadzenia badań, które by potwierdziły, czy zaprzeczyły tym domysłem. Za decydujące uważał on następujące punkty: 1) — Venus będzie poruszać się w sposób zasadniczo inny niż „zwykłe” planety naszego systemu, 2) — będzie mieć abnormalnie wysoką temperaturę, gdyż nie zdążyła wypromieniować ciepła od chwili wybuchu na Jowiszu, 3) — jej atmosfera zawierać będzie znaczną masę węglowodorów i węglowodanów. Velikovsky nie domagał się od astronomów badania innych punktów, które sam uważał za będące poza możliwościami techniki naukowej, jak np. że Mars nosi ślady kolizji w postaci katastrofalnych zmian geologicznych, albo że księżyc jest zbombardowany przez meteory głównie na powierzchni zwróconej w stronę ziemi.

Propozycje Velikovsky'ego zostały przez jednych zignorowane, przez innych wyszydzone. Dopiero teraz, w ostatnich dziesięcioleciach, nieprzewidywane wówczas badania kosmiczne, zdołały częściowo odpowiedzieć na pytania Velikovsky'ego, nawet takie które uważał za beznadziejne, i to odpowiedzieć potwierdzająco. A więc, Venus ma ruch obrotowy *odwrotny* niż wszystkie inne planety (może z wyjątkiem Plutona, który zresztą z innych powodów jest sam podejrzewany o to, że jest „zbiegłym” księżycem Jowisza), ma temperaturę nieoczekiwanie wysoką której nie można wytłumaczyć bliskością słońca, ani żadnym znanym planetarnym procesem, 3) — rzeczywiście zawiera w swej atmosferze ciężkie molekuly węglowodorów. Wiemy już także, iż odwrotna strona księżyca ma bez porównania mniejszą liczbę



kraterów meteorowych, a jego pył zawiera masę ziarn szkła, których istnienie nie da się wytłumaczyć wpływem temperatury wybuchów wulkanicznych i meteorowych. Wreszcie analiza najnowszych zdjęć Marsa (Mariner 9) pokazuje tereny olbrzymich uszkodzeń geologicznych, z kraterami i depresjami głębokimi na dziesiątki kilometrów i średnicy tysięcy kilometrów! Ponadto, mimo że Mars obecnie zawiera tylko drobne ilości wody, zamrożonej pod biegunowymi pokrywami zestalonego dwutlenku węgla, na powierzchni jego są ogromne kaniony, które w tej postaci mogą być wytłumaczone tylko działaniem mas wodnych. Prof. Murray, wybitny geolog i geofizyk, który przeprowadzał analizę zdjęć fotograficznych powierzchni Marsa konkluduje: „jeżeli kanały te były wyżłobione przez opady wodne, to musimy postulować zaistnienie po kolei dwóch cudów — jednego który wytworzył na stosunkowo niedługi czas atmosferę podobną do ziemskiej, i drugiego, który ją zniszczył”.

Oczywiście, z tez Velikovsky'ego wynika że Mars *miał* na dawnej swej orbicie atmosferę podobną do ziemskiej (a więc może i życie organiczne), a utracił ją, wraz z wodą, w katastrofie kolizji kosmicznej. *Nota-bene* obecna ilość atmosfery na Marsie stanowi jak się okazało zaledwie 1/10 tej, jaka teoretycznie (ze względu na masę) spodziewano się na nim znaleźć. Wyjaśnienie jak i dlaczego tę atmosferę Mars utracił, również wymagałoby „cudu”.

Przy tym wszystkim należy podkreślić, że Velikovsky nie jest i nie uważa się za astronoma, ani też nie sądzi że celem jego pracy jest konstruowanie jakichś nowych koncepcji kosmologicznych. Zasadniczym i głównym tematem, jaki rozwija w cyklu swych książek, omawiających zarówno wypadki kosmiczno-geologiczne jak historyczne, odzwierciedlone w pamięci ludzkości, jest zagadnienie antropologiczno-psychologiczne.

Katastrofy geologiczne, których przebieg Velikovsky rekonstruuje i których mechanizm stara się zrozumieć, a które wydarzyły się w zaraniu rozwoju ludzkich cywilizacji, miały dla człowieka znaczenie klęsk żywiołowych o skali apokaliptycznej. Ludzkość globu ziemskiego ulegała w tych wypadkach masakrom bez mała totalnym. Szczepy i klany, które uniknęły zagłady „ocalały cudem”, zawdzięczały swój los „łasce i opiece” sił wyższych i większych niż żywiołowe siły kosmiczne. Mniejsze i większe masakry w wyniku trzęsień ziemi, wybuchów wulkanicznych, gradów meteorów, huraganów i burz wydarzały się w regularnych, ze strachem oczekiwanych, „jubileuszowych” odstępach czasu. (Jubileusz, znaczy „wielki tydzień lat”, siedem razy po siedem, tj. 49 lat). Towarzyszyły tym katastrofom groźne zjawiska kosmiczne w postaci wielkiej gwiazdy z ognistym mieczem. Daje to jedyne, logicznie i psychologicznie uzasadnione wytłumaczenie genety różnorodnych, kompletnie od siebie niezależnych rytualistycznych praktyk religijnych krwawego okrucieństwa.

Wreszcie nastąpiła katastrofa największa (której obraz i wspomnienie jest może faktyczną podstawą wszystkich eschatologicz-

nych prorocत्व z Apokalipsą na czele), która wytraciła znaczną część zaludnienia większych skupisk ludzkich, a tym którzy ocalili zostawiła przekonanie, że są „narodem wybranym”, znajdując się pod „szczególną opieką” swego bóstwa narodowego. Równocześnie stała się ona dla nich — dla nas wszystkich którzy jesteśmy ich potomstwem — ciężkim przeżyciem traumatycznym. Tak ciężkim i głębokim, że trzeba go było jak najstarciej zamaskować w symbolicznych postaciach mitów, misteriów religijnych, prorocत्व i tym sposobem pozbyć się ze świadomości.

Niestety, szok traumatyczny, zarówno indywidualnej osobowości, jak grupy kulturowej, nie daje się w ten sposób wyeliminować. Pozostając w podświadomości generuje on neurozy, kompleksy coraz bardziej zawiłane a natarczywe, coraz bardziej utrudniające osiągnięcie zrównoważonej osobowości, tak samo zbiorowej, jak indywidualnej. Generuje też podświadome tendencje tanatyczne samozniszczenia w formie odtwarzanej, prowokowanej realizacji traumatycznego wydarzenia przeszłości. Velikovsky sądzi, że z dziejów narodów świata takie tylko można wyprowadzić wnioski na gruncie rozważań psychoanalitycznych, zastosowanych do osobowości zbiorowych. Nierozwiązane kompleksy i neurozy obciążające strukturę kultur i cywilizacji ludzkich muszą doprowadzić do apokaliptycznych katastrof — ujawnienia traumy dzieciństwa cywilizacji. Jako psychoanalityk uważa on, że jedyny dostępny i skuteczny sposób psychicznego uzdrowienia człowieka, wybawienia go od działań neurotycznych — racjonalizowanych ale nieracjonalnych — jest wydobyć i włączyć do powszechnej świadomości tego, co spowodowało szok traumatyczny. Jednym słowem do zbadania, odkrycia i przedstawienia przeszłości w całej jej rzeczywistej postaci.

J. P. HORZELSKI

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309



## Książki

### Literacka prasa krajowa- marzec 1973

W *Twórczości* — znakomite opowiadanie Marka Nowakowskiego „Śmierć żółwia”: historia osaczenia przez złośliwe dzieci i psychopatów z Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Paranoiczne (i potwierdzone przez rzeczywistość) wizje, atmosfera donosu, podejrzeń, złośliwości i histeryczna bezbronność bohatera przypominają Różewicza „Śmiesznego staruszka”. Dotkliwa jest polskość tego opowiadania, zresztą nie politycznej natury: władza każdego nad każdym, pasja szpiegowania, satysfakcja chwytania bliźnich na gorącym uczynku. Prześladowany za rzekome bestialskie zabicie żółwia, bohater umiera w trakcie procesu, który wytoczyli mu sąsiedzi, dzieci z podwórka, „opieka nad zwierzętami”. Najlepsza po „Gonitwie” (czytanej wiele lat temu) proza Nowakowskiego.

Mniej satysfakcji z lektury Beniamina Marka Skwarnickiego. Jeszcze jeden reportaż polskiego stypendysty w Stanach Zjednoczonych, przygniecionego bezosobowym luksusem studenckich hoteli, alienowanego lodówkami i „bezszelestnie opadającą i wznoszącą się windą”. Pojawienie się Beniamina-poety (rodem z Luizjany, pochodzeniem z arystokracji francuskiej), niewiele do sprawy dodaje. Najbardziej — w tej zresztą ładnie i żywo napisanej historii zniechęcają uogólnienia: „Już właśnie zaczynałem zgadywać, że przypadkowe spotkania i połączenia wytwarzają atmosferę amerykańskich obyczajów, a nawet sposobu myślenia. Brak tam tradycyjnych koniecznych układów, a zależą one od kaprysu ludzi i zbiegu wypadków”. Albo: „Przeżywałem cały dystans kulturowy pomiędzy naszym spokojnym i uregulowanym życiem a amerykańskim młynem, który nawet wśród bezkresnych kukurydzianych pól stanu Iowa miele ziarna różnych idei, wiar, buntów i prostych ludzkich uczuć na kaszę współczesnej cywilizacji”. U nas nie miele. Spokojnie, wilgoć. Jak w „Ślubie” Gombrowicza.

Z przekładowego turnieju poetów ku czci Petöfięgo najład-

niejszy przekład Różewicza wiersza — „Ja będę drzewem”; rytmiczny, romantyczny, bliski przekładowi filologicznemu. I wzruszająco skromny — szczególnie na tle zwierzeń pozostałych translatorów — list poety do Tibora Csorby, inicjatora turnieju: „Niestety poetyka utworów przez Pana nadesłanych jest przeciwieństwem tego, co robiłem przez trzydzieści lat — po prostu nie potrafię, „brak mi słuchu”.

Z literatury obcej, Rajmunda Kalickiego tłumaczenie (chyba świetne) dwóch opowiadań Gabriela Garcii Marqueza, zaprawionych najczystsza poezją, dowcipem i mądrością. Ich ludowość i egzotyka, bogactwo i dosadność przenośni przykro uzmysławiają nigdy — poza Tadeuszem Nowakiem — nie wykorzystaną możliwość naszej literatury.

Artykuł Adama Ważyka „In memoriam Michała Rowińskiego” jest ambitną próbą systematyzacji teorii wiersza. „Dobra teoria wiersza — pisze Ważyk — nie jest niczym innym, jak sprawnym narzędziem badań prowadzonych w różnych kierunkach, badań literackich, deklamacyjnych i może jeszcze innych. Nowoczesna teoria nie bawi się w estetykę; wszystkie pojęcia, jak granica wersu, średniówka, reguły rządzące różnymi typami wiersza buduje wyłącznie z elementów językowych i matematycznych, dąży do kontrolowanych logicznie sformułowań. Przeciwnicy tych zasad, chcąc ograniczyć ich znaczenie, nazywają to kierunkiem lingwistycznym lub strukturalnym. Tymczasem jest to ten sam kierunek w którym szedł Rowiński 80 lat temu mimo zrozumiałych różnic epoki. Rowiński nie był strukturalistą *avant la lettre*, albo był nim o tyle, o ile jest to konieczne w tym przedmiocie. Miał trzeźwy umysł analityczny, myślał logicznie i, co najważniejsze był wolny od estetycznych uroszczeń”.

Ta odraza poety i tłumacza do „estetyzowania” jest zdumiewająca i trochę komiczna. Ale Ważyk ma przede wszystkim pretensje — nie sądzą żeby słuszne, ale nie znam się na przedmiocie — o brak oryginalnych badań, a mniej o zaniedbanie domowej tradycji. Także o uleganie nagłym świeżo przetłumaczonym modom i równie nagłym awersjom. Teza artykułu: forma wiersza jest produktem całości kultury i tłumaczy się nie tylko rozwojem i regułami samej poezji. Istnieją podobieństwa między budową rytmiczną wierszy — w danym miejscu i czasie — a „rytmiką” wzorów na glinianym garnku. Piękne i niepojęte.

W dziale recenzji: Dobraczyński napisał książkę pod tytułem niegorszym od tytułów Machejka: „Tak biały, jak czerwona jest krew”, wersję dla pań Putramentowego Bołdyna. Niestety, nic nie rozumiem. Recenzja jest ironiczna; ze streszczenia Wojciecha Natansona wynika, że książka jest w warstwie psychologicznej senilna, a w politycznej cyniczna. I oto w zakończeniu chwali krytyk pisarza za język i zmianę stylu, a o końcowych scenach — egzekucji! — pisze że są „ujmujące”. Widzę dwie możliwości: albo jest to omówienie w całości ironiczne, albo w całości poważne. Tylko jak tego dociec?



Dalej podobnie. Oto Bohdan Zadura przyrównuje książkę Janusza Głowackiego „W nocy gorzej widać” do „Kwiatów polskich” Tuwima. Przeprowadza dowód nie wprost: „Janusz Głowacki pokazał nam, że można pisać językiem trafiającym do każdego, językiem znanym nam z codziennego życia, z prasy, radia, telewizji, zebrań i spotkań. Nasi prozaicy albo o tym nie wiedzą, albo choć wiedzą i mogą, nie chcą”. Niestety. I wiedzą i chcą. Ale może to znowu dowcipna recenzja na opak.

„Wśród książek” jest w ogóle najstarszym działem *Twórczości*; od lat dodaje się tu co popadnie, przeważa styl uroczysty, frazeologia z dziwnego pogranicza strukturalizmu i psychologii głębi obojętne czy mowa o Szekspirze czy Bzdyczu. Jedna recenzja interesująca; do liczby straconych podczas wojny a utalentowanych pisarzy doszedł jeszcze Alfred Rogalski, zresztą wspomniany przez Nałkowską w „Dziennikach czasu wojny”. Jego książka nazywa się „Daleka północ” i została niedawno wydana z papierów po Zbigniewie Mitznerze.

Stały mini-felieton Jarosława Iwaszkiewicza jest tym razem przyczynkiem do niedawnego sporu o katolickość poezji Lieberta. W związku z pojęciem grzechu: „Ubóstwem naszej poezji jest to, że się to pojęcie zatraciło. Nasza poezja stała się niemoralna. Ale nie dlatego, że opisuje akty erotyczne, lecz że opisuje je jak zjadanie kromek chleba. Że poeta nie czuje wyrzutów sumienia”. Różewicz, Szymborska, Herbert, Miłosz, Nowak czują wyrzuty sumienia. Za wszystko. Za człowieczeństwo, społeczeństwo i Boga. Nie tylko za ten jeden, zgoła niewinny grzech. Wiadomo zaś że przesadna ostrożność i erotyczny kamuflaż wcale nie wyszły prozie Iwaszkiewicza na dobre. Ale pozostał on zachwycającym i skłonny do formalnych mutacji poeta. Marcową *Twórczość* otwiera jego cykl wierszy. Wiersz ostatni składa się z pytań. Tych samych, na które w innym miejscu — najczęściej w owych mini-felietonach — pisarz odpowiada tak łatwo. W wierszu są to pytania o niezliczone imiona współczesnego czasu. I odpowiedź: „Trzeba to wszystko zniszczyć / Niech będzie cicha plaża i zupełny brak / pytań / Żadnych pytań”.

Znakomity, jak zawsze, felieton poetycki Jerzego Kwiatkowskiego — na tym samym miejscu pisał on o Miłoszu niedawno — to skromniejsza ale i znacznie rzetelniejsza interpretacja poezji Herberta od tej, którą przed dwoma miesiącami zaprezentował Kijowski, przykładając do autora Longobardów te same kategorie, którymi wcześniej obłożył Gombrowicza.

Marcowy numer *Odry* (młody stosunkowo miesięcznik, w zespole redakcyjnym między innymi Tadeusz Różewicz) otwiera ją wiersze Mieczysławy Buczkówny, wśród których dwa piękne erotyki: „Różana chwila” i „Pętla”. W dziale reportażu efekciarski artykuł Wojciecha Giełżyńskiego — „Z Parnasu na tandetę” — o przemianach jakie zaszły w stosunku do podróżowania na przestrzeni ostatnich stu lat. Jeszcze z końcem XIX wieku — dowodzi autor — po Europie podróżowało się dla handlu i do

wód, do Kołobrzegu jeździło się tak jak do Ostendy, a Ameryka była mitem „plebejskim”. Po pierwszej wojnie przyszyły zaostrezenia wizowe i dewizowe: „W końcu lat trzydziestych władze polskie wydają po kilkadziesiąt tysięcy paszportów rocznie (nie licząc emigracyjnych), tyleż mniej więcej obcokrajowców przybywa do naszego kraju”. Po drugiej wojnie Polakom *en masse* zaczęło się dobrze powodzić — dowodzi dalej Giełżyński — a inteligencja zapragnęła podróży i samochodów zachodniej produkcji. Było to — łagodni — odruchem trzeźwego rozsądku a nie groźbą dla systemu, bowiem jeszcze w mrokach stalinizmu... „olbrzymia większość Polaków w pełni zaakceptowała ustrojowe zasady socjalizmu, zinterioryzowała jego główne idee, lecz nie mogła pogodzić się z tym, że wszelkie konsumpcyjne rozkosze — przez socjalizm przecież obiecywane — spłyną dopiero na dzieci i wnuków”. W ostatnich latach nastąpiły daleko idące zmiany: „Ograniczeń wyjazdowej turystyki nie tłumaczy się mętłą ideologią zagrożenia naszych dusz, lecz prostymi faktami natury fiskalnej. Będzie więcej dolarów — będzie więcej wyjazdów. A że ktoś „wybierze wolność”, da się ometać? Pal licha, obyśmy nie mieli większych zmartwień”. W tym eleganckim koktajlu dowcipu i pobłażliwości zauważmy, który człon został ujęty w cudzysłów.

Jest dobrze, a właściwie za dobrze. Jeździmy tłumnie do Hiszpanii, Francji, Włoch i Egiptu. Na giełdzie snobistycznej liczy się już tylko Meksyk, Nowa Zelandia, Japonia („latoś tyłu rodaków siedziało na Costa Brava, że aż wstyd się przyznać”), a dawne pytanie „coś widział” zastąpiło: „coś sobie przywiózł”. Dawniej oglądano, teraz się handluje, marwi się Giełżyński, o *ethos* podróżującego Polaka zgoła nie pojmując, dlaczego się handluje. Jeśli podróżować może każdy, jak to z pierwszej części wynika, skąd w dalszej części artykułu owo brutalne stwierdzenie: „Większość podróżujących to pospolite ciury bazarowe, wyściry podejrzanych spelunek, zwłaszcza orbisowcy”. Ideał sięgnął dna, Odyseusze wołają „szmal”. Nie wiem co to jest szmal i nie wiem dlaczego nie wyjeżdżają ludzie, po prostu ciekawi świata. Wiem natomiast że w Polsce zawsze pytano „coś sobie przywiózł” a nie: „coś zobaczył”!

Artykuł Giełżyńskiego utrzymany jest w stylu na poły ironicznym, na poły żartobliwym, jakiego często używa się w Polsce, pisząc o sprawach dalekich od jednoznaczności. Żartobliwość podkreśla jak jest fajnie. Ironia — to pobłażanie patrzącego z góry. Z tego wszystkiego wynika że ciągle podróżowanie w Polsce przypomina wypuszczanie psa na stopniowo przedłużanym łańcuchu. „Jeźdźmy nawet tam — macha ręką Giełżyński — gdzie 'towar idzie’. — Lepsze to, aniżeli poczucie, że Wielka zabawa współczesnego świata odbywa się bez naszego udziału... Nie ludź się oczywiście, że każdy zaraz na własną rękę odkryje mechanizmy wyżysku rządzące światem kapitalistycznym, zrozumie natężenie lęków i frustracji tamtych społeczności, zapłonie obrzydzeniem do tamtejszego sknerstwa i wyrachowania, na-



berze pogardy do kultu rzeczy. Ale każdy potrafi rachować i dojść do takiego choćby zaskakującego wniosku, że ta Polska jest krajem, gdzie żyje się zadziwiająco tanio, nawet jadając w lokalach kategorii „S”. Musiało bardzo stanieć. Gdzie panuje większy kult rzeczy — dlaczego, to inna sprawa! — wyjaśnia Giełżyński sam. A o tym że Zachód jest równie drogi dla Polaków, jak Polska tania dla turystów z Zachodu — pewnie dobrze wie, choć nie pisze.

Kazimierza Moczarskiego „Rozmowy z katem” już XVII-ty odcinek, to stenograficzne niemal notatki byłego żołnierza AK, który przesiedział parę lat w jednej celi z likwidatorem getta warszawskiego Stroopem i jego adiutantem — Schielke. W „Krzyżu Walecznych” — taki jest tytuł odcinka — opowiada Stroop dokładny przebieg powstania i jego likwidacji. Moczarski musi być znakomitym psychologiem, skoro bez ukrywania przed Niemcem swoich opinii i uczuć — uzyskuje u swojego rozmówcy pełną szczerość i rozluźnienie psychiczne. Na zakończenie, Niemiec zachętytuje się wspomnieniem wysadzenia w powietrze Wielkiej Sygnagi: „Przedłużałem chwile oczekiwania. W końcu krzyknąłem: *Heil Hitler!* i nacisnąłem guzik. Ognisty wybuch niósł się do chmur. Przerażliwy huk. Bajeczne feeria kolorów. Niezapomniana alegoria triumfu nad żydostwem. Getto warszawskie skończyło swój żywot. Bo tak chciał Adolf Hitler i Heinrich Himmler”.

Z literatury rodzimej horrendum Józefa Łozińskiego pod tytułem: „Niedziela radości”. Niedziela... zaczyna się potrojnym okrzykiem: Montecuzomai thuicamina, a dzieje we Wrocławiu. Czterej młodzi ludzie o dziwnych przezwiskach obchodzą miasto nad Odrą, opisując go napuszoną mową staropolsko-wiejską, i miejsko-środowiskową. Za przejaw zdumienia służy tu okrzyk 'O Matko Joanno od Aniołów', za wzór wędrowki — 'Uliesses' — Jamesa Joyce'a („Irlandczyka, człeka nad wyraz wybitnego a mądrego”), za leitmotiv rozmowy — powstania narodowe i Teatr Laboratorium. Niedziela radości napełniła mnie smutkiem i przypomniała nie Ulissesa, lecz Brylla.

O „Weselu” Wajdy pisze Józef Kelera, jeden z najskromniejszych i najlepszych krytyków teatralnych, chwalać reżysera za znakomity przekład idei i słowa na obraz. Z niemniejszą przyjemnością, w rubryce Premiery, przeczytałam kilka ostrych zdań — wreszcie! — pod adresem Iredyńskiego, jego krytyków i reżyserów. „Wbrew sztampie — pisze Krzysztof Wolicki — Iredyńskiego nie przemoc fascynuje w jej niezliczonych przejawach i aspektach — lecz sam akt przemocy. A nawet akt przemocy jako rozgrywka i jako strategia walki — lecz jako znęcanie się”. Cudze chwalicie, swego nie znacie... Pamiętam że niedawno ktoś, bodaj w *Literaturze*, zrecenzował film Peckinpaha — 'Straw Dogs', jako przykład „okrucieństwa dla okrucieństwa”.

*Literatura* — tygodnik, który powstał w miejsce dwutygodnika *Współczesność*, redagowany przez znakomity w swej większości zespół, kierowany przez Putramenta. Upiorem tego ambitnego,

choć tematycznie i graficznie „zapaćkanego” pisma (za wiele rubryk, za dużo materiału, zamieszanie tematyczno-graficzne) jest Rapanui, tasiemcowe wspomnienia Naczelnego z potyczek o chwałę literatury. Ozdobą — felietony Andrzeja Dobosza i „Z dnia na dzień” — Andrzejewskiego. Pismo na ogół chętniej prezentuje opinie o literaturze (jeszcze chętniej reportaże społeczne, komentarze filozoficzne, polityczne, filmowo-teatralne) niż samą literaturę. Informacja o literaturze zachodniej — minimalna, a proza i wiersze na niższym poziomie niż przeciętna twórczość literacka w Polsce. Ostatnie pare miesięcy straszły powieść Józefa Hena — „Jokohama”, a z prozy zachodniej o wiele za głośno reklamuje się „Mewę” — Richarda Bacha, uznaną zdaje się tylko przez *Literaturę* za największy *best-seller* amerykański od „Przemięło z wiatrem”.

Skończyła się niedawno kolejna dyskusja, jak ratować młodą polską prozę, ale ciągle po pismach błąkają się jej echa. W *Literaturze* — Jerzy Niecikowski opowiada znaną bajkę o szczurołapie, twierdząc, że i teraz poeta potrafi wyprowadzić szczury z miasta, pod warunkiem, że będzie wierzył w siebie, a społeczeństwo w niego. Złapał Kozak Tatarzyna... *Feed back!*

Echo — nikłe bardzo — rewolucji, jaka dokonała się na uniwersytetach zachodnich w artykule Mariana Stępnia o pobożnym tytule: „Powinności nauczyciela akademickiego”. Jest to wołanie o wysoki poziom moralny uczących, o odwagę mówienia, myślenia i działania, o bezkompromisową reakcję... na wszelkie niewłaściwości występujące na wyższej uczelni. „Gdzie — pyta pocziwie Stępień — może młody człowiek znaleźć atmosferę uczciwości, przekonania, rzetelności, rozumowania, otwartości w stawianiu zagadnień, odwagi w odstawianiu spraw skomplikowanych, w pełnym bez przemilczeń mówieniu o wszystkich bez reszty problemach istotnych, gdzie może znaleźć to wszystko, jeśli nie na wyższej uczelni?” Nie wiem. Ale niebezpieczna i utopijna wydaje mi się ta koncepcja uniwersytetu-oazy moralnej. Bo dokąd pójdą później studenci?

Janina KATZ

## Kanadyjska problematyka etniczna : polonica

Problematyka etniczna w Kanadzie wyplętała na tle prac Komisji Królewskiej dla Spraw Dwujęzyczności i Dwukulturowości, określanej w Kanadzie skrótowo „B. & B. Commission”. Ustanowiono ją dla przebadania spraw związanych z Franko-



kanadyjczykami, z językiem francuskim, w nadziei iż Komisja znajdzie remedium na ruch separatystyczny w Quebec, na ujawniającą się w tej prowincji tendencję odśrodkową. W tej mierze Komisja B. & B. nic nie zdziałała, albo inaczej: jej zalecenia były zarówno spóźnione jak i niedostateczne, nie zadawające nikogo. Ujawniły natomiast sprawy innych grup etnicznych, nie należących do tak zwanych „założycielskich” to jest brytyjskiej i francuskiej.

Deklaracja premiera Trudeau z 8 października 1971 roku poszła znacznie dalej aniżeli zalecenia znajdujące się w 4 tomie Raportu Komisji B. & B. Formułuje ona bowiem zasadę wielokulturowości, podczas gdy Raport mówił o dwukulturowości. Rząd Federalny przystąpił wobec tego do realizacji programu wyłuszczonego przez premiera Trudeau oraz ministra Pelletier, Sekretarza Stanu (kanadyjski odpowiednik ministra spraw wewnętrznych i kulturalnych).

Dzięki poparciu finansowemu rządu wdrożono różne prace badawcze nad grupami etnicznymi; poszczególne instytucje państwowe gromadzą materiały, dokumenty itp. Uniwersytety, które dawniej poświęcały bardzo mało uwagi problemom etnicznym, zajęły się nimi obecnie. Dla ścisłości trzeba stwierdzić, iż nie jest to wyłączny efekt aktualnej polityki władz państwowych, gdyż niektóre uczelnie grubo wcześniej — co prawda również dzięki dotacjom rządowym — podjęły w tym zakresie badania. Wystarczy przykładowo wymienić York University w Toronto. Zjawiskiem niewątpliwie dodatnim jest to, że wreszcie na różnych uniwersytetach absolwenci pracują nad tezami dyplomowymi z problematyki etnicznej.

Pragniemy zwrócić uwagę na kilka prac, zastrzegając się iż nie wyczerpujemy wszystkich, które zasługują na omówienie. Wrócimy do niektórych zapewne później.

Pozycją ściśle polonijną jest „Symposium 50”, ale tak specjalną iż ograniczymy się tylko do bardzo ogólnikowych uwag. Są to materiały z konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie 19-22 maja ub. roku w Barry's Bay, Ontario, na terenie pensjonatu pp. J. Zurakowskich. Organizatorzy zaprosili — obok różnych osób spośród Polonii Kanadyjskiej nie związanych z ich organizacją — kilka osób z Europy i Stanów Zjednoczonych. Zaprosili ich jako referentów-mówców. Byli to m.in. pp.: Andrzej Chilecki (NRF), Wincenty Chrypiński (USA), Kazimierz Łukomski (USA), Aleksander Dobraczyński i Stefan Legierski (Francja), Konrad Sieniewicz (Włochy) i Andrzej Stypułkowski (Anglia). Panowie ci oczywiście nie mówili o problemach Polonii Kanadyjskiej, ale o środowisku polskim kraju swego zamieszkania, o pewnych problemach wspólnych, o stosunku do rzeczywistości polskiej w kraju, zastanawiali się nad formami współpracy między ośrodkami polonijnymi na całym świecie. Referaty pp. Adama Bromkego, A. Chileckiego, W. Chrypińskiego, Zbigniewa Fallenbuchla i Jerzego Grucy również jedynie ogólnikowo miały specyfikę polonijno-kanadyjską, podczas

gdy były im poświęcone referaty pp. Zdzisława Przygody, Zygmunta Jarmickiego, Tadeusza Błachuta, Rudolfa Koglera, Tadeusza Glisty, Jana Kaszuby i Benedykta Heydenkorna. Publikacja „Symposium 50” zawiera tylko niektóre referaty w całości, podczas gdy większość została streszczona, a kilku w ogóle brak. Konferencja miała na celu przede wszystkim przedyskutowanie różnych aktualnych problemów nurtujących Polonię Kanadyjską. Przewidywano udział 50 osób ale zjawilo się prawie sto.

Praca dyplomowa Stefana Jarostawa Jaworskiego na temat czasopism grup słowiańskich w Kanadzie została przedstawiona w 1971 roku. Autor zamknął się w latach 1965-1969 co pozwoliło mu na szczegółowe zbadanie i opisanie wszystkich publikacji. Jest to zresztą okres największego nasilenia wydawniczego. Autor zarejestrował ogółem 74 pism słowiańskich grup, w tym 9 polskiej. Najwięcej publikacji jest ukraińskich a mianowicie 41. Dalej Jaworski wymienia 37 publikacji ukazujących się w innych krajach, ale rozprawdzanych również w Kanadzie. W tej grupie 5 polskich i 20 ukraińskich.

Grupy słowiańskie nie posiadają żadnego dziennika, a tylko jedno pismo — mianowicie *Związkowiec* — ukazuje się dwa razy tygodniowo. Z zarejestrowanych 74 publikacji 22 ukazuje się tygodniowo, 25 miesięcznie, 10 kwartalnie a pozostałe w różnych odstępach czasu. Grupa polska publikowała w omawianym okresie: 1 półtygodnik, 3 tygodniki, jeden miesięcznik, jeden dwumiesięcznik, 2 kwartalniki i jeden półrocznik. Wymienia następujące publikacje: *Biuletyn Kongresu, Okręg Alberta* — ukazuje się półrocznie; *Biuletyn Stowarzyszenia Techników Polskich* — kwartalnik; *Czas* — tygodnik Winnipeg, Manitoba; *Głos Polski* — tygodnik, Toronto; *Biuletyn Kongresu* — kwartalnik, ukazujący się nieregularnie; *Informator Federacji Kobiet Polskich w Kanadzie* — dwumiesięcznik; *Kronika Tygodniowa* — Toronto, tygodnik; *SPK w Kanadzie* — Toronto, kwartalnik; *Wiadomości Polskie* — Montreal, miesięcznik; *Związkowiec* — Toronto, dwa razy tygodniowo. Z wymienionych publikacji nie ukazuje się już od kilku lat miesięcznik — pismo powielane *Wiadomości Polskie*. Nie zarejestrował natomiast Jaworski regularnie ukazującego się od wielu lat miesięcznika Grona Młodzieży Związku Polaków *Jak tam idzie*, ani drukowanych biuletynów Kasy Kredytowo-Pożyczkowej (Credit Union) parafii św. Stanisława i św. Kazimierza w Toronto (miesięcznik) i Kasy Związku Polaków w Kanadzie w Toronto — kwartalnik. Jaworski ocenia powściągliwie i obiektywnie wszystkie publikacje, wykazując dobrą ich znajomość. Daje bardzo zwięzłą charakterystykę omawianych pism.

Wymienia ponadto następujące pisma wychodzące za granicą i rozprawdzone w Kanadzie: *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* (Londyn) — 500 egzemplarzy; *Gwiazda Polarna* — tygodnik, USA, 1.000 egzemplarzy; *Kultura* — miesięcznik, Paryż, 1.000 egzemplarzy; *Nowy Świat* — dziennik, Nowy Jork, 1.000 egzemplarzy; *Wiadomości* — tygodnik, Londyn, 500 egzemplarzy. Z wymienionych wyżej pism *Nowy Świat* przestał wychodzić a jego



następca na pewno nie ma ani 10 % cyrkulacji poprzednika. Jaworski oblicza iż ogółem z pism słowiańskich publikowanych poza Kanadą rozchodzi się tutaj 32.000 egzemplarzy podczas gdy ogólny nakład pism grup słowiańskich w Kanadzie ocenia na 277.000 w tym polskie — 39.000 a ukraińskie — 172.000. Najniższy nakład ma pismo bułgarskie (dwutygodnik) *Nowo Wremie* — 2.000 egzemplarzy.

Jaworski stwierdza, iż przyszłość pism grup słowiańskich nie przedstawia się różowo z braku przyływu nowych imigrantów. Jedynie z Jugosławii i Polski przybywa pewna ilość każdego roku i oni — pisze Jaworski — „jakkolwiek nieliczni, przyczynią się ewentualnie do kontynuacji ich publikacji”. Dalej wskazuje iż przyszłość pism zależeć będzie od polityki rządowej w odniesieniu do kultury grup mniejszościowych. Skoro rząd pragnie zachowania walorów kulturowych grup etnicznych to udzieli poparcia odpowiednim wysiłkom a wówczas żywot publikacji grup słowiańskich zostanie przedłużony. Zmieni się wprawdzie ich charakter, nie mniej jednak „pozostaną jako żywa manifestacja kulturowych tradycji, które poszczególne grupy zdecydowane są zachować”.

Interesująca, źródłowa praca *Howarda Palmera* oparta jest na studiach terenowych. Ograniczył swoje badania do stosunkowo małego obszaru, ale za to pogłębił je i chyba nie przeczył niczego. Jego „*The Land of Second Chance*” jest — jak to zresztą głosi podtytuł — „historią grup etnicznych w pld. Albercie”. Autor stamtąd pochodzi, tam studiował i przeprowadził badania. O wyborze pld. Alberty dla przeprowadzenia badań nad dziejami grup etnicznych zdecydowała nie tylko znajomość terenu, ale i fakt iż tam chyba znajdują się lub znajdowały — wszystkie składniki ludnościowej mozaiki Kanady. Obszar ten jest mało uprzemysłowiony, posiada zaledwie kilka miast. Był terenem osadnictwa rolnego, a przecież przytłaczająca większość przybyszów, imigrantów kierowała się właśnie na rolę. Na farmach rozpoczęli życie w Kanadzie i ci, którzy w swoim kraju rolnictwem się nie parali i którzy byli zdecydowani w nowym kraju szybko zająć się czymś innym.

Palmer daje zwięzły zarys ponad 30 grup etnicznych, przy czym zajmuje się nie tylko grupami narodowościowymi, ale również wyznaniowymi. Na obszarze objętym jego badaniami znajdują się zwarte grupy nielicznych, ale bardzo charakterystycznych grup wyznaniowych — sekt chrześcijańskich jak: hutteryci, menonici, mormoni i duchobory. Skoro wskażemy przykładowo, że np. sekta hutterytów — odłam anabaptystów — liczy ogółem 18.000 wyznawców a z tego w pld. Albercie mieszka 6.500 — to zainteresowanie nią Palmera jest w pełni uzasadnione. Podobnie przedstawia się sprawa innych mniejszości wyznaniowych, z wyjątkiem mormonów, którzy tworzą w Stanach Zjednoczonych dużą grupę.

Menonici i hutteryci są nie tylko grupami wyznaniowymi, ale w pewnym sensie również narodowościowymi, podobnie jak i duchobory. Pierwsze dwie zachowały stary dialekt niemiecki a duchobory prosty język rosyjski. Tworzą zamknięte grupy, nie łączą się z otoczeniem, prowadzą odmienny tryb życia, przy czym hutteryci i zewnętrznie najbardziej odróżniają się od otoczenia. Zarówno mężczyźni jak i kobiety odziani są w czarne szaty, sukno własnego wyrobu, mężczyźni noszą szerokie czarne kapelusze a kobiety czepki oraz szerokie i długie spódnice.

Na terenie pld. Alberty żyją w 75 koloniach rolniczych — całkowicie samowystarczalnych gospodarstwach. Nie używają sprzętu mechanicznego, nie posiadają samochodów ani innych maszyn. Uzyskali zezwolenie na prowadzenie własnych szkół — co pozwala im na wypełnienie ustawy o powszechnym nauczaniu — ale dzieci nie kieruje się później do średnich szkół publicznych. Młodzież poza rolnictwem szkoli się w zawodach z nim związanych. I na tym koniec. Ziemia nie stanowi własności prywatnej, ale należy do całej gromady. Gospodarstwa są dochodowe i kołą w oczy licznych gospodarzy, którzy nie mogą się tym poszczycić. Hutteryci byliby w stanie zwiększyć swój stan posiadania i pragną nabyć dalsze obszary rolne, ale udaremniają to władze prowincjonalne.

Menonici i mormoni nie odróżniają się ubiorem od otoczenia, nie są tak zamknięci w codziennym życiu, ale również zachowują swoją odrębność, odmienny styl życia. Podobnie jak duchobory, z wyjątkiem radykalnego odłamu — Synów wolności — mieszkającego w Brytyjskiej Kolumbii.

Palmer kreśląc dzieje tych i innych grup wskazuje, że boją się wszystkie natrafiały na początku, albo w różnych okresach, na trudności, czasem na wrogość lub nieżyczliwość otoczenia. Zdołały jednak to przezwyciężyć, więcej, pozyskać pełne uznanie i przyjaźń osiadłej ludności. Rozpoczął się proces wrastania i zrastania z miejscowym społeczeństwem. Palmer zastanawia się nad przyszłością grup etnicznych, w tym i tych, które dzięki podwójnej odrębności — wyznaniowej i narodowościowej tworzą najbardziej zwarte grupy. Przypuszcza iż te ostatnie grupy nie będą mogły ostać się naciskowi technologii. Zdaniem jego będą musiały przyjąć kulturę otoczenia i włączyć do niej pewne walory swojej. Byłby to najszcześniejszy proces. Palmer wskazuje też na znany fakt a mianowicie iż okres w którym otoczenie nie przyjmowało grup etnicznych i uważało ich za obcych — był najbardziej dla nich korzystny. Pozwolił im na zachowanie i kulturowanie własnej odrębności, skłonił do budowy domów społecznych, kościołów, do tworzenia różnego typu organizacji itp. Innymi słowy dyskryminacja otoczenia stanowiła czynnik cementujący grupy etniczne. Inaczej w następnej fazie. Z chwilą zrównania się z otoczeniem, wejścia w życie, usunięcia przeszkód itp. niemal automatycznie rozwija się proces kruszenia grup etnicznych.



Palmer daje oczywiście również i zarys dziejów grupy polskiej w pód. Albercie. Jest nieliczna, cieszy się szacunkiem i dobrobytem.

Na braki w zakresie badań etnicznych zwrócili uwagę dwaj socjologowie Y. W. Lozowchuk i H. Radecki. Zajęli się oni stanem badań nad grupami polską i ukraińską. Omówili 204 publikacje dotyczące problemów etnicznych, w tym kilkadziesiąt prac socjologów amerykańskich i kanadyjskich. Niektóre z nich posiadają charakter czysto teoretyczny, inne analizują pewne zagadnienia ogólne, niekoniecznie polskie czy ukraińskie. Pozostałe prace dotyczą wyłącznie obu wspomnianych grup. Lozowchuk opracował grupę ukraińską a Radecki polską. Obaj są pracownikami naukowymi na wydziale socjologii York University w Toronto. Dobrze stało się iż powstała ta praca obejmujące dwie — pod każdym względem — czołowe grupy słowiańskie w Kanadzie. Jak dotąd bowiem jedynie dr V. Kaye — najwybitniejszy badacz grupy ukraińskiej w Kanadzie — przeprowadził pewne badania archiwalne dotyczące Polaków. W ogłoszonych już pracach dr Kaye wskazuje na wiele wspólnych cech osadnictwa ukraińskiego i polskiego, na podobieństwo losów pierwszych imigrantów ukraińskich i polskich itp. Niezależnie od tego opublikował szkic biograficzny o młodym Kazimierzu Gzowskim, najbardziej reprezentatywnym imigrancie polskim, wy dobył z archiwów dane dotyczące innych wybitnych jednostek polskich. Ale Lozowchuk i Radecki, dwaj socjologowie jeden pochodzenia ukraińskiego a drugi polskiego, wspólnie przepracowali podstawowy problem a mianowicie stan badań nad grupą ukraińską i polską.

Jeśli zestawienie — zresztą niepełne — literatury dotyczącej grup polskiej i ukraińskiej liczy ponad 150 pozycji — to można by założyć iż posiadamy bogatą literaturę tego przedmiotu. Nim przedstawimy jej ocenę przez autorów omawianego studium, stwierdzimy, iż uwzględnili szereg marginesowych publikacji. I tak np. nie wydaje się, by należało rejestrować i omawiać kilka przypadkowych, ogólnikowych artykułów, by później do wodzić iż są mało wartościowe. Dalej uwzględnili publikacje, które dla przeprowadzenia ich głównej tezy o niedostatecznym stanie badań i braku dostatecznej ilości źródłowych opracowań, są co najmniej zbędne. Przykładowo tylko wymienimy dwie takie pozycje: L. E. Belanger: *Le status canonique des Ukrainiens Catholiques du rit ruthine au Canada*; B. N. Bilash: *Kanadyjska ta jich stylistyczni funkcyji w mowi ukraińsko-kanadzkich pysmennykiw* — nie dlatego iż są to złe prace, ale zbędne dla tego opracowania. Odnośnie pozycji kościoła greko-katolickiego ukazały się późniejsze i lepsze prace, które zresztą pp. Lozowchuk i Radecki wymieniają i oceniają. Lingwistyczne i folklorystyczne badania, są niewątpliwie zarówno cenne jak i celowe, ale w tym esaju można było z nich śmiało zrezygnować.

Autorzy słusznie wskazują, iż niewykorzystaną kopalnią, skarbnicą źródłową, jest prasa etniczna, w konkretnym wypadku ukraińska i polska. Ale wcale łatwo można ustalić dlaczego mało kto i w bardzo wąskim zakresie korzystał z tej kopalni. Tematyka etniczna jak dotychczas mało pociągała nawet młodych absolwentów wyższych uczelni a cóż dopiero innych aspirantów naukowych. Badania tych problemów nie dawały szans w karierze akademickiej ani zawodowej. Traktowano dziedzinę etniczną jako podrzędną a skoro ktoś decydował się na pracę w jej ramach to raczej szukał łatwej, nie wymagającej zbyt długich i wielkich wysiłków. Dlatego właśnie unikano kopalni źródłowych, nie studiowano setek roczników pism polonijnych i ukraińskich.

Zdaniem autorów organizacyjne księgi pamiętkowe są bardzo cennym materiałem źródłowym, ale również nie zostały dotychczas wykorzystane. Nie znamy wszystkich tego typu publikacji ukraińskich, ale znając sporą ich ilość, i chyba wszystkie polskie, nie podzielimy opinii Autorów. Tylko bardzo nieliczne z nich posiadają większą wartość aniżeli kronikarskie zapiski; najcenniejsze w nich są spisy imienne władz organizacyjnych, czasami członków — szczególnie w okresie założycielskim, oraz sprawozdania finansowe. Tylko w bardzo nielicznych księgach pamiętkowych, zarówno polskich jak i ukraińskich, znajdujemy jakieś próby opracowań historycznych, wypowiedzi o charakterze ideowym, wspomnienia organizatorów, sylwetki założycieli itp. Jest kilka ksiąg w których strona swoiście pojętej hagiografii jest stonowana, ale chyba z żadnej nie została wyłączona. Autorzy tych ksiąg wespół z ich inicjatorami, uważają zresztą iż ich relacje są absolutnie prawdziwe. A że z jednej strony przesadne a z drugiej dyskretnie przemilczające pewne sprawy — to, ich zdaniem, nic zdrożnego.

W tych księgach jest jednak wiele materiału źródłowego. Autorzy w innym miejscu kwalifikują jako opisowy a więc drugorzędny, gdyż brak mu naukowej dokumentacji. Popełniają w tej ocenie błąd, gdyż jest on jak najbardziej dokumentarny — opiera się albo na relacjach pionierów lub na danych organizacyjnych i zapiskach, które zaginęły. Stwierdzając niedostateczny stan badań Autorzy formułują szereg doskonale opracowanych postulatów, będących jednocześnie niejako wytycznymi dla zainteresowanych w tej dziedzinie badaczy.

Praca *Ericha L. Ratzlaffa* właściwie nie mieści się w zestawieniu omawianych, włączamy ją jednak, gdyż ukazała się w Kanadzie, autor mieszka w Kanadzie i dotyczy mniejszości religijno-narodowej w... Polsce. W przeszłości. Autor jest redaktorem pisma *Mennonitische Rundschau* ukazującego się w Winnipegu. Mówi i pisze bezbłędnie po polsku, jako że w Polsce się urodził i wychował. Jest potomkiem wybitnej rodziny mennonitów z Polski. Jego przodkowie również urodzili się już w Polsce. Napisał może nie tyle historii osad menonickich w centralnej Polsce —



w łuku Wisły — ile raczej bardzo żywą ich kronikę. Stwierdza iż tolerancja w katolickiej Polsce pozwoliła na emigrację protestanckiej sekty z Prus. Przytacza tekst przywileju króla Jana Sobieskiego na mocy którego przybyli do Polski i otrzymali tereny osadnictwa. Cały tekst wraz z portretem króla Ratzlaff reprodukuje w przypisach, podobnie jak tekst przywileju Augusta II. Osady menonitów były rolnicze. Autor dowodzi, że menonici przybyli do Polski jeszcze w XVI wieku i już Zygmunt II zatwierdzał umowy dzierżawne jakie z nimi zawarli rządcy dóbr królewskich. Ratzlaff publikuje nazwiska osadników w kilku wsiach, daty urodzin i śmierci, zestawienia rodzinne, rejestr „starszych” a więc pełniących obowiązki duchownych itp. Tę kronikę — nieomal rodzinną — uzupełnia zdjęciami, fragmentami wspomnień a nawet listów.

Pisze, że menonici w Polsce niesłusznie padli ofiarą antyniemieckich nastrojów po wybuchu wojny. Twierdzi, iż sporo osób aresztowano, kilka zabito, dręczono. Władze okupacyjne niemieckie nie uszanowały ich zakazu służby wojskowej i wcieliły szereg menonitów do szeregów. Dziś nie ma już w Polsce menonitów. Wyemigrowali do Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Ratzlaffa książka nie jest pozbawiona łezki. Kończy ją obszernymi wyciągami z relacji współwyznawcy, który przed kilku laty udał się do wsi rodzinnej.

Wszystko uległo zmianie: „Odwiedziliśmy też kościół. Krzyż pozostał na dachu i budynek też jeszcze stoi, stanowiąc świadectwo dawnych czasów. Wnętrze niestety przedstawia się inaczej. Znikły wszystkie meble brak większości okien i rozgnieżdżyły się jaskółki”. Smutny obraz.

Benedykt HEYDENKORN

„Symposium 50” — Materiały z konferencji w dniach 19-22 maja Kaszuby-Lodge, Barry's Bay — przygotował do druku i wstępem zaopatrzył BENEDYKT HEYDENKORN, Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie, Toronto-Ottawa, 1972, str. 195.

STEPHEN JAROSLAW JAWORSKY: *Newspapers and Periodicals of Slavic Groups in Canada During the Period of 1965-1969*, Ottawa, 1971, str. IX-123.

HOWARD PALMER: *Land of the Second Chance — A History of Ethnic Groups in Southern Alberta*, Lethbridge, Alta, 1972, str. 287.

Y. W. ŁÓZOWCHUK & H. RADECKI: *Slavs and Ukranian Canadians*, Toronto, 1972, str. 59.

ERICH L. RATZLAFF: *Im Weichselbogen — Mennonitensiedlungen in Zentralpolen*, Verlag „Christian Press”, Winnipeg, Manitoba, 1971, str. 206.

## Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

### I. Bibliografia

52. GRAJEWSKI, Ludwik: *Bibliografia ilustracji w czasopismach polskich XIX i początku XX wieku* (do 1918 roku). (Warszawa, 1972), Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 554.

Przejrzenie opracowany i opatrzony dobrymi indeksami wykaz materiałów ilustracyjnych, umożliwiające szybkie umiejscowienie portretów znanych i mniej znanych osobistości, widoków miejscowości, zabytków architektury, dzieł sztuki itp. Nieoceniona pomoc nie tylko dla wydawców książek i czasopism, ale i zbieraczy, artystów-grafików, dekoratorów, filmowców itp.

### II. Historia radiofonii

53. KWIATKOWSKI, Maciej Józef: *Narodziny Polskiego Radia*. Radiofonia w Polsce w latach 1918-1929. Warszawa, 1972, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 472, 28 pl.

Zarys historyczny obejmujący pierwsze dziesięciolecie radiofonii polskiej, od uruchomienia na Cytaдели radiostacji wojskowej WAR, poprzez wczesny okres działalności „Polskiego Radia” z centralą w Warszawie i regionalnymi rozgłośniami w Krakowie, Poznaniu, Katowicach i Wilnie. (Radiostacja lwowska była uruchomiona później — 15 stycznia 1930 roku). Autor omawia organizację radiofonii polskiej, rodzaj i wartość programów itp. w oparciu o materiały archiwalne i rejestr bibliograficzny elektryków polskich, opracowany przez inż. Jerzego Kubiawskiego. Rzecz sumienna i ciekawa, żywo i zajmująco napisana.

### III. Poezja

54. JASIEŃSKI, Bruno: *Utworki poetyckie, manifesty, szkice*. Opracował Edward Balcerzan. Wrocław (1972), Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 260, front. portr., ilustr. (Biblioteka Narodowa, Seria I, nr 211).

Osobliwością przedmowy jest zaskakująca zwieżłość w omawianiu końcowego okresu życia Jasińskiego. Dowiadujemy się, że nie ukończył „Zmowy obojętnej”, gdyż „W 1937 roku został aresztowany. Umarł 16 grudnia 1939 roku pod Władystokiem. (Niektóre opracowania podają inną datę śmierci poety: 20 października 1941 roku)”. Dowiadujemy się ponadto, że „w grudniu 1955 roku przyszła wiadomość o pośmiertnej rehabilitacji Brunona Jasińskiego”. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN miała w tym względzie więcej do powiedzenia! („skazany został na 15 lat obozu; zmarł po ciężkiej chorobie w szpitalu obozowym”). Jeszcze jedno świadectwo rosnącej ingerencji cenzury.

55. DEBIUTY POETYCKIE, 1944-1960. Wiersze — autointerpretacje — opinie krytyczne. Wybór i opracowanie: Jacek Kajtoch, Jerzy Skórnicki.



Warszawa, 1972, Iskry, str. 640, portrety poetów uwzględnionych w antologii. Antologia poezji i krytyki literackiej opracowana pod kątem potrzeb nauczycieli polonistów i wykładowców szkół wyższych. Uwzględnia twórców, którzy zadebiutowali po II wojnie światowej (tj. przede wszystkim tzw. „pokolenie Współczesności”). Znakomita większość autorów dokonała ośbicie wyboru i uzupełniła go autointerpretacją, rzadko zbieżną z przytoczonymi w sąsiedztwie głosami krytyków. (Głosy te *nota-bene* składają się na krytyczną „antologię w antologii”). Wydawcy uwzględnili następujących poetów i poetki: Tadeusza Różewicza, Artura Międzyrzeckiego, Jerzego Ficowskiego. Tymoteusza Karpowicza, Tadeusza Kubiaka, Mieczysławę Buczkównę, Annę Kamińską, Wiktora Woroszyńskiego, Wisławę Szymborską, Tadeusza Nowaka, Mirona Białoszewskiego, Bohdana Drozdowskiego, Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza, Zbigniewa Herberta, Małgorzatę Hillar, Mariana Jachimowicza, Urszulę Kozioł, Jarosława M. Rymkiewicza, Ernesta Brylla, Stanisława Swen Czachorowskiego, Helenę Raszkę i Mariana Grześczaka. Z 23 „bohaterów” antologii siedmiu urodziło się w Warszawie, czterech na Kresach (ale to: Karpowicz, Woroszyński, Herbert — i, żeby nie wyglądało zbyt świetnie: Drozdowski). Brak: Andrzeja Bursy, Tadeusza Borowskiego — że nie żyją? że samobójcy? — i ks. Jana Twardowskiego — że książd? Zażalenia można by kontynuować. Ale książka dobrze pomyślana i wykonana.

#### IV. Utwory powieściowe

56. BRANDYS, Kazimierz: *Wariacje pocztowe*. Warszawa, 1972, Czytelnik, str. 232.

Krajowy *best-seller* powitany chórem pochwał, — za oryginalność pomysłu, tzw. „głębsze znaczenie” i ciekawą stylizację językową. Po ochłonięciu z *dobrego* pierwszego wrażenia „Wariacje” nie wydają się aż tak oryginalne, bo wyprzedza je „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego, tudzież „Apokryf rodzinny” Hanny Malewskiej, napisane analogicznym „szkatułkowym” sposobem. „Głębsze znaczenie” wyłania się dopiero spod potężnego ładunku anegdota i innych świadectw pilnej lektury pamiętników. Sprowadza się właściwie do starej prawdy, iż historia uniemożliwia rodakom przeżycie normalnie i banalnie dostatniego żywota od kolebki do grobu. Stylizacja nieco monotonna a w pokoleniach „najmłodszych” zanadto archaizowana. Toż weszliśmy już na całe w epokę „Listów do pani Z.”!

#### V. Historia literatury polskiej

57. ZARYS DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ. Cz. I i II (od początków do 1918 roku) napisał Juliusz Kleiner. Część III (1918-1966) napisał Włodzimierz Maciąg. Wrocław, 1972, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 590, ilustr.

Książka przypomina niedobre małżeństwo — albo Pawła i Gawła. Naprzód Kleiner, wielki „czaruś” historii literatury, dobry pedagog, potrafiący swym entuzjazmem zarazić słuchaczy. Potem — na osiemdziesięciu stronach groch z kapustą, tendencyjny i przypadkowy dobór nazwisk, pośpieszne sądy. Czy np. najwybitniejszym poetą Skamandra był Tuwim? Czy „między wojnami” nie opublikowano powieści pt. „Z dnia na dzień” i czy jednak Goetel nie zasługiwał na wzmiankę? Nie mówiąc o międzywojennym Berencie! Czy przyszli historycy literatury nie będą mieli Maciągowi za złe, że nie dostrzegł Tadeusza Sułkowskiego, Mariana Pankowskiego, Zofii Romanowiczowej — i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. I wielu innych. I całego zjawiska-fenomeny, jakim jest, mimo wszystko, literatura emigracyjna, bynajmniej nie dogorywająca w roku Pańskim 1973.

58. STANISŁAW PIGOŃ — CZŁOWIEK I DZIEŁO. Praca zbiorowa pod redakcją Henryka Markiewicza, Marii Rydlowej, Tadeusza Ulewicza. (Charakterystyki — wspomnienia — materiały). Kraków, 1972, Wydawnictwo Literackie, str. 530, ilustr. (w wyborze Marii Rydlowej), kronika życia i działalności w oprac. Jerzego Starnawskiego, bibliografia zestawiona przez Zbigniewa Jerzego Nowaka.

Księga pamiątkowa oparta o materiały z Sesji Naukowej zorganizowanej przez Katedrę Historii Literatury Polskiej UJ w dn. 19 grudnia 1969 dla uczczenia Profesora, zmarłego o rok wcześniej, nagle, pod wieczór, 18 grudnia 1968 w czasie pisania rozprawy o „Dziadów cz. III-ej”. Wśród charakterystyk najważniejsze wyszły spod pióra prof. K. Wyki i Jerzego Kwiatkowskiego (znakomity szkic o języku Pignonia) — wśród wspomnień — relacje uczniów wileńskich. Postać Pignonia potraktowano z całym należytym mu pietyzmem; — oddany jest wiernie urok tej niezapomnianej postaci, niepowtarzalnego słownictwa, tajemniczej umiejętności budzenia zainteresowań i dyskretnego kierowania pracami uczniów — i nie tylko uczniów. Pisząca te słowa, poza Krajem, pracowała pod kierunkiem Profesora, czego świadectwem spora paczka listów. Wyjątki z nich, ogłoszone w „Żegnaniu ze światem” w *Wiadomościach* (Nr 29 z 1969), są tutaj wiernie cytowane (nawet, gdy dotyczą drażliwej sprawy zatrzymanego przez cenzurę tomu publicystyki Żeromskiego). Warto przypomnieć, bo nadal aktualne: „Żeromski — pisał Profesor 2 czerwca 1965 — przynosi mi zawsze posmak kłęski; mimo wieloletnich i zawziętych szturmów nie uturują drogi ostatniemu tomowi 'Pism wszystkich' (?) ze 'Snobizmem' i 'Biczami'. Smutek tego wszystkiego”.

#### VI. Biografie

59. KOCÓWNA, Barbara: *Reymont*. Opowieść biograficzna. Warszawa, 1971, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 311 (3), ilustr.

Życiorys przerażający. „Polski prawowity syn” — jak określił siebie Reymont (jeszcze wówczas Rejment) w młodzieńczym, grafomańskim wierszu, służyć może za model antypisarza, chyba że wystarczy wielbicielom, że był pracowity i sprytny. Niedoszły krawiec, aktor i Paulin, „starszy robotnik plantowy”, windujący się w górę w oparciu o spirytizm, lądujący ostatecznie w Kołaczku w roli laureata nagrody Nobla i dziedzica — byłby fenomenem, gdyby życiowa podróż z przeszkodami dała mu „intensywność odczucia połączoną z niesłychaną dokładnością obserwacji” i uczyniła z niego „reprezentanta polskiego impresjonizmu realistycznego”, którym mianował go Feldman. W istocie zredukować wypada owe pochwały do „dokładności obserwacji”. Doszły one do głosu w pełni i z powodzeniem w „Chłopach” i „Ziemi obiecanej”. Cała reszta — a ile tego było! — jest już praktycznie nieczytelna. Kocówna potraktowała bohatera swej opowieści z wzorowym obiektywizmem i *detachment*, choć dokumenty — odkryte przez nią i wyzyskane — nastroczały niejedną okazję do farsowego potraktowania „wielkiego” pisarza (np. tragicomiczna historia wypadku kolejowego, w którym Reymont niewiele ucierpiał, a na którym zdrowo zarobił).

60. HARTWIG, Julia: *Gérard de Nerval*. (Warszawa, 1972), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 330.

Gérard de Nerval (pseudonim Gérarda Labrunie), ur. 1805, zmarły samobójczą śmiercią 26 stycznia 1855, od 1841 roku na granicy obłąkania, stosunkowo niedawno został odkryty i doceniony przez historyków literatury i czytelników. W Polsce wydano ostatnio przekłady „Sylwii” i „Podróży na Wschód” oraz szkicu Prousta o Nervalu. „Poeta przeklęty”, który obudził w Polsce duże zainteresowanie, zajęła się ostatnio Julia Hartwig, autorka



doskonałej książki o Apollinaire'ze. Ślusznie określiła Nerval'a jako twórcę o formacji artystycznej bliskiej Baudelaire'owi, Rimbaud'owi, Lautréamont'owi, o życiorysie składającym się na „archetypiczny obraz losu nieszczęśliwego poety”. Ślusznie wydobyla nie tylko analogie ale i różnice, występujące przede wszystkim na odcinku powiązań z ideologią stowarzyszeń tajnych a w szczególności masonerii, występujących w „Podróży na Wschód”. W książce czuje się doskonałą znajomość epoki i pewną rękę autorki, wiążącej życie i twórczość Nerval'a z ważnymi a mniej znanymi aspektami romantyzmu. Ślusznie podkreślona jest jedność życia i dzieła Nerval'a i typowe dla jego utworów krzyżowanie się jawy i snu, wyolbrzymione nawrotami obłądu.

### VII. Opowieści biograficzne

61. BRANDYS, Marian: *Koniec świata szwoleżerów*. I. Czcigodni weterani, — II. Niespokojne lata. Warszawa, 1972, Iskry, t. I., str. 372, t. II, str. 555.

Dwie pierwsze części trylogii historycznej, która łatwo może (i powinna) przeobrazić się w ciąg znacznie dłuższy. Rzecz osadzona jest we wczesnej epoce ponapoleońskiej, którą Berent uważał za najwspanialszą lekcję historii, tyle w niej wątków, przykładów, tematów do dociekań. Brandys czuje się, jak u siebie w domu, zarówno w Warszawie jak i Wilnie, — a w stosunku do wielkości uświęconych potrafi się zdobyć na świeże i odważne spojrzenie. Jego Krasińscy — ojciec i syn — odsłaniają zawile tajemnice życiorysów, w których pojawiają się często-gęsto słowa „kariera”, „intryga”, „podstęp”, „wyrachowanie”. Czekajmy na tom trzeci, obiecując sobie po nim wiele rewelacji. Pisząca te słowa już teraz jest za *Marianem* Brandysem, tak jak dawni uczniowie gimnazjalni bywali „za Mickiewiczem” albo „za Słowackim”.

## Nadesłane nowości wydawnicze

LISIECKA (Alicja). *Norwid — poeta historii*. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn, 1973).

KUŁAKOWSKI (Mariusz). *Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień*. Tom II. Str. 400. (Wyd. staraniem Instytutu Romana Dmowskiego w Ameryce, nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn, 1972).

MICZYŃSKA (Janina). *Rozbestwienie*. Powieść. Str. 493 i 3 nlb. (Wyd. Caldra House Ltd., Hove, Sussex).

TOPORSKA (Barbara). *Athene noctua*. Poezje. Str. 80 i 4 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn, 1973).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Pieśń o nowym świecie*. Poemat. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1972).

*Mikołaj Kopernik Monograph*. Str. 32. (Wyd. Wisconsin Kopernik Committee, Cudahy, Wisc., 1973; cena Dol. 1,00).

*Rzeczpospolita Podchorążacka*. Nr 5, kwiecień 1973. Str. 28. (Wyd. Koło Szkoły Podchorążych Piechoty, Oxford).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

### 13-3-73

Odbył się V Krajowy Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego. Zjazd określa ZHP „jako masową organizację uczniów i wychowawców, pracujących pod ideowym kierownictwem PZPR, przygotowujących dzieci i młodzież do aktywnego udziału w budowie socjalistycznej Polski”. ■ Wszyscy kandydaci do szkół wyższych w PRL, którzy na egzaminie wstępnym uzyskają średnią ocenę wyższą od 4,1, zostaną bezwzględnie przyjęci na studia. Każda szkoła będzie mogła dwóch prymusów — zwolnionych z egzaminów wstępnych — skierować na studia z tym, że jeden z nich będzie musiał podjąć studia w uczelni pedagogicznej. ■ Cenzura sowiecka w Polsce się zacieśnia: w dwumiesięczniku *Teksty*, w numerze 4-ym z ub. roku, ukazał się znakomity esej Ryszarda Przybylskiego „Stawrogin”; na interwencję ambasady sowieckiej w Warszawie niejaki Bazyli Białokozowicz zamieścił w *Nowych Drogach*, w numerze 1-ym z br., ostrą krytykę tego eseju, przedrukowaną później przez *Trybunę Ludu*; jednocześnie nastąpił zakaz publikacji w odniesieniu do Przybylskiego oraz zagrożenie redakcji *Tekstów* — głównie redaktora naczelnego, prof. J. Błońskiego oraz Edwarda Balcerzana; w związku z tym redakcji ma zostać przydzielony politruk. Przewidziany podobno jest B. Drozdowski. Niewykluczone, że cała redakcja *Tekstów* poda się demonstracyjnie do dymisji, jeśli to nastąpi.

### 15-3-73

W połowie br. ma być uruchomione połączenie promowe Helsinki-Gdańsk. ■ W roku 1972 odwiedziło Czechosłowację milion osób z krajów kapitalistycznych, Polskę w tym samym czasie około 300 tysięcy. ■ W Opolu pierwszym sekretarzem KW PZPR został mianowany Andrzej Żabiński (lat 35), dotychczasowy z-ca kierownika wydziału organizacyjnego KC PZPR. ■ Marian Dmochowski, został mianowany ambasadorem PRL w NRD. Upřednio był podsekretarzem stanu w ministerstwie Handlu Zagr. ■ Na Zachód dotarły dwa numery samizdatowego pisma litewskiego *Kronika Litewskiego Kościoła Katolickiego*. Pismo to jest odbijane na maszynie. Oba numery zawierają obszerny materiał o prześladowaniach Kościoła na Litwie.

### 16-3-73

W Kijowie odbył się proces Iwana Dziuby, którego skazano na 5 lat więzienia. Dziuba został aresztowany w kwietniu 1972, w czasie masowych aresztowań działaczy kulturalnych Ukrainy. Jednocześnie W. Czornowił we Lwowie został skazany na 7 lat obozów plus 5 lat przymusowego osiedlenia.

### 17-3-73

*Trybuna Robotnicza* w Katowicach rozpoczęła druk wspomnień osławionego kapitana Czechowicza. Wspomnienia wydał MON pt. „7 trudnych lat”.

### 18-3-73

Prof. Edward Lipiński otrzymał nagrodę naukową im. Oskara Langego za pracę „Karol Marks i zagadnienie współczesności”. ■ W konkursie literackim z okazji 30-tej rocznicy powstania PPR dwie równorzędne nagrody otrzymali: Tadeusz Hołuj za powieść „Osoba” i Julian Kawalec za powieść „Szara aureola”. W dziale opowiadań pierwszą nagrodę otrzymał Ryszard Liskowacki za tom „Kto zgrzeszył”. ■ PRL jest zmuszona do coraz większego importu jabłek. Kryzys wynikł z braku chłodziń i nieumiejętnego przechowywania owoców. ■ W Moskwie zakończyły się trzydniowe obrady



międzynarodowego spotkania konsultatywnego które podjęło uchwałę o zwołaniu w Moskwie w październiku 1973 roku Światowego Kongresu sił pokoju na rzecz bezpieczeństwa międzynarodowego, rozbrojenia, niezawisłości narodowej, współpracy i pokoju. W spotkaniu uczestniczyli politycy, działacze społeczni, naukowcy i pisarze 60-ciu krajów, reprezentujących 40 organizacji międzynarodowych i 81 krajowych.

**20-3-73**

Tymczasowe aresztowania Piotra Jakira zostało przedłużone ponad ustawowy okres 9-ciu miesięcy. Historyk, syn znanego generała rozstrzelanego przez Stalina, był aresztowany w czerwcu ub. roku i przebywa w więzieniu Lefortowo w Moskwie. Przedłużenie zostało spowodowane szeroko zakrojoną akcją władz bezpieczeństwa ZSSR przeciwko podziemnemu wydawnictwu *Chronika tielkuszczich sobytii*.

**21-3-73**

Papież mianował biskupem diecezji chełmińskiej (Pelplin) ks. bp. Bernarda Czaplińskiego, dotychczasowego wikariusza kapitulnego w Pelplinie. ■ Zmarł w Polsce, w wieku 71 lat, Jan Marcin Szancer, znany malarz i grafik.

**22-3-73**

Dr Józef Kardysz, pierwszy sekretarz KW PZPR w Opolu, został mianowany podsekretarzem stanu w ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego na miejsce Jerzego Knothe, który przeszedł na emeryturę.

**23-3-73**

Stanisław Kowalczyk, sekretarz KC PZPR, został mianowany ministrem Spraw Wewnętrznych na miejsce Wiesława Ociepki, który zginął w katastrofie samolotowej. ■ Sąd Najwyższy ZSSR zatwierdził wyrok na inż. Lazara Lubarskiego, którego skazano na 4 lata obozów pracy za rozpowszechnianie „fałszywych wiadomości i zdradzanie tajemnic państwowych”. ■ Andriej Sacharow po raz pierwszy był przesłuchiwany przez KGB. Przesłuchanie dotyczyło działalności Sacharowa w Komitecie Obrony Praw Człowieka oraz dania wywiadu prasie zachodniej. Przesłuchanie nie było jednak połączone z nakazem przerwania działalności politycznej, było jedynie ostrzeżeniem. ■ W Radziejowicach odbyło się ostatnio posiedzenie XVIII zjazdu Związku Literatów Polskich. Mimo oporów komórki partyjnej przeprowadzono zmianę w statucie Związku, w myśl której usuwanie członków ZLP nie będzie należało do kompetencji zarządu, lecz do sądu koleżeńkiego. Był wniosek czynników partyjnych, by zjazd uchwalił jako załącznik do statutu tzw. deklarację ideową. W projekcie użyto określenia, że ZLP powodować się będzie ideami socjalizmu i niepodległości. Słowo „niepodległość” wywołało gwałtowny sprzeciw Załuskiego, który oświadczył, że taki tekst nie zostanie zaakceptowany przez KC. Uchwalając nowy statut delegaci wyrazili jednogłośnie nadzieję, że statut ten „pozwoли władzom Związku działać dla dobra kultury narodowej w całkowitej zgodzie z konstytucją PRL oraz Kartą Praw Człowieka ONZ”. Wniosek ten został zgłoszony przez Antoniego Słonimskiego.

**25-3-73**

PRL zakupiła w NRD 10 wytwórni domów mieszkalnych o wydajności rocznej 6 tysięcy izb każda. ■ Prof. Jan Szczepański został mianowany przewodniczącym Rady Głównej Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki — organu doradczego Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

**26-3-73**

O. Prowincjał Zakonu Dominikańskiego w PRL, R. Koperski, poinformował władze o uroczystościach jubileuszowych zakonu Dominikanów z okazji 750-lecia sprowadzenia zakonu do Polski. Z tej okazji zakon zadeklarował pomoc w odbudowie pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, zniszczonego przez Niemców w czasie ostatniej wojny. ■ W Warszawie, w wieku lat 68, zmarł prof. dr Leon Manteuffel, wybitny uczonec i chirurg.

**28-3-73**

Tadeusz Podgórski został mianowany wiceministrem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Ostatnio był wiceprezesem Polskiego Komitetu Normalizacji i Miar.

**29-3-73**

Bronisław Ciaś został mianowany podsekretarzem stanu w ministerstwie Finansów. Ostatnio był dyrektorem departamentu Przemysłu i Budownictwa w tymże ministerstwie.

**1-4-73**

*Prawo i Życie*, organ Zrzeszenia Prawników Polskich, redagowany przez oślawionego K. Kąkola, z dwutygodnika został przekształcony na tygodnik. ■ PRL w ciągu 1972 roku wyeksportowała 33 miliony ton węgla energetycznego z tego 15 milionów do krajów socjalistycznych. PRL wyeksportowała również 7 milionów ton węgla koksującego. ■ Około 700 polskich specjalistów z różnych dziedzin uda się w br. do Związku Sowieckiego celem pogłębienia wiedzy technicznej i odbycia stażu zawodowego. 100-u specjalistów sowieckich ma przybyć do Polski w tym samym celu. ■ W Warszawie ukazał się *Mały Rocznik Statystyczny 1973*. ■ Co trzeci mieszkaniec wsi w Polsce, czyli około trzech milionów osób, czerpie dochody z dwóch źródeł: z pracy w rolnictwie i poza rolnictwem. ■ *Gazeta Krakowska* podaje, że Wojewódzki Urząd Statystyczny odesłał arkusze statystyczne po zeszłorocznym spisie rolnym do powiatu nowotarskiego z poleceniem *dopisania* 4.500 ha jęczmienia. Tymczasem jęczmienia na tym terenie w ub. roku w ogóle nie uprawiano. Podajemy to do wiadomości licznych ekonomistów na Zachodzie traktujących opracowania statystyczne PRL z największą powagą.

**2-4-73**

W Warszawie rozpoczął się VI kongres Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

**3-4-73**

Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki PRL zarządził, że w każdym semestrze będą sporządzane listy studentów według kolejności wyników osiąganych w nauce. W ministerstwie prowadzony będzie centralny rejestr najwybitniejszych studentów, którzy po ukończeniu uczelni będą mieli prawo do rozpoczęcia studiów doktoranckich. W przypadku podjęcia pracy zawodowej wypłacać się im będzie najwyższe pensje przewidziane dla stażystów. Dyplomaci, którzy uzyskają w całości studiów i egzaminu dyplomowego średnią ocenę 4,5 i wyższą otrzymywać mają dyplom i nagrodę w wysokości 3 tys. zł., odznakę honorową lub medal. Jednocześnie studentom tym będzie przysługiwać prawo pierwszeństwa wyboru miejsca pracy i ewentualnie dalsze przywileje. Nazwiska wyróżnionych podawane będą do publicznej wiadomości.



**7-4-73**

Ogólnopolski Komitet FJN obradował w sprawie ochrony środowiska. Stwierdzono, że w 117 rzekach zaledwie 24 % wód nadaje się do potrzeb spożywczych i komunalnych. 70 % jezior jest zatrutych. Główną przyczyną zatrucia są elektrownie pracujące na węglu.

**15-4-73**

W 30-tą rocznicę powstania w Getcie Warszawskim w *Tygodniku Powszechnym*, pt. „Pieśń o wymordowanym narodzie”, ukazały się wiersze Iechaka Kacnelsona, Racheli Krampf, M. Szenkiera (?) i nieznaney autorki. Przekład filologiczny z jiddisz i hebrajskiego Jana Leńskiego; przekłady poetyckie Jerzego Ficowskiego, Anny Kamińskiej i Seweryna Pollaka.

**16-4-73**

PLL Lot uruchamia dwa razy w tygodniu linię atlantycką do USA z lądowaniem w Amsterdamie. Czas podróży 10 godzin, bilety mogą być opłacane w złotych.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**16-2-73**

W Buenos Aires zmarł, w wieku 85 lat, Zbigniew Żółtowski; był on reprezentantem Rządu RP na Argentynę, Urugwaj i Paragwaj.

**12-3-73**

Jury nagrody ufundowanej przez wdowę po gen. dyw. Antonim Szyllingu dla uczczenia jego pamięci, przyznało pierwszą nagrodę w wysokości 300 dol. dzieląc ją na równi między Jerzym Pieńkowskim — Londyn a Leonardem Zub-Zdanowiczem — USA; II-gą nagrodę w wysokości 200 dol. otrzymali Kornel Krzczunowicz — Londyn i Tadeusz Saryusz-Bielski — Australia.

**15-3-73**

Zmarł w Liverpoolu (Anglia), w wieku 72 lat, Paweł Klecki, dyrygent i kompozytor. Przebywał za granicą od 1938 roku.

**16-3-73**

Według informacji zachodnio-niemieckich zgłosiło się dotąd na wyjazd do Niemiec Zachodnich 300 tysięcy rodzin obywateli PRL pochodzenia niemieckiego. Interesująca jest chęć minimalizowania tej liczby przez propagandę warszawską. Tak np. redakcja *Le Monde* podała tę informację o 300 tysiącach osób. ■ Teatr Królewski w Kopenhadze wystawił „Operetkę” Gombrowicza. W zespole aktorskim brał udział Polak, J. W. Yderborg. ■ Z opóźnieniem dowiadujemy się o tym, że telewizja belgradzka wystawiła „Policjantów” Sławomira Mrożka. ■ Prezes honorowy Związku Polaków w Argentynie, p. Stanisław Pyzik, obchodził 27. 1. br. 80-lecie urodzin oraz 60-lecie działalności społecznej w Argentynie. ■ Prezes Związku Polaków w Niemczech, ks. E. Forycki, miał w Warszawie konferencję prasową, na której informował o działalności Związku Polaków w Niemczech. Zaraz potem ks. Forycki udzielił obszernego wywiadu *Ekspresowi Wieczornemu*. ■ Nakładem zachodniobrzeńskiego wydawnictwa „Anabis” wydano „Die Ratte” Witolda Gombrowicza. ■ W wydawnictwie monachijskim R. Piper and Co. Verlag ukazała się książka Leszka Kołakowskiego „Die Gegenwärtigkeit des Mythos” („Obecność mitu”) w przekładzie Peter Lachmana.

**17-3-73**

Zmarł w Londynie, w wieku 58 lat, Dariusz Żarnowski, dziennikarz, członek redakcji *Dziennika Wileńskiego*, więzień obozu w Kozielsku, członek redakcji *Orla Białego* a później *Dziennika Żołnierza A.P.W.*, po wojnie sekretarz redakcji *Mysli Polskiej* w Londynie, a ostatnio redaktor *Dziennika Polskiego*.

**18-3-73**

W Londynie odbyło się zebranie Stronnictwa Pracy, na którym p. Sopicki omówił 52-rocznicę traktatu ryskiego, a p. Drzewicki zreferował ostatnie wydarzenia polityczne. ■ W Londynie, w Hotelu Rembrandt, odbyło się publiczne zebranie w 40-tą rocznicę głodu na Ukrainie w latach 1932/33. Zebranie zostało zorganizowane przez anglo-ukraińskie Towarzystwo im. Iwana Mazepy. Przemawiali: Sir Victor Raikes, Auberon Herbert i poseł Izby Gmin John Biggs-Savison — ze strony brytyjskiej, oraz Kazimierz Trębicki w imieniu Polaków, Akakij Raniszwili w imieniu Gruzinów, Leonid Władimirow w imieniu Rosjan i Michajło Tarnawski w imieniu Ukraińców. Konstantyn Zelenko wygłosił odczyt oparty na nieopublikowanych materiałach z archiwów brytyjskich.

**20-3-73**

Polacy w Kopenhadze wydali pamiątkową kopertę z okazji jubileuszu kopernikowskiego. Koperty można nabywać w Polskiej Misji Katolickiej w Kopenhadze.

**21-3-73**

Ośrodek Polskiej Akademii Nauk w Paryżu zorganizował wystawę ponad 1.000 prac naukowych i technicznych i 200 pism specjalistycznych wydawanych w Polsce w języku francuskim, angielskim i niemieckim.

**22-3-73**

W Sztokholmie odbył się wieczór poświęcony piątej rocznicy wydarzeń marcowych w 1968 roku zorganizowany przez Towarzystwo Przyjaciół „Kultury”. Przemawiali uczestnicy tych wydarzeń, którzy znajdują się w Szwecji na emigracji. ■ Zmarł w Paryżu, w wieku 66 lat, muzyk i kompozytor, Antoni Szałowski.

**23-3-73**

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poświęcony Chopinowi. Wykład wygłosił prof. Jan Myciński, a utwory Chopina zostały wykonane przez Bruno Rigutto.

**24-3-73**

W Paryżu staraniem Koła Paryż S.P.K. odbył się odczyt konsula Czesława Bitnera pt. „Polski ruch oporu we Francji 1941-1944”. ■ W Tunbridge Wells, Kent (Anglia) zmarł, w wieku 84 lat gen. Marian Żegota-Januszajtis. ■ W Londynie odbył się wieczór zorganizowany przez Towarzystwo Polsko-Ukraińskie, poświęcony tematowi „Polska i Ukraina w poezji Józefa Łobodowskiego”. Była to dziewiąta z kolei impreza Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego, założonego w 1967 roku.

**25-3-73**

W Nyköping (Szwecja) odbyło się uroczyste poświęcenie kaplicy O.O. Paulinów. W uroczystości wziął udział generał Paulinów, O. Tomziński.



**27-3-73**

Zmarł w Londynie, w wieku 76 lat, Ludwik Bojczuk, wybitny działacz społeczny i oświatowy na emigracji.

**28-3-73**

W Londynie odbył się odczyt dr. A. Polońskiego „Home Politics of Piłsudski”. Odczyt został zorganizowany przez Zrzeszenie Studentów. ■ W NRF przebywała 6-osobowa delegacja klubów inteligencji katolickiej z PRL. Byli oni zaproszeni przez Katholischer Akademischer Verband. W związku z tą wizytą p. Vogel, prezes Centralnego Komitetu niemieckich katolików, i Kronenberg, sekretarz generalny tej organizacji, udają się 11 kwietnia br. do Warszawy na zaproszenie „Znaku”.

**29-3-73**

Staraniem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie odbył się odczyt L. Maika, „Anglia i kryzys bałkański, a Rząd Narodowy w roku 1877”.

**30-3-73**

Zmarł w Kanadzie, w wieku 90 lat, Dmytro Doncow jeden z najwybitniejszych teoretyków ukraińskiego nacjonalizmu, wybitny publicysta. Przed wojną redagował we Lwowie miesięcznik literacko-polityczny *Wisnyk*. O sylwetce D. Doncowa świadczy najlepiej zachowanie się jego w 1939 roku. W dniu wybuchu wojny został na polecenie gen. Sławoja-Składkowskiego osadzony w Berezie Kartuskiej, skąd został uwolniony przez wojska niemieckie i przewieziony z honorami do Berlina. W końcu 1939 roku Doncow przyjechał do Rumunii i zgłosił się do Ambasady R.P. by dostać z powrotem paszport polski. W Rumunii przebywał do końca wojny skąd przejechał przez Francję do Kanady. W Rumunii utrzymywał dobre osobiste stosunki z Polakami, m.in. z redaktorem *Kultury*.

**1-4-73**

W najbliższym czasie ukazać się w Niemczech Zachodnich w języku czeskim pamiętniki L. Pachmana pt. „Jak to było”. ■ W NRF, we Frankfurcie nad Menem, ma powstać polsko-zachodniemiecki bank ze wspólnym kapitałem zakładowym, celem ułatwienia obrotów handlowych między obu krajami. ■ Wielka Brytania podpisała z PRL 10-letnią umowę ramową o współpracy gospodarczej, przemysłowej, naukowej i technicznej. ■ 33-letni Piotr Wileński został mianowany głównym prywatnym sekretarzem (*Principal Private Secretary*) premiera i ministra Spraw Zagranicznych Australii, Geoffa Whitlana. Wileński urodził się w Łodzi w czasie wojny, rodzice wydostali się przez Rosję i Iran do Australii, ojciec służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. ■ We Francji w ciągu 1972 roku ukazało się 2.064 przekładów z 54-ch języków. Z języka angielskiego — 665, z amerykańskiego — 534, z niemieckiego — 354, z włoskiego — 110, z rosyjskiego — 105. Zaledwie 10 języków zajmuje miejsce powyżej 10 przekładów: hiszpański, holenderski, duński, łacina, polski (16), szwedzki, grecki (starożytny), hebrajski, rumuński i czeski. ■ W paryskim wydawnictwie Les Editeurs Français Reunis ukazała się książka Jana Parandowskiego „Retour à la vie” przełożona przez Jean-Yves Erhel. ■ W Institut des Hautes Etudes w Brukseli Allain van Cruyten wygłosił odczyt o kronice Marcina Strykowski. Van Cruyten jest wybitnym znawcą i świetnym tłumaczem Witkiewicza. ■ W bibliotece Albertine w Brukseli znajduje się manuskrypt 15-letniego Holendra, który w roku 1701 podróżował po Polsce. Manuskrypt, odszukany i opracowany przez E. Pomorskiego został przetłumaczony na francuski przez Germaine Boboli. ■ W Polskim

Ośrodkiem Politycznym w Londynie w związku z konferencją bezpieczeństwa i współpracy europejskiej w Helsinkach powstał projekt zorganizowania masowego żądania emigracji jako „przedstawiciela narodu polskiego”, by w Polsce została zorganizowana konstytuanta „w warunkach umożliwiających swobodne wypowiedzenie się co do swego losu”. Te żądanie ma być przedłożone wszystkim uczestnikom konferencji (a więc i Związkowi Sowieckiemu). Trudno o lepszy przykład naiwności i kompletnego oderwania się od rzeczywistości. ■ P. J. Sokolnicki, który ogłosił się w Londynie Prezydentem RP, rozwija energiczną działalność. Mianował nowy rząd, którego premierem i ministrem Spraw Wewnętrznych został mjr. Sergiusz Ursyn-Szantyr; St. Iwańczak (Australia) — ministrem Spraw Zagranicznych, Jan Z. Sobolewski — ministrem Informacji i Dokumentacji, Artur Walcer — ministrem Skarbu. Ponadto p. Aleksander Ostroja-Starzewski został mianowany przedstawicielem p. Sokolnickiego w USA, p. St. Iwańczak — przedstawicielem w Australii, kpt. Tomasz Rzycki — przedstawicielem w Brazylii, M. Iwańczak — przedstawicielem w republice Afryki Płd., kpt. Władysław Zagroga-Zagłoba został przedstawicielem rządu przy wszystkich organizacjach kombatanckich. Wszyscy ci panowie otrzymali tytuł ministra pełnomocnego. Ponadto p. Sokolnicki powołał do życia Skarb Narodowy Wolnej Polski. ■ W Paryżu w wydawnictwie Klincksieck ukazała się książka Stefana Morawskiego pt. „L'absolu et la forme: l'esthétique d'André Malraux” w tłumaczeniu Yolande Lamy-Grum. Tytuł oryginału brzmi „Absolut i forma: studium o egzystencjalistycznej estetyce André Malraux”.

**2-4-73**

Według informacji prasy szwedzkiej, szwedzki urząd pracy (AMS) oraz urząd imigracyjny zaczynają stosować ostre restrykcje przy udzielaniu cudzoziemcom zezwoleń na pracę. Z powodu bezrobocia przestano od półtora roku sprowadzać do Szwecji robotników. Cudzoziemcom przyjeżdżającym do Szwecji — którzy uprzednio nie załatwili sobie prawa pracy za pośrednictwem szwedzkich placówek zagranicznych — nie udziela się w ogóle zezwolenia. Minister Spraw Wewnętrznych zapowiedział całkowite wstrzymanie imigracji zarobkowej. Szwecja zaostrza również stosowanie prawa azylu. Ubiegający się o azyl będą musieli przedstawiać rzeczywiście bardzo poważne powody.

**3-4-73**

W Paryżu rozpoczęło się czterodniowe francusko-polskie kolokwium na temat nauka i społeczeństwo, zorganizowane przez École Pratique des Hautes Etudes (Sorbonne) w Paryżu. Tego rodzaju spotkania naukowców-humanistów odbywają się co dwa lata kolejno w Polsce i we Francji. ■ Związek Sowiecki zakupił w Europie 200 tysięcy ton masła. Komisja brukselska zaaprobowała tę transakcję. Masło zostało zakupione po cenie FOB 429 dolarów za tonę, tj. 1,90 FF. za kilogram. Cena europejska masła wynosi FF. 3,00 za kilogram. Zapasy europejskie masła wynoszą 400 tysięcy ton. Należy zwrócić uwagę, że masło to jest zakupywane u producentów w cenie 10,33 za kilogram.

**4-4-73**

Na Morzu Śródziemnym zatonął polski statek Wrocław, należący do PŻM. Załoga została uratowana przez okręt francuskiej Marynarki Wojennej.

**5-4-73**

W siedzibie Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu odbyło się do-  
roczne walne zebranie Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Gro-



bami Historycznymi we Francji. W czasie zebrania płk Stanisław Szewalski wygłosił odczyt pt. „Generał Roman Sołtyk”.

#### 6-4-73

W Paryżu odbył się wieczór poświęcony 500-ej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika pod protektoratem ks. prałata Zbigniewa Bernackiego, rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Prof. Irena Gałęzowska wygłosiła odczyt w języku francuskim „Kopernik pionier wszechświata”. ■ W Londynie odbyło się uroczyste wręczenie nagród jubileuszowych im. Anny Godlewskiej, w salach Instytutu Polskiego. W związku z tym 7 kwietnia odbył się koncert laureata tej nagrody, Janusza Olejniczaka oraz wystawiono sztukę innego laureata, Joh. Arnolda Wirtha, „Tadeusz Kościuszko der Naczelnik”. ■ Według doniesień zachodniemieckiej agencji DPA trwają obecnie w Warszawie i w Bonn rozmowy w związku z ewentualną wizytą Gierka w NRF na jesieni br.

#### 7-4-73

Finansowany przez PRL *Głos Polski*, organ prowarszawskiego Związku Towarzystw Polskich w NRF „Zgoda”, który ukazuje się w Bochum, wyraża zadowolenie z obecnej linii politycznej *Mysli Polskiej*, organu Stronnictwa Narodowego w Londynie.

#### 8-4-73

Colin Simpson w *The Sunday Times* opisuje niebywałą aferę, która wybuchła nagle, w związku z wystawieniem na licytację w firmie Bonham w Londynie słynnego obrazu François Boucher „Apollo czekający na Wenus”. Obraz ten posiada certyfikat prof. Maxa Friedlandera z Kaiser Friedrich Museum w Berlinie z 1938 roku, na papierze, na którym znaki wodne były używane w 1969 roku przez polskie Muzeum Narodowe w Warszawie. Autor artykułu — przeprowadzając długi i sensacyjny wywód w jaki sposób obraz wraz z olbrzymią ilością innych dzieł sztuki został wywieziony z Polski przez niejakiego majora Maniette, oszusta i hochsztaplera, przy pomocy wyższych urzędników PRL — kończy swój artykuł następująco: „Zastępca szefa policji bezpieczeństwa w Malmö, Knut Nilson, wyjaśnił: 'nie mam wątpliwości, że Maniette pracował dla wyższych urzędników polskiego rządu usiłując sprzedać za dolary wartościowe skarby państwa i Kościoła'. Ale co się stało z dolarami? Duńska policja bezpieczeństwa przypuszcza, że wie. Wyższy urzędnik duński powiedział nam, iż polscy agenci finansowali nieoczekiwane rozruchy, które wybuchły w Kopenhadze w 1970 roku w czasie kiedy miało tam miejsce zebranie Światowego Banku. Ponadto zostało stwierdzone, że niezależnie od dzieł sztuki polscy dyplomaci w Kopenhadze szmuglowali do Danii marihuanę. Urzędnik duński podkreślił: 'Polacy są niezwykle sprytnymi w szmuglu. Zrobią wszystko za dolary. Są oni czołowąk rzyjską w naszej części świata jeśli idzie o cele szpiegowskie. Ale to w naszej części świata stało się tradycyjną rolą Polaków'”.

#### 11-4-73

Towarzystwo Przyjaciół „Kultury” w Sztokholmie zorganizowało wieczór autorski młodego pisarza, Michała Moszkowicza.

#### 14-4-73

W Instytucie Gen. Sikorskiego w Londynie, staraniem oficerów dyplomatycznych, odbył się odczyt ppłk. R. Czerniawskiego „Działanie V-tych kolum”. ■ W Domu Kombatanta w Paryżu gen. J. Jaklicz wygłosił odczyt pt. „Organizacja i działalność wojsk polskich we Francji” zaś płk St. Szewalski omówił „Działania polskie w ruchu oporu w płn. Afryce 1940-1942”.

## SPROSTOWANIE

W „Wydarzeniach miesiąca” z marca br. podaliśmy mylnie wiadomość, że prof. E. Marek objął katedrę w Nancy po prof. Z. Markiewiczu. Na miejsce prof. Markiewicza przyszedł prof. Beaux. Prof. Marek natomiast objął kierownictwo sekcji polskiej uniwersytetu Lille III, na miejsce odchodzącego na emeryturę prof. W. Godlewskiego.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

21 stycznia br. jury wydawnictwa „Contra” w Nowym Jorku przyznała nagrody za książki uznane za najlepsze pozycje w ostatnich latach. Nagrody otrzymali: Aleksander Janta-Poczyński za „Losy i ludzie”, Józef Mackiewicz za „Droga do nikąd” i Tadeusz Katelbach za publicystykę. Nagroda w wysokości 1.500 dol., ofiarowana przez anonimowego fundatora, została podzielona między wyżej wymienionych pisarzy. ■ 16 marca br. w Nowym Jorku odbyło się Walne zebranie członków Instytutu im. Piłsudskiego w Ameryce. Prezesem został wybrany ponownie dr B. Jan Fryling, a dyrektorem p. M. Budny. ■ André T. Falkiewicz, urodzony w Polsce, został przyjęty do Biura Prasowego Białego Domu. Poprzednio pracował przez 17 lat w „US Information Agency”. Jest on poliglotą. ■ W University of Hawaii w Honolulu istnieją studia polonistyczne obejmujące kurs językowy oraz kurs z zakresu literatury i kultury polskiej. Profesorem jest dr Tadeusz Z. Gasiński, który jednocześnie wykłada rusycystykę. Prof. Gasiński apeluje o pomoc, gdyż są trudności finansowe działu polskiego w Bibliotece Uniwersyteckiej. Prezes Z.N.P., A. Mazewski, obiecał pomoc ze strony Polonii. ■ Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku wraz z Committee on European Studies, City University of New York, zorganizował sesję naukową poświęconą Kopernikowi. Przewodniczył prezes Instytutu prof. St. Mrozowski. Referaty wygłosili profesorowie: Michael S. Mahoney, Edward Rosen, W. Weintraub, i Carl B. Boyer. Teksty referatów zostaną zamieszczone w kwartalniku *The Polish Review*. ■ Robert Dombrowski, wychowanek szkoły w Orchard Lake (USA), a obecnie prezes Graphic Sciences Inc. Danbury, Conn., ofiarował szkole halę sportową, której koszt wyniesie ponad milion dolarów. ■ 22 marca br. Senat Stanów Zjednoczonych zaaprobował polsko-amerykańską konwencję konsularną, i zalecił jej ratyfikację przez Prezydenta U.S.A. Ma to nastąpić w końcu marca br. Konwencja była podpisana w Warszawie 31 maja 1972 roku i ratyfikowana przez PRL w sierpniu 1972 roku. Uzyska ona moc obowiązującą w miesiącu po wymianie dokumentów ratyfikacyjnych. ■ W U.S.A. utworzono specjalną komisję do spraw handlu z krajami socjalistycznymi z udziałem sekretarza Skarbu Shultza, sekretarza Stanu Rogersa i Henry Kissingera. ■ Około 3.000 *businessmen*ów amerykańskich odwiedziło Związek Sowiecki w ciągu 1972 roku. ■ Papież mianował ks. Artura Krawczaka, proboszcza polskiej parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Warren, Mich., biskupem sufraganiem diecezji Detroit. ■ 24 marca br. uniwersytet stanowy w Chicago nadał doktorat *honoris causa* prof. Marii Dłuskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego. ■ Kongresman Klemens Zabłocki objął przewodnictwo Komitetu Spraw Zagranicznych do Zagadnień Dalekiego Wschodu oraz został wice-przewodniczącym w podkomisji Bezpieczeństwa w Izbie Reprezentantów. ■ Rząd amerykański zaprosił ponad 100 przedstawicieli polonijnych do Waszyngtonu na dzień 23 kwietnia br. W tym dniu będzie obchodzony „Dzień Polski” z okazji wydania przez pocztę amerykańską specjalnego znaczka na 500-lecie urodzin Kopernika. „Dzień Polski” zostanie zainauguro-



wany orędziem prezydenta Nixona. W uroczystościach weźmie udział amerykańska Akademia Nauk. ■ 29 marca br. prezydent Nixon wystosował osobisty list do prezesa Federacji Polsko-Amerykańskiej, sędziego Plusdraka, dziękując tej organizacji za poparcie jego wysiłków „O honorowe zakończenie wojny w Wietnamie”. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, A. Mazewski, po powrocie z Belgii udzielił wywiadu prasowego, w którym przedstawił przebieg swoich spotkań ze sztabowcami NATO. Min. prezes Mazewski prosił o miarodajne wyjaśnienie, czy odpowiadają prawdziwie wiadomości podane w swoim czasie przez niemiecki tygodnik *Der Spiegel*, że sztab NATO przewiduje w wypadku agresji ze Wschodu stworzenie na linii Wisły zapory atomowej. Amerykański generał Daugherty, ze sztabu SHAPE w NATO, zaprzeczył tym pogłoskom, jak również wszyscy sztabowcy z NATO. ■ Komitet Obywatelski Amerykanów włoskiego pochodzenia wybrał jako „Man of the Year” mecenasa A. Mazewskiego. ■ 1 kwietnia br. zmarł w Chicago dr Władysław Piotrowski, przed wojną i w czasie okupacji działacz Stronnictwa Narodowego, a od 20-tu lat redaktor *Dziennika Związkowego* w Chicago. ■ Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Historyczne w Kalifornii wydało „Album pamiątek po Mikołaju Koperniku”.

## KRONIKA KANADYJSKA

4 marca br. w St. Catharines odbył się zjazd polskich placówek Legionu Kanadyjskiego. Zjazd uchwalił poparcie dla Kongresu Polonii Kanadyjskiej, apelując jednocześnie do Kongresu i do Związku Polaków w Kanadzie o zrewidowanie swoich stanowisk celem utrzymania jedności Polonii Kanadyjskiej. Ponadto zjazd uchwalił zalecenie: „Uważamy, że Polskie Władze Emigracyjne w Londynie przez masowe nadawanie w chwili obecnej odznaczeń i stopni wojskowych umniejszają ich znaczenie do tego stopnia, że wielu weteranów tych odznaczeń więcej nie nosi”. ■ Z dniem 1 stycznia br. weszły w życie nowe przepisy imigracyjne, będące znacznym zaostrzeniem dotychczas obowiązujących. Osoby przybywające do Kanady w odwiedziny i pragnące w tym czasie pracować muszą najpierw uzyskać wizę na pracę (*employment visa*) i jeśli pozostają w Kanadzie dłużej niż 3 miesiące muszą się zarejestrować w najbliższym urzędzie imigracyjnym. Praktycznie oznacza to, iż poza wyjątkowymi wypadkami, przebywający czasowo w Kanadzie nie będą mogli pracować, a w razie naruszenia tych przepisów zostaną ukarani i wydalen. Przepisy te są następstwem rosnącego bezrobocia i niechęci wobec przybyszów, którzy chwytają się każdej pracy. Ponadto przyjęcie 5.000 Azjatów z Ugandy pogłębiło niechętnie nastroje wobec kolorowych i odbiło się na wyniku ostatnich wyborów, tym więcej że rząd zapowiedział też wpuszczenie do Kanady imigrantów z Afryki. ■ Rząd kanadyjski zarządził, że studenci cudzoziemcy nie będą mieli prawa pracy w okresie letnim. Jest to dotkliwy cios głównie dla tysięcy studentów z państw afrykańskich i azjatyckich. ■ W ramach programu wielokulturowości, realizowanego przez ministra stanu, dr. Stanley Hajdasza, rząd kanadyjski przyznał ostatnio 69 dotacji w wysokości zaledwie 209.588 Dol. can. z tego organizacje ukraińskie otrzymały 33.800 dolarów na 11 projektów a polskie na 5 projektów — 8.600 dolarów, w tym biblioteka Polskiego Instytutu Naukowego w Montrealu 5.000 dolarów. ■ Inflacja budowlana Polonii Kanadyjskiej: Wawel Villa Inc. zbiera pieniądze na dom dla emerytów pod Toronto. Domy takie istnieją już w Montrealu i powstają w zachodnich prowincjach. Place Polonaise Związku Polaków w Kanadzie, który w kwietniu br. obchodzi pierwszą rocznicę otwarcia, jest w tej chwili najbardziej reprezentacyjnym domem polonijnym, ale Koło 20 S.P.K. w Toronto, dzięki dotacji rządowej, szykuje się do otwarcia na jesieni br. jeszcze bardziej

reprezentacyjnego domu. W Montrealu zaś dr Andrzej Kawczak, prezes okręgu Québec, wydał apel do Polonii wzywając do ofiar na rzecz wzniesienia kosztem 4 milionów dolarów gmachu, który posiadałby jednocześnie mieszkania do wynajęcia, dział usługowo-handlowy oraz biura organizacyjne. ■ Dr Adam Bromke, profesor z Carleton University w Ottawie, gdzie pracował od 11 lat i był m.in. przewodniczącym programu studiów wschodnio-europejskich i dyrektorem wydziału nauk politycznych, przechodzi z nowym rokiem akademickim na McMaster University w Hamilton, jako dyrektor wydziału nauk politycznych. ■ Gmina i Związek Narodowego Polskiego, dyrekcja wydawnictwa Głos Polski wraz z torontońskim oddziałem Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych, urządziły 14. kwietnia br. uroczysty bankiet-raut dla uczczenia 80-lecia Zygmunta Rusinka, redaktora naczelnego tygodnika *Głos Polski*. ■ *Slavica Canadiana*, publikacja wydawana przez Zrzeszenie Sławistów Kanadyjskich, Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy oraz Ukraińską Wolną Akademię Nauk przestała wychodzić. Powodem jest brak dostatecznych funduszy po cofnięciu regularnej subwencji Canadian Association of Slavist. Redaktor naczelny, Prof. Jarosław Rudnycki, w ostatnim 75-tym numerze podał powody likwidacji i pożegnał się z dotychczasowymi współpracownikami. ■ Prof. Jan Szczepański był 25-27 marca br. w Ottawie, gdzie na Carleton University wygłosił odczyt na temat projektowanej reformy oświatowej w PRL. ■ Marzec był miesiącem występów zespołów i artystów z PRL: obok licznych zespołów rewiiowych występował teatr mimów z Wrocławia, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem publiczności i krytyki kanadyjskiej. Występowało również Mazowsze. ■ ZSSR zakupił w Kanadzie półtora miliona ton zboża i 500 tys. ton jęczmienia na sumę 200 milionów dolarów.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

### LIST OTWARTY DO PREMIERA AUSTRALII

Panie Premierze,

Rada Związkowa Polskich Organizacji w Australii reprezentujących ponad 100 tysięcy Polaków i Australijczyków polskiego pochodzenia wyraża wielkie zdumienie w związku z wydarzeniami z ostatnich tygodni.

Po pierwsze, jak wynika z doniesień prasy, rejestry policyjne innych obywateli australijskich — pochodzenia kroackiego — były badane przez przedstawicieli jugosłowiańskich władz bezpieczeństwa.

Po drugie zostało ogłoszone, że pewna liczba Kroatów ma być deportowana do Jugosławii (choć nikt z nich nie był oskarżony, czy skazany).

Polacy w Australii nie mają zamiaru bronić żadnych terrorystycznych organizacji, czy aktów terroru, jeżeli takie zostały popełnione i to zostało dowiedzione. Natomiast jak najbardziej stanowczo musimy zaprotestować przeciwko sytuacji w tym kraju powodującej, że emigranci świeżej daty są traktowani jako obywatele drugiej klasy, których można deportować do kraju, z którego większość z nich uciekła.

Każde polecenie deportacji winno być oparte nie na decyzji Generalnego Prokuratora, ale na decyzji sądu. Zresztą nawet jeżeli nakaz deportacji wydany jest na podstawie prawomocnego wyroku sądu, to sam ten fakt stwarza z emigranta obywatela drugiej kategorii.

Zwracamy się do Pana, jako do Premiera i wybitnego znawcy prawa, aby położył Pan kres temu bezprawiu, przywrócił wszystkie wypływające



z australijskiej konstytucji prawa, z których naturalizowani emigranci — zgodnie z ich przeświadczeniem — mogą w pełni korzystać, i spowodował aby oskarżenia o akty terronu itp. były rozpatrywane przez sądy w duchu długotrwałej i zaszczytnej tradycji brytyjskiej sprawiedliwości. Drżymy na myśl co się stanie, jeżeli przywódca polskich komunistów zechce przyjechać z wizytą do Australii i zażąda aby niektórzy przywódcy „reakcyjnej emigracji” zostali wydani w jego ręce.

Sydney, 28 marca 1973.

Prezes Rady Naczelnej Organizacji Polskich  
w Australii  
(—) E. Hardy

Federalny minister imigracji Grassby ma do rozpatrzenia 50 wypadków ewentualnej deportacji. Poinformował, że nie będzie wnikał w zapatrywania polityczne, lecz będzie brał pod uwagę wyłącznie działalność przestępczą. Każdy wypadek będzie starannie rozpatrzony. Naturalizowani Australijczycy nie mogą być deportowani.

## Tadeusz Świącicki

Wierność dla ideałów młodości jest cechą, którą niezbyt wielu ludzi może się poszczycić.

Tadeusz Świącicki, który odszedł od nas w dniu 11 kwietnia br., odznaczał się przede wszystkim wiernością dla ideałów własnej młodości. Nie zdradził ich nigdy, jak nigdy nie zdradził swojego jedynego Wodza i Nauczyciela — Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Tadeusz Świącicki należał do tego dumnego pokolenia, które wbrew interesom własnej klasy, czy sfery społecznej widziało przyszłość Polski w oparciu o zasady demokratycznego socjalizmu. Było więc rzeczą całkiem oczywistą, że już we wczesnej młodości znalazł się w szeregach PPS. A dalsza droga była już niemal z góry wytknięta: Legiony — w których wąty ułan Świącicki przeszedł chrzest bojowy i polityczny — używano go do rozmaitych misji, co pozwoliło mu zaprzyjaźnić się z czołowymi przywódcami Obozu Legionowego.

Aczkolwiek nie zawsze podzielał ich zdanie — nie miało to najmniejszego wpływu na utrzymanie stosunków przyjacielskich. Tadeusz Świącicki pozostał bowiem demokratą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Z tego też względu na własną prośbę kilkakrotnie odchodził z wysokich stanowisk. Jedynie jego stosunek do

Marszałka Piłsudskiego był zawsze pełen kultu. Z Marszałkiem zresztą często współpracował bezpośrednio — przeprowadził z Nim kilka wywiadów prasowych, głośnych nie tylko w Polsce, ale w całym świecie ówczesnym.

Tadeusz Świącicki zajmował szereg wybitnych stanowisk w Prezydium Rady Ministrów oraz w Polskiej Agencji Telegraficznej, będąc kierownikiem jej oddziałów najpierw w Berlinie, a następnie w Paryżu. Między jednym a drugim „pobytem” w PAT był dyrektorem Biura Prasowego w Prezydium Rady Ministrów za premierostwa kilku szefów rządu. Odszedł na własną prośbę po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Ponadto był założycielem i pierwszym redaktorem „Pionu”, pisma niesłusznie niedocenianego.

Przeżycia wojenne miał Tadeusz Świącicki bardzo ciężkie. Los nie oszczędził Mu Oświęcimia a następnie Buchenwaldu, skąd wrócił do Paryża zostając zastępcą szefa Sekcji Polskiej Radia Francuskiego. Pozostał na tym stanowisku przez 17 lat. Prawdopodobnie więc był to najdłuższy przystanek na Jego życiowej drodze. I prawdopodobnie też najcięższy, zetknął się tu bowiem z dość dokładnym pominięciem istotnej hierarchii dziennikarskiej jaka się wytworzyła w latach międzywojennych, oraz lekceważeniem tego okresu historycznego. Toteż odżył, kiedy odszedł na wysłużoną emeryturę i mógł żyć tak, jak zwykł przez całe życie. A że jedną z podstawowych cech Tadeusza Świącickiego była lojalność, był najbardziej lojalnym pracownikiem dla każdego szefa. Nawet jeżeli się z nim nie zgadzał.

Odszedł Piłsudczyk wielkiej klasy. Niestety nie zostawił po sobie wspomnień. A mógłby wiele rzeczy nie tylko opowiedzieć, ale wręcz naświetlić, gdyż był i świadkiem i aktorem wielkich wydarzeń, związanych z Odrodzeniem i międzywojennym okresem Niepodległej Polski.

Janusz LASKOWSKI

Redakcja *Kultury* traci w Zmarłym nie tylko przyjaciela, ale również nieocenionego współpracownika, specjalnie w dziale najnowszej historii Polski. Jego przyjaźń z czołowymi działaczami Polski Odrodzonej — nie tylko spośród piłsudczyków — oraz znajomość intymnych zakamarków politycznych była dla nas do ostatniej chwili wielką pomocą.



## Listy do Redakcji

Aix-en-Provence, 30 marca 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Trudno mi powstrzymać się od wyznania, że artykuł Pana W. A. Zbyszewskiego pt. „100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego”, zamieszczony w *Kulturze* nr 3/1973, wywołał we mnie bardzo mieszane uczucia.

By oddać cesarzowi co cesarskie pragnę na samym wstępie powiedzieć, iż chyłem czoło wobec znakomitej pamięci i talentu dziennikarskiego Pana W. A. Zbyszewskiego. Czytelnik zawdzięcza obu tym cechom wprawdzie nie pełny lecz za to barwny i plastyczny obraz postaci wybitnego polskiego ekonomisty. Osobiście nie podzielam wszystkich poglądów Autora artykułu na temat takich lub innych aspektów dotyczących polityki finansowej czy też roli i dorobku naukowego Krzyżanowskiego, ale nie to jest przyczyną dla której pozwałam sobie zabrać dzisiaj głos.

Niepokoi i zdumieniem napawa mnie zgoda co innego. Nie mogę mianowicie oprzeć się wrażeniu, że wspomnienia Autora pretendujące do obiektywizmu w ocenie obciążone są niekiedy osobistymi urazami i animozjami. Dotyczy to szczególnie sylwetki Oskara Lange, którą autor rysuje w kontekście artykułu. Oto na str. 102 wspomnianego wyżej numeru *Kultury* czytamy:

„Mało kogo tak nie mogłem w życiu znosić, jak *tego* Oskara Langego; wszystko co *gadał* wydawało mi się przelewaniem z pustego w próżne, bez żadnego związku z rzeczywistością. Poza tym Lange był *antypatyczny, potwornie brzydki, kuternoga, ział złością i nienawiścią* do całego świata, jak się to często zdarza kalekom; był niebywale *arogancki, cassant, źle wychowany, nadęty, zły, agresywny*”. (Podkreślenia moje — H.D.).

Wiem, Szanowny Panie Redaktorze, że każdy ma prawo do własnej opinii o osobach trzecich. Podobnie jak gusty, i przeciwnie niż dysputy naukowe na temat np. polityki finansowej, opinie o naturze Człowieka nie są zbyt podatne do dyskusji. Myślę jednak, że świadectwo, które Pan W. A. Zbyszewski wystawił Oskarowi Lange nie znajdzie potwierdzenia u nikogo na świecie, kto rzeczywiście znał Langego i pozostawał z nim w bliskich stosunkach.

Langemu można wiele zarzucić jako działaczowi socjalistycznemu i politykowi. W naiwności ducha, lecz szczerze, sądził, że połączenie dwóch wielkich partii politycznych klasy robotniczej: PPS i PPR zapewni Polsce demokrację i efektywny rozwój. Potem, w ostatnich latach swego życia zdawał już sobie sprawę z błędów w jakim tkwił początkowo, z faktu że tzw. zjednoczenie klasy robotniczej zaprzepaściło szansę stworzenia zorganizowanej, konstruktywnej i legalnej opozycji socjalistycznej. Mówił o tym w gronie sobie bliskim, ale nie było już odwrotu.

Z Oskarem Lange jako ekonomistą można polemizować. Czyniło to zresztą wielu, zarówno w kraju jak i za granicą, lecz zawsze z najwyższym szacunkiem dla Jego niepospolitej wiedzy i wcale się nie dziwiłem, że jak pisze Pan W. A. Zbyszewski: „... jego (Heydla) pasja do Langego była obłądem...”. Dopiero co otrzymałem list od pewnego znakomitego ekonomisty francuskiego, profesora M.R. (fotokopię tego listu przesyłam do wiadomości Pana Redaktora), który z nutką zazdrości wykrzykuje w pewnym momencie: „*Que n'ai-je eu Oskar Lange pour maître!*”.

Ale co do Oskara Lange jako Człowieka istniała wśród wszystkich Polaków i nie-Polaków, którzy Go dobrze znali opinia jednomyślna. Mówiono o Nim powszechnie, jako o Człowieku wspaniałym. Lange był rzeczywiście ujmujący i nad wyraz sympatyczny. Miał piękne wysokie czoło i myślące, szlachetne oczy. To prawda, że chodził o lasce a w ostatnich latach podpierał się nawet na dwóch. Ale mało kto wiedział jak bardzo cierpiał fizycznie wskutek nieuleczalnej choroby. Miewał potworne bóle, ale nigdy nie dawał po sobie tego poznać. Był zawsze uśmiechnięty i pogodny. Był profesorem najbardziej cenionym i lubianym. Słuchacze cenili Go za Jego jasność i prostotę wykładu spraw bardzo zawiłych, za niespotykaną wręcz umiejętność syntezy. Należał po wojnie, wraz z Michałem Kaleckim, do tego zupełnie nielicznego grona profesorów ekonomii, na których wykłady przychodzili nie tylko studenci lecz i profesorowie. Lubiano Go za Jego bezpośredniość, za to że będąc wiceprzewodniczącym Rady Państwa rozmawiał ze studentami jak z sobie równymi. Wszyscy lubili Go za to, że był inny niż wielu dygnitarzy socjalistycznych odgradzających się od społeczeństwa biurami przepustek i kordonami służby nie tylko porządkowej. U Langego w biurze, w katedrze i w domu zawsze można było spotkać ludzi skrzywdzonych przez administrację państwową (np. odmowy paszportowe, bezpodstawnie aresztowania, usunięcia ze stanowisk spowodowane względami politycznymi, itd.) i ubiegających się o Jego wstawiennictwo. Lange zawsze angażował się osobiście w takich sprawach. Wiem, że wstawał się nawet za tych, których nie darzył osobistą sympatią. Na Uniwersytecie Warszawskim mówiono o Nim żartobliwie, że gdyby był kobietą zachodziłby... w ciążę co 9 miesięcy, gdyż nikomu nie potrafił odmówić. Takim był Oskar Lange: Człowiekiem taktu i najwyższej kultury, Człowiekiem który nigdy w swoim życiu nie wystawił nikomu świadectwa tak nietaktownego jakiego sam, i to pośmiertnie, otrzymał od Pana W. A. Zbyszewskiego.

Z poważaniem,

Prof. dr Henryk DUNAJEWSKI  
Université d'Aix-Marseille

Neapol, 10 kwietnia 1973.

Drogi Panie Redaktorze,

Z kawałka mojego dziennika w kwietniowej *Kulturze* dowiaduję się, że „generalni sekretarze w środkowo-wschodniej Europie dodają sobie kurażu zwrótem „nasi przyjaciele amerykańscy”.

Tak dobrze jeszcze nie jest, trzeba na to trochę poczekać. Podczas korekty zgubiła się część zdania, które w całości brzmi: „Generalni sekretarze w środkowo-wschodniej Europie dodają sobie kurażu zwrótem 'nasi towarzysze radzieccy', pułkownicy w Atenach dodają sobie kurażu zwrótem 'nasi przyjaciele amerykańscy’”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



## Humor krajowy

Zapowiedź na Dworcu Głównym w Warszawie:

„Uwaga! Uwaga! Pociąg pociąg z Poznania wjeżdża na peron drugi. Proszę odsunąć się od toru!”

I po chwili: „Uwaga! Uwaga! Pociąg pociąg z Katowic wjeżdża na peron pierwszy. Proszę odsunąć się od stanowisk!”

Polski Fiat 125 staje się coraz bardziej popularny — nazywany jest powszechnie: „Volkswagierek”.

W związku z uroczystościami Kopernikowskimi:

Wstrzymał płace,  
Ruszył prace,  
Śląskie wydało go KaCe...

Przy kiosku z gazetami w Warszawie:

— Dlaczego za Trybunę Ludu musimy płacić złotówkę a Prawda kosztuje tylko 30 groszy?

— Co? Nie wiesz Pan? — 70 groszy kosztuje tłumaczenie!...

W związku z wydaniem przez MON wspomnień kapitana Czechowicza pt. „Siedem trudnych lat” — mówią, że tytuł miał brzmieć „Siedem tłustych lat”, tylko, że cenzura w ostatniej chwili zmieniła...

— Jaka jest w Polsce różnica między księdzem a milicjantem?

Ksiądz mówi: „Pan z Wami!”

Milicjant mówi: „Pan z nami...”

Zebrała Zofia HERTZ

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2<sup>e</sup> Trimestre 1973.

# KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria .....	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, 647 George Str., Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaternergasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23 .....	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guira 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523 .....	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	Lm. 6,00	Dm. 35,00	Lm 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 .. ..	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshawe St., Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Belflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik. 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 .....	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd, 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. ....	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.  
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 226 — ADAM KRZYŻANOWSKI

## DZIEJE POLSKI

Praca przedstawia dzieje Dwudziestolecia Polski Niepodległej, specjalnie szczegółowo nasświetlając przygotowania Stalina i Hitlera do rozbioru Polski. Książka nie mogła ukazać się w kraju.

Str. 456.

Cena F. 35 (dol. 8,00; £.stg. 3.00)

TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

## CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki Polski prowincjonalnej.

Str. 180.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)

TOM 229 — SERIA „DOKUMENTY”

ZESZYT 40-ty

## WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W PRL

zawiera: *L. Czuma: Do Rady Państwa PRL — Apel z poparciem prymasa Wyszyńskiego i kardynała Wojtyły. — Ostatnie słowo Leona Zawadzkiego. — Stanisław Reymann: List Otwarty do Angeli Davis. — Opinię biegłego — Tadeusza Zaręby. — Postanowienie prokuratora Wiesławy Bardonowej.*

Str. 64.

Cena F. 7 (dol. 1,60; £. 0.70)

TOM 230 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera m.in.: *Spór o wydarzenia marcowe; P. Korca: Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (IV); A. Litwina: O Radach Robotniczych; St. Stempowskiego: Z pamiętnika (dok.); Protokoły KC — 1945; W. Babińskiego: Wymiana depech między Nacz. Wodzem a D-cą Armii Krajowej (II); Z. S. Siemaszki: Misja kuriera politycznego Mostwina oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £. 1,70)

## Cena 9 F